



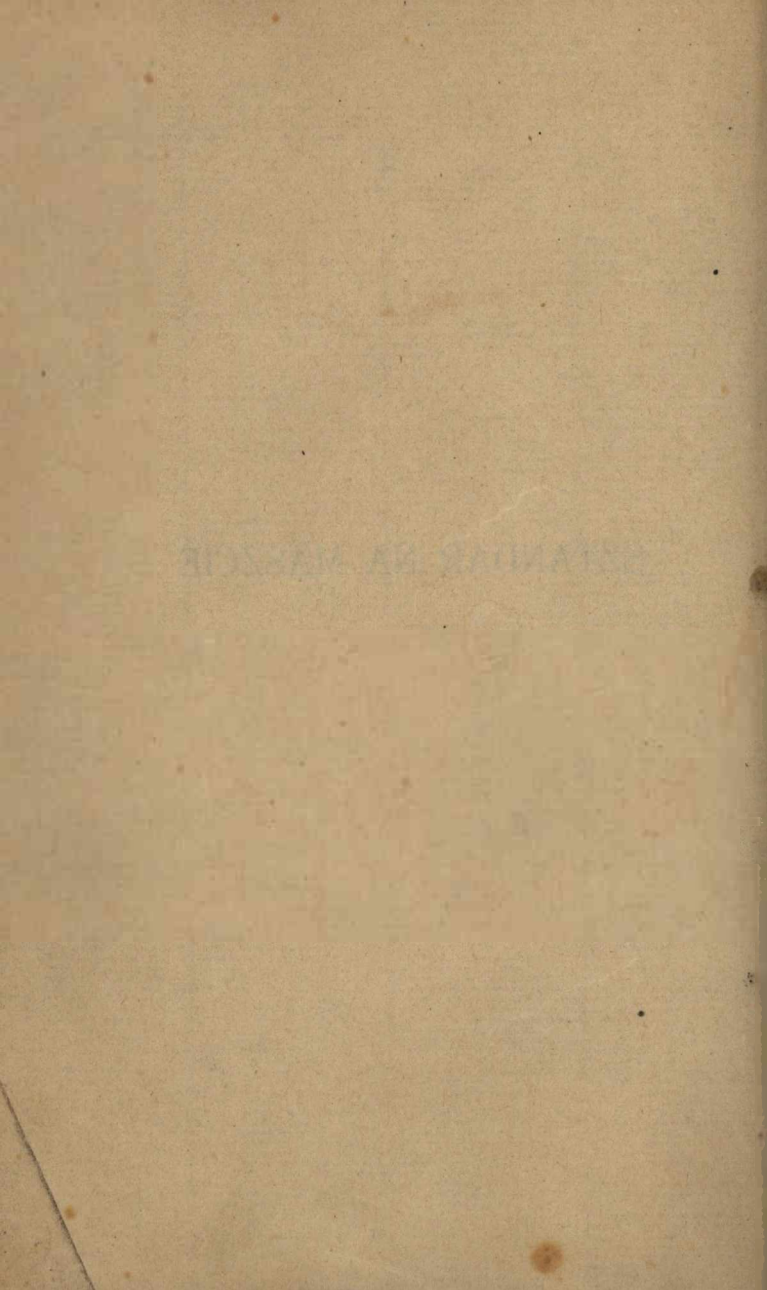


Własność

Mellie

SZTANDAR
NA
MASZCIE

SZTANDAR NA MASZCIE



A 38142



1000174463

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

2st 13a

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO, INC.” NEW YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.” KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

4 x 67 H

K 722 / 62 / 3

Foto: [illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Żonie mojej

poświęcam.

432142



1000174463

5

1000174463

1000174463

1000174463

Pani Berg odsunęła filiżankę i ruszyła na balkon. Była to pora, w której podlewała swoje osiem skrzynek z kwiatami.

Ranek był bardzo pogodny, to też pani Berg stała dobrą chwilę beczynnie. Ach, gdyby to Juliś dożył, jakżeby przyjemnie było siedzieć na balkonie, przy kawie, rankiem, albo w niezbyt upalne popołudnie. Emerytura wystarczyłaby dla nich dwojga w zupełności. Ale cóż? Co się stało...

Pani Berg otrząsnęła się z zadumy i ostrożnie uniosła dziecinną polewaczkę. Naprzód te górne skrzynki (pelargonja ma znowu pączki!) a teraz te dolne, nazewnątrz.

O, pelargonja, to doprawdy kochany kwiat! Prawda, że nie pachnie, ale zato ciągle kwitnie i ma takie wesołe, czerwone kwiatuszki.

Zdaje się, że pani Berg nieco nieostrożnie nachyliła konewkę. Uczuła naraz, że ktoś patrzy na nią zdołu. Ach, naturalnie! Stoi jakiś młody pan z walizką w ręku, bez kapelusza...

W pierwszej chwili pani Berg cofnęła się

w głąb, ale wyrzuty sumienia zmusiły ją do ponownego wyjrzenia. Młody pan stał tam jeszcze. Uśmiechnęła się więc przepraszająco ale nic nie powiedziała, bo właśnie przejeżdżał z hurkotem ciężki wóz.

Młody pan uśmiechnął się również, a gdy wóz ucichł na zakręcie, zapytał donośnym, młodym głosem, którędy jest wejście do jej mieszkania.

— Na prawo, trzecie piętro — odpowiedziała machinalnie pani Berg, ale zdziwiła się bardzo. Tak dawno nikt u niej nie był! A może to jaka zła wiadomość? Może to ktoś z Dyrekcji?

Sprzątnęła szybko ze stołu i narzuciła nań szydełkową serwetę. Zdaje się też, że poprawiła nieco czepek.

A już słyhać było na schodach potężne susy. Ten młody pan musiał chyba przeskakiwać po cztery stopnie naraz? Teraz otworzyły się szybko drzwi, i straszny przeciąg przeleciał przez pokój. Dobrze, że skrzynki nie spadły z balkonu.

— Dzień dobry! — powiedział młody pan.

Pani Berg była bardzo zmieszana. Przeproszała za swoją nieuwagę, ale doprawdy tak trudno polewać te skrzynki zewnętrzne. Dlatego właśnie...

— Och, przeciwnie — odparł gość — zupełnie przeciwnie.

— Sądzi pan, że osobie starszej...

— Ach, nie! Kochana pani Berg — zaśmiała się — nie o tem mówiłem. Chciałem tylko zaznaczyć, że dzięki tym kilku kroplom zobaczyłem panią i... jeszcze coś. Tylko tyle.

— Ale pan nie jest z Dyrekcji? — ostrożnie zapytała pani Berg.

— To nie ulega wątpliwości — odparł poważnie.

Przez chwilę patrzył na kwiaty i naraz zapytał:

— Pani zapewne uważa, że pelargonja jest trwałym kwiatem?

— O, tak! — odpowiedziała żywo pani Berg — coprawda nie pachnie, ale...

— Nie chodzi mi nawet o zapach — odrzekł i przesunął ręką przez gęstwą rudawej czupryny. — Mam im za złe, że tak ciągle kwitną. A przytem...

— Ależ to właśnie najmilsze! — wykrzyknęła pani Berg.

— Hm.. Co do mnie, to wolałbym agawę. Kwitnie podobno raz na sto lat, ale też wykwita z hukiem. Dlatego też nie lubię królików. A przytem czy pani nie uważa, że palargonja jest strasznie mała? Tak, stanowczo za mała. Czy pani

Berg nie uważałaby za stosowne hodować na przykład drzewka, a raczej drzewa? Czy nie marzyła nigdy o tem, aby mieć swoją palmę albo — eukaliptus?

— Eu... eukaliptus?

— Tak. Oczywiście, że ta mała polewaczka nie wystarczyłaby już do tego celu. Zresztą, o ile sobie przypominam, oba te drzewa zadawalniają się bardzo małą ilością wody.

— Juliś marzył zawsze o własnym ogródku przed domem — westchnęła pani Berg.

— Ogródku... — zamyślił się gość. A potem dodał uparcie. — Swoją drogą nie trzeba się wyrzekać tej myśli. To jest tego marzenia pani o eukaliptusie. To kiedyś przyjdzie.

— Tu, na trzeciem piętrze... — zaczęła pani Berg.

— Ach, prawda! — porwał się naraz młody pan i wyszedł prędko na balkon. — Bardzo się cieszę, że to trzecie piętro.

¶ Pani Berg była tem bardzo zdziwiona. Nie można przecie twierdzić, że trzecie piętro jest zbyt wygodne. Jeśli się jest zmuszonym wyjść kilka razy dziennie do miasta...

— Tak — przerwał młody pan — ale o wiele przyjemniej jest patrzeć z góry. Dobrze też, że ten domek naprzeciwno jest taki mały.

— Tam mieszka pastor — objaśniła pani Berg.

Młody pan powiedział, że to na to wygląda czy coś w tym rodzaju. Potem wychylił się z balkonu:

— Skąd to się tu wzięło? — spytał.

— Co takiego?

Gość wskazywał na wychyloną do połowy z muru drapieżną postać półsepa. Znajdował się on między oknem a balkonem, bliżej jednak okna.

Pani Berg była mocno zdziwiona: musiała się przyznać, że nie zauważyła dotąd tego dziwołaga, choć mieszka tutaj trzy lata. Zresztą nieszczęśliwa ozdoba.

Młody pan zdawał się prawie nie słuchać.

— Tak, tak! — mruczał. — Gdyby to był dom stary, możnaby przypuszczać... Ale nie, to nie jest gwerk. Prędzej będzie to kopja któregoś z tych wspaniałych bydłał z Notre Dame de Paris... Odrazu dojrzałem z dołu...

Tu zwrócił się do pani Berg:

— Czy pani nie wynajęłaby mi pokoju?

Pani Berg, nie wiedziała co o tem myśleć: nikt u niej nigdy nie mieszkał... Doprawdy, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Podczas egzaminów mieszkałem także u pewnej pani — tłumaczył jej gość — ale, niech sobie pani wyobrazi: na parterze i od podwó-

rza! Zdaje mi się, że Napoleon nie byłby Napoleonem, gdyby mieszkał długo od podwórza.

Pani Berg myślała powoli, ale miała spory zapas zdrowego rozsądku. Nie można powiedzieć, żeby sytuacja jej od śmierci Julisia była zbyt wspaniałą. Parę groszy nigdy zresztą nie zaszkodzi.

— Czy pan płaci zgóry? — spytała po chwili.

— Hm... Tak.

Pani Berg obliczała coś mozolnie, chwilami dziwiąc się wszystkiemu, co się stało, i spoglądając z pod oka na gościa.

— Czy z pościelą? — zapytała. — Z utrzymaniem?

— Kochana pani Berg — odpowiedział młody pan — tu są moje pieniądze. Proszę obliczyć i powiedzieć mi, jak długo mogę za to mieszkać, spać i co tam jeszcze.

Pani Berg obliczyła i powiedziała:

— A więc niech się pan sprowadzi.

— Już! — odrzekł młody pan, wyjmując walizkę z pod krzesła. Doprawdy nie miał nawet kapelusza.

W ten sposób pani Berg dostała lokatora.

Czy była niezadowolona? Nie, tego nie można było powiedzieć. Stało się to jednak nieco za prędko, co przeczyło zwyczajom pani Berg. Tem nie mniej nie było mowy o cofnię-

ciu się. Ojciec Julisia mawiał zazwyczaj: „Ein Mann — ein Wort“.

Ale co zabawne, to to, że dotychczas nie wiadomo właściwie jak się nazywa młody pan. Kiedy go zapytała o to nazajutrz, wydawał się nieco zmieszany. Powiedział, że najlepiej nazywać go Tomem.

— Zatem — pan Tom? — upewniała się.

— Niech będzie pan Tom — mruknął.

Stał w oknie i grzebał palcem w skrzynce z kwiatami.

— Proszę pani — zapytał — czy agawa... hm, czy możnaby dostać nasienie agawy? Przecież muszą być takie sklepy z nasionami... czy ogrody jakieś... bo ja wiem?

Sklep taki był rzeczywiście w mieście. Ale czy właśnie to nasienie można tam dostać — tego pani Berg nie wiedziała. Być może, że w ogrodzie Vetera możnaby coś takiego znaleźć.

Nie dosłuchał nawet do końca: wybiegł natychmiast, i nie było go aż do obiadu. Wrócił zaczerwieniony i szczęśliwy. Pani Berg delikatnie dała mu do zrozumienia, że nie powinien chodzić po mieście bez kapelusza. Nikt w mieście tego nie robił. Najwyżej — jeśli rzeczywiście jest zbyt gorąco — można zdjąć kapelusz i trzymać go w ręku.

— Ach, o to mniejsza — powiedział. — Mam agawę.

Pokazał mały strzępek zieleni, który trzymał przez bibułkę.

— Prawda, że jest bardzo mała. Ale to jest ablegier. Bo trzeba pani wiedzieć, że agawa nie udałaby się z nasienia. Oczywiście u nas — dodał lekceważąco.

Przez cały obiad kręcił się niespokojnie, i zdaje się nawet, że nie zauważył kartoflanych klusek, które tak lubił Juliś.

Potem wygrzebał dołek w skrzynce, zasadził swoją agawę i nakrył ją szklanką.

— Kiedy urośnie, sprawię jej osobną skrzynkę — powiedział.

Chwilę jeszcze chodził po pokoju, potem rzucił się w ubraniu na łóżko i leżał tak do wieczora.

O zmroku pani Berg wsunęła głowę do jego pokoju:

— Może rozłożyć w szafie pańską bieliznę? — spytała.

— O, nie, nie! — porwał się. — Bardzo dziękuję, ale... ja sam. Poco pani ma się trudzić.

Widać było ze wszystkiego, że był bardzo dobrze wychowany. Nie był jednak przyzwyczajony do obsługiwania samego siebie, gdyż walizka pozostała zamknięta. W ten sposób bie-

lizna gniecie się bardzo. On jednak zachowuje się, jakby nie dbał o to. Zapewne ma jej sporo. Niedługo zapewne sprowadzi swoje bagaże. Pani Berg widzi przecie, że jest to młody człowiek z dobrej rodziny.

— Ach, prawda! — przypomniała sobie przy kolacji. — Muszę pana przecież zameldować.

— Bardzo proszę — powiedział uprzejmie.

— No, tak... ale — pański paszport?

— Aha, paszport... Zdaje się, że go mam.

Słysząc było, jak trząsał zamkami walizki w swoim pokoju. Potem wsunął ją z powrotem pod łóżko.

— Ależ pan nazywa się... — zaczęła zdziwiona.

— Tak, tak! — odparł prędko. — Proszę jednak, niech pani mnie nazywa Tom. Tak mnie zazwyczaj nazywają inni. Co do mnie — to mam własny pogląd na tę sprawę.

Zaraz potem wstał i poszedł do swego pokoju. Jasna smuga nad drzwiami zgasła niedługo, ale ciągle słysząc było jego kroki. Mówił też głośno, jakby rozmawiał z sobą lub uczył się wierszy. Ci młodzi całkiem nie umieją korzystać z dobrodziejstw snu. Doprawdy!

Nazajutrz jednak wstał wcześniej i nucił półgłosem. Na pukanie pani Berg odpowiedział

uprzejmie: Proszę, proszę. Okazało się, że siedzi w oknie, mocno wychylony.

— Och, nie upadnę — uspokoił panią Berg — a musiałem przywitać się z moim sędem. Jest dziś mniej chmurny, myślę, że to z powodu tej agawy.

Ostatecznie nie można się było skarżyć na młodego pana. Był uprzejmy, nie miał nadzwyczajnych wymagań co do wygod, a że był nieco roztargniony i miał dziwne zwyczaje — to już trudno.

Zdaje się, że w tych dniach wysyłał list, bo pytał ile kosztuje wysłanie poleconego listu, a potem wyszedł na jakiś kwadrans.

Teraz zaś, już od kilku dni, nie wychodzi z domu, mimo bardzo ładnej pogody. Godzinami spaceruje po pokoju, mówiąc coś głośno. Zdaje się, że uczy się wierszy, bo zmienia ton, grozi, rozkazuje, przebacza...

Listonosz zapytał:

— Czy u pani mieszka ten pan? — i pokazał przekaz na dwadzieścia pięć rubli.

Pan Tom zaraz poszedł z przekazem na pocztę i wrócił dopiero wieczorem. Na obiedzie nie był.

Nie zdarzył mu się zresztą żaden wypadek. Zaraz z pocztą poszedł do cyklodromu i wziął rower.

— Nie, nie na godzinę — odpowiedział — nie wiem, na ile. To się okaże, gdy wrócę.

Przez miasto prowadził rower. Siadł dopiero koło miejskiego ogrodu i zaraz porwał się najszybszem tempem. Dobrze, że o tej porze niewielu było przechodniów w tej stronie. Potem wyleciał na szosę, ciągle z tą warjacką szybkością. Niedługo dojechał do silnego spadku i nie hamując wcale, leciał na łeb na szyję. Zad roweru wierzgał śmiesznie na wybojach, jakgdyby galopował. Trwało to zaledwie chwilę.

Kiedy znalazł się na dole, zeszedł z roweru i wyprostował nogi. Kilka kroków poprowadził rower, potem siadł i pojechał wolno. Oddychał głęboko i rozglądał się po okolicy. Ujechawszy ze cztery kilometry, zsiadł przy kuźni, ale nie skręcił w prawo do Zakładu, ani nie wstąpił do sklepiku przy szosie, lecz poprowadził rower na olbrzymią górę.

Niedługo był już na jej wierzchu, czerniejąc niby komar na białem tle szosy. Naraz ruszył z miejsca i począł rosnać przeraźliwie szybko. Za nim pozostawała mała smuga białego kurzu, jakby szosa się rozpaliała od warczących kół. Przeleciał z jakimś okrzykiem, a kamienie raz tylko zgrzytnęły za nim.

Po jakich dziesięciu minutach ukazał się znowu. Był blady i zakurzony niby biały po-

sążek z piaskowca. Znowu prowadził rower pod górę.

Powtórzyło się to samo.

Ostatecznie nie zdarzył mu się żaden wypadek, i pani Berg nie miała się czem niepokoić. Kiedy go jednak spytała, co robił tak długo, nie odpowiedział odrazu. Przypominał sobie mozolnie, wydawał się nawet nieco zmieszany.

— Ach, tak! — powiedział wreszcie. — To się nazywa... Jeździłem poprostu rowerem — rozgniewał się jakby.

A za chwilę powtórzył jakoś cicho:

— Poprostu jeździłem rowerem...

Pani Berg powiedziała ciepło:

— Ale przecież nic się nie stało?

— Nie, nic się nie stało — powtórzył i roześmiał się nieprzyjemnie.

Na drugi dzień rano znowu znikł, wrócił jednak przed obiadem i zaraz poszedł do swego pokoju. Wyglądało coś, jakby trochę utykał, przy obiedzie miał jednak doskonały humor. Chwalił bardzo grzybową zupę, choć Bogiem a prawdą była nieco przesolona.

Potem znowu kilka dni nie wychodził i leżał ubrany na łóżku.

Dopiero któregoś wieczoru porwał się gwałtownie:

— Byłbym na śmierć zapomniał! — powiedział pani Berg.

— Czy ma pan jaką ważną sprawę? — zapytała.

— Tak. Ważną sprawę — powiedział i prosił o klucz od mieszkania. Wyszedł, gdy już zapalano latarnie. Oczywiście z gołą głową, jak zwykle.

Szedł szybko w kierunku starego miasta i zatrzymał się dopiero przed katedrą. Stał chwilę przed nią, zadzierając głowę, potem mruknął coś z zadowoleniem i ruszył ku wieży. Wszedł ostrożnie w ciemny korytarz, prowadzący do mieszkań kilku księży. Po namyśle jednak cofnął się i uchylił małe drzwi. Rozejrzał się i wszedł.

Było to wewnątrz całe pokreślone wielkimi balami, ukośnie pnącemi się ku górze. Na ziemi leżał cichy, miutki pył. Chwilę macał rękoma, jak ślepy, nim natrafił na strome, prawie prostopadłe schodki. Zatrzeszczały, gdy się zaczął na nie wspinać.

Na każdej kondygnacji musiał powtarzać swoje poszukiwania a dokoła siebie czuł głęboką pustkę, która kusila zdradliwie stopy. Wązkie szpary żaluzji skąpo sączyły nieco rzadszy mrok.

Naraz ujrzał na poziomie swej twarzy wielką, ciemną masę.

— Aha! — szepnął i zatrzymał się.

Olbrzymi złom metalu zwisał groźnie nad głową śmiałka. Ciche, srebrne westchnienia przebiegały czasem przez olbrzymie cielsko. Zresztą panowała cisza.

Człowiek miłośnie dotknął kształtów dzwonu. W odpowiedzi usłyszał cichy jęk.

— Ja wiem. Wszystko wiem. Rozumiem — szeptał człowiek, przyciskając do rudego cielska miedzianą kępę włosów. — Czekales tu długo. Chodzili różni, ślepi, nierozumiejący. Ale ja, choć przyszedłem naoslep — widzę cię. I choć nie wołasz — słyszę cię, lepiej niż ci z dołu, kiedy o śmierci im krzyczysz. Ja — złodziej rzeczy wysoko osiadłych, przywłaszczyłem cię dziś sobie.

Szeptał coś jeszcze, ale coraz ciszej, coraz sekretniej, a dzwon przytwierdzał mu głuchym pojęciem.

W połowie nocy ozwały się naraz ciężkie stąpania po skarżących się schodach. Potem słychać było sapanie, stuk drzwi i rozmowę nieco poniżej.

Stąpając miękko po cichym kurzu, Tom podszedł do okna i rzucił wzrokiem przez wąskie szpary żaluzji. Musiały go zdziwić hełmy dwóch strażaków połyskujące w świetle księżyca, bo przecierał oczy i trząsł głową. Po chwili dopiero uspokoił się i uśmiechnął nawet.

Właśnie Mateusz, starszy strażak, splunął i powiedział:

— Zimno, psiakość, od kamienia idzie.

— Mnie ta nie — odpowiedział młodszy sen-
nym głosem.

— Bo sie zagrzewasz u różnych... — zare-
chotał starszy.

Młodszy ziewnął i wyszedł na schody. Pan Tom ruszył ostrożnie za nim. Schody skrzy-
piały jednym rytmem w takt ich kroków. Na
drugim piętrze strażak zatrzymał się i nadślu-
chiwał chwilę. Tamten przystanął również z pod-
niesioną nogą i starał się nie oddychać. Strażak
przeżegnał się i zadudnił szybko po schodach.
Po chwili huknęły drzwi wejściowe. Odczekaw-
szy chwilę, Tom wysliznął się również. Włożył
ręce do kieszeni, pochylił głowę i brnął naoslep,
niepewnym, chwiejnym krokiem. Słysząc, było
jak mruczał:

„...a grają im dzwony

Ze wszystkich kościołów.

A grają im dzwony żałobne.

Następnego dnia podczas jego nieobecności
przyszedł ogrodnik od Vetera. Pani Berg bardzo
się zdziwiła, ujrzawszy burego szczeniaka, któ-
rego przyniósł.

— To jakaś pomyłka — powiedziała.

— O, nie. Mam tu adres — wydobył brudną i zmiętą karteczkę. — Zapłacono mi także zgóry. Pies naturalnie jest rasowy. Tak zwany wolf-hund.

Pani Berg postanowiła się rozmówić ze swoim lokatorem i to zupełnie stanowczo. Któż widział trzymać psa w tak małym mieszkaniu. I to na trzeciem piętrze!

— Ach, mój ablegier! — zawołał ze śmiechem pan Tom i zabrał psa na kolana. — Martwi mnie to, że dostają mi się same ablegry. Czy nie uważa pani, że nie ceni się tego, czego wzrost się widzi co dnia? A to przecież będzie olbrzymi pies.

Pani Berg oglądała przez chwilę szczenię i wreszcie powiedziała nieco zarumieniona, że będzie to... a raczej jest... suczka.

— Nie może być! — zawołał pan Tom. — A ja już przygotowałem nazwę. Miał się nazywać Strach. Oczywiście suczka nie może się nazywać strach, to jasne.

Pani Berg postanowiła odłożyć nieco rozmowę, a tymczasem nalała mleka na spodek. Szczeniátko wtulało się w nią, piszcząc żałośnie, i nie chciało pić. Trzeba je było karmić po palcu.

— Strasznie miły psiak! — wyrwało się pani Berg.

Wieczorem pan Tom zabrał szczenię do

swego pokoju. Pogodził się już z jego płcią i oświadczył, że nazwie suczkę Wiedźma.

— Tylko niech pan czem ciepłym nakryje! — powiedziała przez drzwi pani Berg.

Szczenie piszczało ciągle i łąziło niezdarnie po pokoju. Przewróciło książkę, którą miało ogrodzone posłanie, i zaraz potem wylało mleko.

Pan Tom zaniósł je zpowrotem na posłanie, dał klapsa i przykrył chodnikiem. Za chwilę znowu musiał wstawać.

— Niech pan pokołysz — odezwała się zza drzwi pani Berg.

— Co?

— Trzeba pokołysać, to zaśnie.

— Ależ... Nie ma zresztą w czem.

— Niech pan przewróci kosz od papierów.

Tom wcisnął szczeniaka w otwór kosza i zaczął gwałtownie kołysać. Szczenie piszczało z wzrastającą rozpaczą. Naraz Tom wybuchnął śmiechem. Siedział w kucki w krótkiej koszuli i z poważną miną kołysał szczenie.

Nie, to doprawdy wspaniałe! Śmiał się serdecznie.

Potem uchylił cicho drzwi od jadalnego i rzucił się na łóżko. Za chwilę usłyszał z ulgą żalosne piszczenie szczeniaka w sąsiednim pokoju.

Przy śniadaniu zauważył, że szczeniaka nigdzie nie widać.

— Czy oddała go pani? — zapytał, smarując chleb.

— Bez pana zgody...

— Ależ ma pani moją najzupełniejszą zgodę.

— Tak? Hm.. Przepytam się. Być może, jakiś czas potrzymam. Matka Julisia miała bardzo miłą suczkę, nazywała się Bibi. Myślę tak samo nazwać i tę. Zdaje się, że nie urośnie duża...

— Nie urośnie duża? — zdziwił się pan Tom.

— Tak. Stróż ją widział i mówi, że to całkiem nie wolfhund.

— Hm, hm! — mruczał pan Tom. — A czy nie lepiejby ją nazwać „Strzyga“? Albo „Scylla“?

Pani Berg pozostała jednak przy „Bibi“. Pan Tom zaraz po śniadaniu wyszedł, gwizdząc nie dbale.

Bibi została u pani Berg, miała jednak zakazany wstęp do pokoju pana Toma i jadalnego, gdyż plątała się pod nogami i przeszkadzała na każdym kroku. Zresztą pan Tom przyszedł do przekonania, że nigdy wogóle nie lubił psów.

Któregoś dnia wyszedł pan Tom przed śniadaniem, wzięwszy tylko bułkę do kieszeni.

— Widzi pani — tłumaczył się — to jest jedyna pora, kiedy nikogo niema pod tym wiel-

kim dębem, w ogrodzie... Wtedy można myśleć, że są to te stare czasy, kiedy każdy człowiek miał pełnię wartości. Bo człowiek tyle jest wart, ile przestrzeni dokoła niego jest nim nasycone. Kiedy jest dużo ludzi, każdy spada do swego minimum. Człowiek na stepie znaczy więcej, niż człowiek w tłumie.

Pani Berg nie lubiła się mieszać do cudzych spraw. Wystarczało jej, że płacił za utrzymanie. Ale tym razem spytała, co pan Tom robi tam, pod tym dębem.

— Co robię? — uśmiechnął się. — To trudno powiedzieć. Raczej możnaby zapytać, czym jestem wtedy... Otóż — przybyłem z za morza śmigłą łodzią i wstąpiłem na brzeg nieznany. Ale skoro tylko nań wstąpiłem, stał się moim i bliskim. Stoję wśród olbrzymiego boru, z szerokim mieczem przy szerokim pasie, w lnianej odzieży... Bór do mnie gada, a ja mowy jego się uczę i gniazda orlego dla siebie szukam. Na środku polany stoi wielki dąb, przed nim kamień olbrzymi, znakiem ognia uświęcony, swastyką... A ja — spoisty, z jednej bryły wyciosany, wielki a prosty, surowy a wspaniały.

— Słowem — marzy pan sobie — przerwała pani Berg, bo w kuchni zaczęło coś syczeć.

Mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi i wyszedł.

Na kamiennej ławce koło dębu siedział już ktoś. To do reszty zepsuło mu humor. Podszedł jednak i siadł na swem zwykłym miejscu, nie zwracając uwagi na natręta.

Tamten siedział chwilę bez ruchu. Długie jego ciało załamane było dziwacznie, jak figurka drewnianego pajaca. Wkrótce jednak wydzwignął ptasią główkę z obejmujących ją dłoni i spojrzał jednym okiem na Toma. Chrząknął potem i zwrócił się ku niemu.

Tom szeptał cicho i uśmiechał się, błędząc oczami po wierzchołkach drzew. Nieznajomy chrząknął znowu i zrobił gwałtowny ruch przełykania:

— Zdaje mi się, kolego...

Tom patrzył na niego mętnymi oczami, zapomniawszy o uśmiechu, który kwitł sobie dalej. Tem ośmielony dokończył tamten:

— ...z egzaminów, prawda? Kolega był jako ekstern...

Tom zobaczył tuż przy sobie ptasi nos i wąskie a szerokie usta pisklęcia.

— Um... tak — bąknął.

Tamten wysunął ku niemu dłoń na długim, nieruchawem ramieniu osadzoną: przedstawił się. Właściwie czy to nie wszystko jedno? Nazwisko głupie, bez sensu, wlokące się za człowiekiem, jak oberwany strzęp ubrania — Ge-

lajza! I cóż z tego? Czy nie powiedziała by lepiej swego przezwiska? Przecie koledzy — urwisy na pewno go ochrzczili Bocianem lub Żurawiem. Tom zaś sam siebie, przezwiał oddawna i to jest właśnie najważniejsze.

— Ale cóż? Tamten czeka. Więc niechętnie ścisnął mu dłoń i bąknął pod nosem nazwisko. Zaraz jednak dodał:

— Właściwie ja nazywam siebie — Wiking.

— Czy to pseudo? — przysunął się długi.

Tom przytwierdził niepewnie.

— Czy... tego... — bąknął tamten ostrożnie — czy... należycie?...

A widząc pytanie w oczach Tom, zagadał prędko:

— No, tak... Siedzicie tymczasem tutaj, ale myślicie pewno o uniwersytecie, co? Ja także. Ale finanse, rozumiecie... A macie znajomych? Pracujecie gdzie?...

Chwilę trwało milczenie. Potem Tom otworzył swój kajet i powiedział:

— Chciałem to komuś przeczytać.

I zaczął:

„Wyprawa“.

„Wsiadliśmy w nasze lotne czółna i odbiliśmy od skalistego brzegu. Morze było gniewne i zdradne, zginęło jednak tylko paru niewolni-

ków. Zapatrzyli się oni w potężną falę, i ta ich pochłonęła. Nasze oczy już w połowie drogi lądowały na brzegu nieznanym“.

„Runy“.

„Wszystko, co w promieniu mej mocy się znajdzie — urabiam w kształt runów wyrytych na mej piersi. Znak mój kładę wszędy, gdzie przechodzę, i nic za sobą nie zostawiam, coby z nim sprzeczne było. Państwo, które założę, dom, który zbuduję — inne będą od innych i moją twarz mieć będą. Herb mój — znaczy ślad mej drogi“.

„Rapsod o sobie“.

„Rapsod o sobie śpiewając, ze śpiewaka — herosem śpiewanym się staję. Jestem soczewką promieni niebieskich, które ściągam, by wzniecac pożary na ziemi. Rzucam harpun swój w słońce a sznur harpuna do serca wiążę. Rosnę nie przeto, że mi to jest dane, jako turowi lub dębom. Ale, iż rozkochałem się w wielkości Boga i wedle niej moc swoją prężę. Ukutem sobie pancerz na miarę piersi Boga mojego i rosnać ku niemu, powtarzam sobie co chwila: — Bogiem jestem. — Taką wiarę dał mi Bóg mój“.

„Nauka“.

„Uczę się od dębu i trzciny, od gór i błot nizinnych. Z pieśni, które mi śpiewają, wybieram kruszyny spiżu, aby z nich miecz Zygfrйда ukuć. W obliczach ludzkich szukam rysów twar-dych, które wpisuję w rysunek mej twarzy“.

Nagle Tom zamknął kajet, choć był przecie cały zapisany. Długi uśmiechał się krzywo:

— Paracie się literaturą, co? To wasze?

— Nie. To duńskiego poety, Christiana De-lend. Oczywiście w oryginale są to wiersze.

— Tak — mruknął przeciągle długi i zamilkł. Po chwili dopiero odezwał się:

— Ciekawe.

Tom znowu zabłądził oczami na wierzchołki drzew i uśmiechał się.

Długi marszczył i tarł czoło, potem powiedział:

— Moglibyście zajść do mnie. Mam coś na myśli.

Tom myślał, że jego sęp jest o wiele ciekawszym ptakiem, niż bocian. Nie obiecał na pewno.

Przy obiedzie pani Berg powiedziała:

— Pańska agawa zwiędła.

Rzeczywiście, pod szklanką widniała tylko żółta, zmarszczona kępka. Pani Berg wyraziła

przypuszczenie, że stało się to wskutek braku wody. Zapewne pan Tom nie podlewał wcale agawy.

Rzeczywiście, nie pamiętał o tem. Po obiedzie chodził długo po swoim pokoju, ale nic nie mówił. Potem wyszedł z domu.

Gelajza mieszkał niedaleko, w kamienicy różniącej się od innych tylko numerem. Pokój był brudny i prawie pusty: bodaj, że nie było w nim nic więcej po za dwoma łózkami żelaznemi.

Gelajza powiedział zaraz do swego towarzysza:

— Przespaceruj się. Mamy tu do pogadania.

Tamten podszedł do Toma i przedstawił się.

— Krauze.

Potem poprawił krawat przed małym lustrem i biorąc rękawiczki, powiedział do długiego:

— Pamiętaj, że ja cię ostrzegałem. Nie masz przecie prawa.

— Dobrze, dobrze — mruknął Gelajza. Potem zasiadł naprzeciwko Toma i chrząknął. Długo jednak nic nie mówił, tylko marszczył czoło.

Tom chciał już wyjść, gdy zobaczył coś na stole. Wskazał na to długiemu:

— Skąd pan to ma?

— Skąd? — uśmiechnął się tamten wą-

skiem i ustami. — Pożyczyłem. To „Bolesław Śmiały“. Znacie?

Tom podszedł do okna i obróciwszy się plecami do pokoju, przemówił:

„Zapamiętał się w srogości,
w okrutnym gniewie;
nie przystąpisz litości:
płonie jako zarzewie.
Twarz łunami czerwona,
oczy, jak sępie wzroki;
mieczem zdzierży wyroki...

— Umiecie nawet?...

Tom zdziwił się nieco:

— Prosto jestem często na Wawelu... Mówię wtedy te słowa do króla...

— Jeździecie do Galicji? — sciszył głos długi.

— Nie — oburknął szorstko Tom. Ale po chwili zaczął znowu. Opowiedział zupełnie niepotrzebnie o agawie.

— Tak, tak! — uśmiechnął się długi. — Mam was teraz.

Tom zaniepokoił się. Rzeczywiście poco opowiadał to wszystko?

A Gelajza uśmiechał się wąsko:

— Czy wiecie, że na Wawelu są koszary austriackie.

— Więc cóż? To śmiecie.. To tylko śmiecie...

— Śmiecie? — śmiał się długi i drygał

całem ciałem. — Ale one zasypują. Zasypują wszystko. Nie widać z pod nich pięknego kształtu.

— Co?

— A tak! A tak! Stare kolumny oblepiane murem, pobielane. A wy cieszyście się... he, he! Bywacie na Wawelu? A no, spróbujcie raz, ale... naprawdę... Wtedy was, „Wikinga“, złapie za kołnierz taki sobie zwyczajny strażnik...

Tom patrzył na niego z przerażeniem. W oczach stała mu pożółkła agawa.

— Więc co? — szeptał — więc...

Długi nachylił się nad nim drapieźnie:

— Trzeba przygotować się... do przemiany tego, co jest.

Tom drgnął i spojrzał w jego przymknięte oczy. A tamten sączył ostrożnie:

— Rozumiecie, że o tem ani słowa!... Zbieramy się... Omawia się sprawy... Tak, żeby wiedzieć, jak i co... w razie czego... Jesteśmy spadkobiercami...

Tom słuchał i oddychał prędko. Od czasu do czasu kładł ręce na piersi i przyciskał serce. Tak, tak! To, wobec czego stanął — było ponad miarę... ponad pojemność ludzkiej piersi.

Widział bór ciemny i gromadkę oberwańców, nad którymi łopotał biały ptak, na krwawem płótnie. Widział kanclerzy zepchniętych do ciemnych, odnajętych pokoików, hetmanów przemy-

kających się samowtór przez kordony, ministrów zbeszczeszczonych aresztanckim kaftanem... Wielkość zatajona, niewidoczna stawała mu wyraziście przed oczami. O, nic w niej nie było z szychu, fałszywych blasków, pawich barw!

Spojrzał na Gelajzę i zapytał cicho:

— A pan... a wy macie jaki urząd?...

— Jestem w Zarządzie Głównym...

— Głównym!...

— ...na wojewódzwo nasze.

Więc nie gubernję, a województwo! Jak wiele zmienia jedno słowo. Potężna rzecz pręży się pod skorupą widzialnej rzeczywistości! Siła marzenia tworzy moc niesłychaną. Gdzież on był dotąd? Jakim sposobem nie dojrzał, nie zrozumiał?

Więc teraz prędko, prędko... Trzeba wchłonać to wszystko, pojąć, przesyć się...

Obładowany wielką paczką druków, biegł Tom do domu. Nogi płątały mu się, głowa płońska. Ach, gdyby ten ważny policjant na rogu wiedział... ha, ha!

— Przepraszam pana — zagadnął go skromnie — gdzie tu ulica Świętego Ducha?

Ach, ten nadęty policjant nic nie wie, co za piorun skrywa się w tej paczce, owiniętej starą gazetą!

Pani Berg zdziwiła się bardzo, kiedy pan

Sztandar na maszcie.

3

Tom oddał jej szklankę i obojętnie poprosił o wyrzucenie agawy.

— Wielka szkoda... — zaczęła.

— Ach, to było głupstwo — odpowiedział i zamknął się w swoim pokoju. Tego wieczoru wypalił wszystką naftę z lampy. Nazajutrz rano pobiegł na miasto i wrócił z wielkim, podłużnym pakunkiem. Dawno nie był w tak doskonałym humorze. Dosłownie: oczy jego się śmiały.

— Czy mogę panią prosić o gwóźdź i młotek? — powiedział. Potem przybijał tasakiem w swoim pokoju wielki gwóźdź. Śniadanie zjadł byle jak i znowu siedział w pokoju.

Rozwinął pakunek. Była to wielka mapa fizyczna Rosji europejskiej. Zawiesił ją na gwoździu i patrzył z drwiącym uśmiechem. Potem wyjął z pudełka farby i na kawałku papieru malował starannie jakiś napis. Położywszy go na podorędziu, wyjął scyzoryk, starannie a ostrożnie zdrapywał małym ostrzem żółtą linię wygiętą ku zachodowi. Potem wziął pendzelek i poprowadził silną, czerwoną linię. Wykrawał nią zgoła niewidoczny dotychczas płąt ziemi. Górnemi jej końcami zagarnął morze.

Wtedy dopiero odetchnął. Odsunął się nieco od mapy i zmierzył ją okiem. Potem wziął szybko przygotowany napis i zakleił nim dotychczasowy. Karmazynowe litery powiedziały spokojnie:

„Rzeczpospolita Polska“.

Stał teraz przed mapą bez słowa i patrzył.
To właśnie jest prawda. Prawda najistotniejsza.
Powoli ukląkł na jedno kolano.

Tom wchodził już do bramy, gdy ujrzał w głębi dwie sylwetki. Cofnął się więc na ulicę i stał przez chwilę, niepewny. Wkrótce wyszedł Gelajza i ująwszy go pod ramię, skrzył w boczną uliczkę.

— Może niepotrzebnie mówiłem wam o tem wszystkim?... — zaczął.

— Niepotrzebnie?

Gelajza obejrzał się za siebie i szepnął:

— Dajcie temu spokój. Nie chcę was narażać... Żal mi was... — plątał się.

Tom obserwował go z pod oka. Koło ust miał Gelajza przykry grymas.

— Muszę skończyć z nim — szepnął do siebie. — Nie mogę tak balansować.

Szli w milczeniu. Naraz Gelajza zawróci w stronę domu. Tom poszedł za nim.

— Jeszcze ten raz — mruknął znowu Gelajza — a potem...

Krauze był w domu: siedział na łóżku i czyścił paznogie. Od czasu do czasu rzucał

podejrzliwe spojrzenia na Toma. Wreszcie powiedział do nikogo:

— Koleżanka Marta chce mówić z kolegą.

Gelajza zerwał się z krzesła, ale nie wybuchnął. Podeszedł do okna i bębnił palcami po szybie. Po chwili dopiero rzekł:

— Marta niepotrzebnie tu się wtrąca.

— Jakto? — zdziwił się Krauze. — Nie pamiętasz chyba...

— Pamiętam uchwałę, ale dlaczego ona właśnie?... — znowu zaczął bębnić po szybie.

Krauze podniósł się z gracją:

— Pójdę więc...

— Ja zacznym rozumieć — zasyczał Gelajza. — I powiem ci, że to napawa mnie wstrętem.

— Ciebie? — zaśmiał się Krauze, ale był nieco zmieszany. — A co do ciebie, to nawet ja mam podejrzenie...

— Lepiej siedź cicho! — powiedział bardzo spokojnie Gelajza.

Krauze wyszedł.

Za chwilę zjawiała się szczupła, wysoka panna. Tom omal się nie roześmiał (choć nie był wcale w wesołym nastroju): to był Gelajza ubrany w suknię.

— Gelajzówna — przedstawiła się panna i mocno potrząsnęła ręką Toma.

Tom powiedział swoje nazwisko.

Panna spytała bez ceremonji:

— Przepraszam, jak?

Tom wyprostował się naraz i rzucił twardo:

— Tomasz Krzesz.

Panna zmieszała się nieco. Obejrzała się na brata, ale ten stał przy oknie i wyglądał na ulicę.

— Możebyśmy — wysunął się Krauze — możebyśmy przeszli się nieco...

Ach, tak!.. Świetnie — powiedziała panna Marta i wyszła z pokoju.

Gelajza ruszył ku drzwiom, ale Krauze stanął mu na drodze. Zmierzyli się wzrokiem.

— Nie wymkniesz się z tego — mruknął Krauze.

Tom wyszedł na środek pokoju i bardzo głośno powiedział:

— Zdaje mi się, że ja tu jestem zbyteczny.

Gelajza skrzywił się:

— Ależ!.. — przytem zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką.

Ostatecznie Tom, został i wyszli we czworo. Gelajza mówił dużo i przerywał innym. To ciążyło nad całą rozmową. Tom znowu milczał, oczekując jakichś innych słów niż te, które padały. Myślami był zresztą przy swojej mapie.

— Kolega dawno... tu, w mieście? — spytała panna Marta.

— Hm, zdaje mi się, że Bóg wie jak...

— Spotkałem kolegę już na egzaminach — zawołał Gelajza.

— Ale stałym mieszkańcem nie jesteście naszego sławnego...

— Ho, ho! — śmiał się Gelajza. — Z kolegi ptak przelotny. „Pan żórawiec“. Na Wawelu często bywa.

— Przestań! — syknęła panna Marta.

— A ty chcesz odrazu protokół spisać? — krzywił się w nieszczerym śmiechu Gelajza.

— Może państwo zajdą do mnie? — spytał nagle Tom i nie czekając, ruszył szybko przodem.

Pani Berg była bardzo zdziwiona, ale ostatecznie nie należało to do niej. Zgorszyła ją tylko panna Marta.

— Za moich czasów — powiedziała potem Tomaszowi — panny nie chodziły do mieszkań panów.

Towarzystwo weszło do pokoju Tomasza, a za chwilę pani Berg wniosła lampę.

— O, a to co? — powiedziała naraz panna Marta i podniosła wysoko lampę. Napis na mapie i czerwona granica rysowały się bardzo wyraźnie. Wszyscy milczeli.

— Skąd to macie? — spytała cicho panna Marta.

Tomasz objaśnił wtedy, że sam to zrobił.

— Na drugi dzień po rozmowie — zwrócił się do Gelajzy.

Ten jednak nie słuchał, czy też udawał. Oglądał uważnie skrzynkę na oknie, mimo, że były tam tylko pelargonje. Zato panna Marta podjęła:

— Ach, po rozmowie?

— Tak, tak! — rzucił Gelajza, — mówiliśmy ogólnie o sytuacji...

— Ty wyciągałeś naturalnie na słowa... — bąknął Krauze.

— A i „bibułę“ dostarczyłeś? — zawołała panna Marta, chwytając ze stołu przezroczyłą gazetkę.

Tomasz usunął się w cień i patrzył pilnie na ich twarze, oświetlone kręgiem lampy. Teraz Gelajza odwrócił się od okna:

— Przecież Wam nie o to chodzi! — roześmiał się.

— Tylko? — cicho spytała panna Marta.

— Tylko... podejrzewacie mnie... Ha, ha! myślicie, że ja tego nie widzę? Może z ramienia Zarządu, co? — śmiał się cichym, drgającym śmiechem.

— I ja? — spytała z takim samym krzywym uśmiechem panna Marta.

— Tak, i ty. Chociaż tego nie rozumiem. Nie mówię już o tem, że jesteś siostrą: zawsze mnie nienawidziłaś, ale... Zresztą — mniejsza o to: przezieram was oboje i... innych jeszcze.

— Jesteś chorobliwie drażliwy — powiedział Krauze, strzepując coś z rękawa.

Tom przeszedł ze swego kąta ku stołowi i stanął między nimi, a mapą.

— Ach, ach! — powiedziała wtedy panna Marta. — Więc to kolega sam zrobił.

— Zniósł kordony — mruknął Gelajza.

Tom popatrzył na niego.

— No, tak — mruknął tamten — może to dobra wróżba... Nie chciałem przecie.

Tom złożył starannie gazetki, zawinął je w papier i wręczył Gelajzie. Podziękował uprzejmie. Ale tamten zachnął się: czy dotknęły go te gadania? Niech zostawi u siebie, dokąd chce. Przecież nie przeczytał wszystkiego?

Tom jednak nie chciał ich zatrzymać.

— Tego się nie spodziewałem — mruknął drugi. — To mi może popsuć... A może się boicie?

Mrucząc, zabrał plikę i wyszedł, ruszając ramionami.

Panna Marta zatrzymała się jeszcze chwilę:

— A to — radzę wam — schowajcie... — powiedziała.

Tom obejrzał się na mapę.

— Nie, „tego“ nie schowam — odpowiedział.

Zostawszy sam, położył się na łóżku i niecierpliwie czekał, aż ostatnie echa ich kroków zamrą na schodach. Jeszcze z ulicy usłyszał gniewny głos Gelajzy i odpowiedź Marty:

— W razie czego — ty będziesz odpowiadał.

Potem ucichło wszystko, czasem tylko dom trząsał się z uburzenia, gdy mąciła mu sen kłótniwa dorożka. W pokoju pani Berg głądził nudnie stary zegar, narzucając się z zatęchłymi morałami:

— Tak-to, tak! — prawil. — Tak oto jest a nie tak. Nie tak, nie tak. Tak i tylko tak.

To było zabójczo nudne

Po dobrej chwili dopiero słuch zdołał wznieść się ponad jego mądre kiwanie łbem. Głos zegara począł zapadać się w jakąś głąb, gasł i dusił się, aż zmarł. Wówczas uszy i oczy otoczyła inna rzeczywistość.

Tom zasnął. Przez sen uśmiechał się i wydawał niezrozumiałe rozkazy. Przewracał się z boku na bok. Zbudziły go strzały, które na jego rozkaz buchnęły z czterech armat jego baterji. Było to na reducie Woli. Dokoła niego

zostało już tylko kilku żołnierzy. Przyglądał się im z pod oka: szukali czegoś, zaglądając we wszystkie zakamarki. Czyżby zabrakło im pocisków?

Przyjrząwszy się jednak lepiej, zauważył obce oznaki: orły dwugłowe.

— Moskale!

Usiadł na łóżku i rozglądał się. W pokoju było ich kilku, w mundurach. Jeden zaś cywilny stał tuż koło drzwi, w cieniu.

— Proszę się nie ruszać! — powiedział uprzejmie młody oficer.

Szperali długo, lecz jak dotychczas bez rezultatu. Otworzyli walizkę: kilka książek, nieco bielizny. Młody oficer czytał:

— „Kurs trigonometriji“ — na bok. „Nasi romantycy“ — hm. Dozwolone przez cenzurę — na bok. „Jako rzecze Zaratustra“ — dozwolone, na bok. „Bolesław śmiały“ — hm, hm. Krakow. Nakładem... To się przyda. Nic więcej?

— Nic, wasza wielmożność — odsapnął tęgi wachmistrz.

Oficer wyjął składane pióro i trzymał je w ustach. Potem kazał postawić sobie lampę na stole:

— A to co? — zapytał naraz.

Tomasz nie odpowiadał. Uśmiechał się dumnie.

— Skąd pan to ma? — nastawał oficerek.

— Sam zrobiłem — odpowiedział Tomasz.

— Co? A prawda... Jej Bogu. Wydrapane... — mruzczał oficer. Potem zwrócił się do Tomasza i patrzył na niego groźnie:

— Wiesz pan, co za to?

Tomasz nie przestawał się uśmiechać: cóż oni mogą zrobić. Cóż znaczą ich śmieszne mundurki, medale, słupy pasiaste?...

— Ubierać się! — rozkazał oficer.

Blade rano sączyło się z góry w wąskie ulice, gdy Tom szedł środkiem bruku. Mijał wydeptane, znane tak dobrze chodniki i domy. To właśnie było zagadką. Nie mógł jednak myśleć składnie. Więc co to miał... Aha, że to wszystko znane, zwykłe, a jednak... Prawda, prawda: ktoś mu to już tłumaczył. Rzeczywistość? Jakżeż to było? Aha, rzeczywistość nosi się w sobie. Kant zdaje się... o tych „rzeczach w samych sobie“...

Tak, więc zupełnie nieważne jest to, że te domy i płyty trotuaru są tak głupie. I nie miał racji zegar pani Berg mówiący: „Tak i tylko tak“. To wcale nie jest tak pewne, jak się здаwało staremu mantyce...

Ktoś z wczesnych przechodniów przystanął na chodniku. Znowu ktoś się obejrzał. Tom uśmiechał się przez całą drogę i jeszcze tam, na ulicy Zielonej. Mały człowieczek w czarnych

okularach wypytywał go starannie. Bali go się ci ludzie! Tak, to oczywiste. I słusznie, gdy on w sobie nosi rzecz tak potężną, że przygniecie ich wszystkich, jak robactwo, gdy...

— A zna pan niejakiego Kulika?

— Kulika? Nie... — uśmiecha się Tom.

— Pseudonim — „Cichy“.

— Nie, nie znam.

— Hm. A niejakiego Dąbrowskiego?

— Henryka? — uśmiecha się Tom.

— Wacława — z żalem mówi mały człeczek.

— Nie.

— A Henryk Dąbrowski jest w organizacji?

— Niestety, umarł już dawno. Żył za czasów Napoleona.

— Poproszę bez głupich żartów! — bije suchą rączką mały człeczek.

Zapisali całą dużą kartę i puścili. Tylko tyle. Tom idzie znanymi ulicami nieco zakłopotany.

Na zakręcie ulicy wpadł na Krauzego. Ten pociągnął go do bramy.

— Mielście rewizję? — spytał zduszonym głosem.

Tom podniósł głowę:

— Tak — potwierdził.

— Ale wypuścili was? — zagadnął tamten podejrzliwie.

— Tak — pochylił głowę Tom.

— Tak poprostu... wypuścili... i już?

— Widać — bąka Tomasz — widać... nie jestem jeszcze dosyć... wart...

Czemu ten Krauze tak uważnie patrzy? Twarz ma senną i mazgajowatą, a myśli Bóg wie co. Tom żegna się prędko i odchodzi.

W pobliżu domu ujrzał Tom długą i chudą sylwetkę, która wsiąkła gdzieś w tłumie. A może mu się tak tylko zdawało? Pani Berg była całkiem odmieniona: krzyczała. Tom dziwił się; nie miałby jej za złe, gdyby wołała, ale ona krzyczała tylko.

— W moim domu!.. Jak żyję nie spotkało mnie!.. Taki ptaszek...

Usłyszawszy, że Tom coś mruczy, krzyknęła jeszcze:

— Co? Co pan tam mruczy?

Tom powiedział:

— Mówię tylko, że muszę napisać o zmianie adresu...

Pani Berg naraz umilkła. Zamknęła gwałtownie usta, potem drzwi. Tom obejrzał się po pokoju i z walizką w ręku wyszedł.

Na schodach spotkał pannę Martę. Była bardzo czerwona, może od szybkiego chodu, i zaraz spytała:

— Więc to naprawdę?

— Tak, naprawdę.

— Czy pytali się... czy pytali was...

— Na wszystko odpowiadałem: „nie“ —
zaśmiał się Tom.

Panna Marta stała ciągle na tym samym
stopniu:

— A czy pytali was — odwróciła głowę —
o Krauzego?...

Dowiedziawszy się, że nie, panna Marta
obrzuciła szybkim wzrokiem Toma i prędko
spytała:

— A wy dokąd? Idziecie gdzie? Wyjeżdżacie?

Tom wytłumaczył, że musi szukać miesz-
kania.

— Ach, tak. To się robi. Oczywiście. Zaj-
miemy się wami.

Powiedziała to bardzo ciepło — Tom przy-
pomniał sobie, że przecież jest ona kobietą.
A przytem — kto wie... Brat w Zarządzie...

Chciał jej powiedzieć coś miłego. Próbował,
ale nie mógł nic takiego wymyśleć. Powiedział
tylko parę razy:

— Bardzo pani dziękuję. O! bardzo dziękuję.

Panna Marta zacięła usta i odwróciła twarz.
Czyżby się gniewała? Szli prędko i w milcze-
niu. Dopiero przy drzwiach jej mieszkania po-
wiedziała:

— Ach, byłabym zapomniała: podobno jakaś kobieta była dziś rano tam, u was...

— Kobieta? stara?

— Oczywiście — młoda! — zaśmiała się krzywo panna Marta i była bardzo podobna do brata.

Tom myślał przez chwilę.

— Nie mam pojęcia... — zaczął

— Może siostra? narzeczona? — mówiła jakimś chrapliwym głosem panna Marta.

— Nie mam ani jednej, ani drugiej.

— Ach, w takim razie to pomyłka. Proszę, niech pan o tem nikomu nie mówi. Ani słowa — trzasnęła drzwiami i poszła w głąb mieszkania. Tom zastukał do pokoju mężczyzn. Nikt nie odpowiadał. Potem jeszcze raz, głośniej. Wreszcie nacisnął klamkę i wszedł.

Gelajza porwał się z krzesła:

— To wy? Nie słyszałem pukania... Zamysliłem się...

Tom postawił walizkę i bąknął:

— Panna Marta...

— Aha, sprowadziła was. Może już mówiła co o mnie? Nie? No, no! A wy cóż? Męczennik sprawy? Młode życie złożył w ofierze... i jak to dalej się mówi.

— Zostawcie — odwrócił się Tomasz.

— No, cóż? Sypcie gromy na mnie, iż...

— Na was? — zdziwił się Tom.

Gelajza schował głowę między ramiona, jak zasępiona sowa, wypatrzył na Toma swoje nieruchome oczy i milczał. Potem szepnął:

— Więc nie? Tem lepiej.

Tom wstał z krzesła i podszedł do niego:

— Co lepiej?... Co lepiej? Proszę was, wreszcie żądam, aby raz już...

— Sss! — zasyczał Gelajza, — Bez gniewu. Jesteście mnie potrzebni. Mnie! A skoro tak — to tem lepiej dla was. Jeszcze oni zobaczą, co znaczy Gelajza.

Podniósł suche, drewniane ramię i pogroził w przestrzeń. Potem usiadł, złożył się w kilkoro i rozmyślał:

— Tam się nie da. Kulik zdaje się wspany... U Jabłkowskiego też się nie da. Ależ — Żurek, naturalnie: Że też nie wpadłem na to odrazu...

Wyprostował swoje suche stawy:

— Idziemy — powiedział.

— Idziemy? Dokąd?

— Do Żurka.

Dopiero na ciemnych krętych schodach odezwał się Gelajza:

— Żurek też jest w Zarządzie.

— Aa!

Weszli przez pusty korytarz ze zlewem, potem kilka schodków i białe ongiś drzwi.

— „Kleryczek“ jesteś? — zawołał Gelajza. W pokoju było ciemnawo.

— A, to ty? Bardzo mi przyjemnie.

Z kąta wyłonił się krótki człowieczek z płową czupryną „na jeża“ i za obszernym kołnierzem starego mundurka. Wyglądał rzeczywiście na kleryka.

Gelajza oświadczył gospodarzowi, że ma przyjąć tego oto kolegę, który dla pewnych przyczyn musi mieć mieszkanie. Zresztą niech go to zbytnio nie interesuje.

Zapoznali się. „Kleryczek“ coś łyknął z trudem:

— Ach, więc to pan?

— Czy pan mnie zna?

— Nie... właściwie... słyszałem.

Gelajza zaśmiał się szyderczo:

— Przy sposobności możesz wypełnić uchwałę. Marta już...

— Ależ, Franku! — odezwał się gospodarz. — Wiesz przecie, że ja wcale...

— No, wiem, wiem. Ty jesteś złote centrum. Choć w konwencie francuskim nazywało się to wcale inaczej — rzucił, wychodząc, Gelajza.

Pokój był ciemny, a może tylko brudny. Niespodziewanym tutaj sprzętem była czerwona

pluszowa kanapa, zresztą dosyć zużyta. Pod jedną ścianą, na podłodze leżała sterta książek i kajetów. Pozatem — lampa, szklanka z brązowym plasterkiem cytryny i resztą mętnej cieczy, kilka ubrań na ścianie, tekturowe pudełko na oknie, kałamarz, ogryzione pióro...

Krótki gospodarz schwycił poduszkę i położył ją na kanapie:

— Ja tu się przeniosę, a wy tam... Lampkę zaraz się zapali, nafta powinna jeszcze być. Nie wiem... Zresztą zdaje się jest świeca. Kolega ma może... kołdrę? Nie? To nic, to nic... ja paltem, a kolega...

Tom jednak stanowczo się sprzeciwił. Doprawdy ten człowiek jest zbyt dobry. Członek Zarządu, a taki... Może to nawet i szlachetnie z jego strony, ale bądź co bądź...

Wpychali sobie wzajemnie poduszkę i cietowali się.

— Ależ, kolego...

— Ależ, kolega pozwoli...

Potem Żurek znikł z pokoiku i wrócił z czajnikiem zionącym parą. Tom dostał szklanekę, a Żurek popijał z emaljowanego kubka.

— Dawno znacie Gelajzę? — zapytał Żurek z za obłoku pary.

— Nie... a co?

— Tak... Nic właściwie...

Żurek chlipał pożądliwie żółtawy płyn. Porwał się naraz:

— A może palicé? Miałem tu gdzieś dwa papierosy.

Upewniwszy się dokładnie, że Tom nie robi ceremonji, usiadł z powrotem.

— Ja też nie — odezwał się — ale mam zawsze kilka. Jak zaleci Krauze, albo kto...

Po kolacji Żurek stokrotnie przeprosił Toma, ale miał bardzo ważną robotę. Nachylił się nisko nad papierem i pisał coś równym maczkiem, zaglądnąjąc co chwila do broszurki.

Tom rzucił się natychmiast na stertę książek. Czytał tytuły: „Stowarzyszenie spożywców“, „Racjonalny sposób uprawy“, „Gmina szwajcarska“, „Teatry ludowe“.

— Aa — zaczął nagle Tom.

— Słucham?

— A czy nie macie takich książek...

— Jakich?

Tom nie wiedział jakich. Wogóle zaplątał się w swoich myślach. Całkiem nie do rzeczy zaczął opowiadać o swoim projekcie. Chodziłoby mianowicie o odegranie Ajschylosa na stopniach katedry. Rozumie się wieczorem i przy pochodniach. Chóry stałyby z dwóch stron, ukośnie, na stopniach. Aktorzy wychodziliby z głębi, z ciemnego wnętrza katedry.

— Tak — powiedział Żurek — być może, że efekt artystyczny... hm. Mnie interesuje jednak praca społeczna.

I dodał poważnie:

— Jako taka.

— Jako taka — powtórzył Tom i namyślał się, jak wytłumaczyć Żurkowi to, o co mu chodziło.

— Chciałem... to jest... chodziło mi o samo wzrastanie, czy wzrośnięcie. Taka rzecz jest jakby szerszym oddechem. Od tego pierś rośnie. Nie, że potrzeba dla tego lub innego celu, ale poprostu — rośnie. Tak rodzą się olbrzymy. A olbrzymom wszystko jest łatwe.

— Jeżeli o tem mówicie — bąknął Żurek. — Owszem — teatry ludowe...

Nie, nie o to chodziło Tomaszowi. Zły był wogóle na siebie za rozpoczęcie tej rozmowy.

— A gdyby tak — spróbował jeszcze — gdyby zbudować taki posąg. Olbrzymi posąg, któremu kamienice sięgałyby ledwie do kolan.

— Symbol ?

— Nie, nie. Posąg człowieka poprostu. Stopy miałyby wprost na chodniku, czy na bruku. Stałyby szeroko, poprzez kilka ulic...

— Kolos Rodyjski ?

— Nie wiem. Mniejsza o to. Człowiek. Albo gdyby tak... cyrk olbrzymi... Walki byków, może

gladjatorzy, warjacka jazda na koniach, strzelanie do kapelusza na głowie... Pokazać ludziom za parę groszy męstwo, pogardę śmierci. Przyzwyczać do szaleństwa. Uczyć go.

— Czy wy to serjo? — spytał Żurek.

Tom zamilkł.

Żurek zaś siedząc nad broszurką i kajetem, mówił cicho:

— Jakieś to pogańskie u was... Oczywiście w znaczeniu ideowem. Bo cóż jest idea? Poświęcić się dla dobra innych. Tylko tyle, ale i tylko to. Wielkość jest w małym. Nauczyć czytać analfabetę, dać książkę, pokazać obrazek... Zatracić siebie w tem małym dawaniu. Pognębić, wyrzec się...

— Przekreślić siebie - Wojtka, aby bliźni-Wojtek miał co żreć — ozwał się w drzwiach głos Gelajzy. A to ci filozofja!

— Franek, nie udawaj sceptyka — obrócił się Żurek.

— A ty nie bądź klerykiem — mruknął Gelajza.

Żurek uśmiechnął się i zagłębił w swój kajet. Gelajza usiadł sztywno na kanapie.

— Po was się więcej spodziewam — powiedział naraz do Toma.

Tom wstał od książek:

— Wy — po mnie?

— Tak. Chcę zrobić mały przeciąg. Jednych zabolą od tego zęby, drugim oczyszczą się płuca... Może też zbije się jaka szyba. A są ludzie, którzy panicznie boją się przeciągu, prawda, Żurek?

— Kolega chce grać Ajschylosa na schodach katedry — bąknął Żurek.

— O! Widzisz. A tybyś wolał... Et, co tu gadać!

Żurek wstał i podszedł do Gelajzy:

— Słuchaj Franek, ty przecie ze złości... Tobie coś jest...

Gelajza wstał i zwiesił swój ptasi nos nad Żurkiem.

— Żurek, zapamiętaj sobie, że niema na świecie większego świństwa, jak litość. Rozumiesz? A bandytów wolę od żebraków.

Żurek stał bez ruchu. Gelajza trzasnęła drzwiami i wyszedł. Żurek długo nic nie pisał w swoim kajeciku.

Gelajza zachodził jednak od czasu do czasu. Mówił coprawda mało i tylko przyglądał się Tomaszowi. Któregoś dnia powiedział:

— Czy aby nie czuć was już stęchlizną?

Tom uśmiechał się tylko. Gelajzie nie można było brać takich rzeczy za złe: on musiał wypluwać te jadowite słowa przez żółte, zepsute zęby.

Żurek rzadka perswadował Gelajzie i wpa-
dał nawet w uroczysty ton. Wtedy jednak Ge-
lajza osadzał go odrazu na miejscu. Mówił mu
tylko:

— Mówisz przez nos, kleryczku.

Żurek zagłębiał się wówczas w swoje no-
tutki. Był to kurs ekonomji dla kółka robotni-
czego. Przychodziło ich coprawda tylko czte-
rech—pięciu, choć koło składało się z piętnastu.
Nie można też twierdzić, aby zbyt zapalali
się do przedmiotu. Zapalał się Żurek. Mówił
wówczas już bez obawy nosowym, uroczystym
tonem.

Krzeszowi raz tylko pozwolił być na ze-
braniu. Oczywiście pod przysięgą milczenia. Cały
czas jednak musiał rzucać okiem na tę miedzianą
czuprynę w rogu, i to mu zmięszalo szyki. Nie-
raz też Żurek spoglądał nagle na swego towa-
rzysza w trakcie kolacji czy na spacerze. Zda-
wało mu się, że wtedy coś zrozumie. Po chwili
jednak odwracał oczy i kręcił głową. Żurka prze-
cież zajmowała praca społeczna jako taka.

Krauze i panna Marta nie zachodzili do ma-
łego pokoiku. Na ulicy zaś mieli odęte miny.
Gelajza mówił o tem i śmiał się:

— Dziwni ludzie, doprawdy. Jak raz sobie
wbijają kołek do łba...

Nie rozmawiał zresztą teraz szerzej: wpadał

na krótko, ciskał kilka zjadliwych słów i uciekał. Był w ciągłym, niespokojnym ruchu.

Żurek nie pochwalał tego: jako skarbnik, Gelajza miał zbyt poważne obowiązki. Tymczasem ciągle lata.

Tu nagle Żurek się zastanowił. Żuł coś długo w ustach, nim odezwał się do Krzesza:

— Często was nie zastaję w domu... jak wracam...

Zagadnięty podniósł głowę, mruknął coś niewyraźnie i zwiesił głowę nad książką.

— Chodźcie gdzie?... Macie może lekcje?...

— Dlaczego?

Żurek odwrócił twarz:

— Hm. Macie pieniądze...

Krzesz nie odpowiedział. Wszczepił wszystkie pięć palców we włosy i mocował się z jakąś myślą, książka leżała przed nim. Być może, że nie słyszał pytania.

Dopiero przy kolacji rozgadał się:

— Wspaniała rzecz! — uderzył dłonią w książkę. Włosy stały mu na głowie, jakby rozpalone silniejszym płomieniem.

Żurek wziął książkę i otworzył pierwszą kartę.

— Platona „Eutyfron“?

— Wspaniałe, wspaniałe! — mówił Krzesz, zakładając ręce nad głową.

Żurek wziął machinalnie swój kajecik, ale zaraz położył go. Patrzył z ukosa na swego towarzysza. Stanowczo jeśli chodzi o pracę społeczną, to trzeba być innym. Rzeczy rozumne, pożyteczne, solidne...

— Wybaczcie, ale... poco wy studjujecie Platona?

Krzesz zaśmiał się krótko, ukazując białe, ostre zęby. Te zęby, być może, były najlepszym jego wytłumaczeniem. Żurek przyjrzał się im i stwierdził, że... one coś znaczą...

— Kolego Żurku — powiedział Krzesz. — Ja gadam sobie z Sokratesem, a nie studjuję. Nawet nie rozmawiam, uważacie? Gadam, gawędzę, gładzę. Sokrates, to znakomita akuszerka.

— Co?

— Tak, tak. Stary mądrała sam tak siebie nazywał.

Żurek uważał, że nie jest to solidny pogląd na świat. Dobry jest i Platon, owszem, ale w naszych warunkach...

— W naszych warunkach jest obowiązkiem ucierać smarkate nosy analfabetom? — wybuchnął Krzesz.

Żurek kiwał głową. Czy to czasem nie zgubny wpływ tego nieznośnego sceptyka?... Oto przykład, co się dzieje, gdy człowiek cho-

dzi luzem. Ha, być może, że trzeba będzie zająć się tym... tym...

Żurek chciał jakąś nazwą poklepać po ramieniu swego towarzysza, ale utknął i wrócił do swoich broszurek.

Krzesz siedział teraz całymi dniami w książkach, to prawda, ale co też on czytał! Grzebał się w stosie książek Żurka, książek — rzecz można — podstawowych, niezbędnych — i co? Odrzucał na bok to, co mu się podsuwało i jakimś własnym instynktem wyszukiwał z samego dna od dawna zakurzone strzępy, które pochłaniał potem żarłocznie.

Zdobywał też pokarm dla siebie i w inny jakiś sposób. Zjawiały się u niego książki nowe, które pozostawały w jego kącie, i książki z numerami, które miał tylko czas jakiś. Często kłócił się zęb za zęb z żywym słowem, płynącym z kart, i wypisywał całe filipiki na marginesach.

I miał jeszcze jedno, co wyglądało bardzo dziko: oto śmiał się nad książką. Czyżby czytał jakie ramotki? Nie, okazywało się zazwyczaj, że siedzi w filozofji, literaturze, historii... A co za chaos panował w jego bibliotece! Autorzy z najróżniejszych krain myśli godzili się u niego.

— Dobieram tylko według pojemności pierśi — odpowiedział raz Żurkowi.

A gdy ten zachował w oczach pytajnik, Krzesz tłumaczył:

— Czuję ich jak żywych ludzi. Mało: jestem za pan brat. A pod grozą ugrzęźnięcia nie można być za pan brat ze wszystkim, co pełza. Znając tę swoją poufałość, dobieram sobie lotne towarzystwo. Zaczynam też powoli podfruwawać.

Żurek stanął w obronie swojego księgozbioru. Czy tam Krzesz nic nie znalazł odpowiedniego? Czy wszyscy są tam „o małej pojemności piersi“?

Krzesz powiedział niechętnie:

— Dajmy spokój. Skoro wam z nimi dobrze...

Żurek jednak nastawał. Więc ten poeta? a tamten? a ten historyk? Żurek żądał wyraźnego wskazania.

— Ach, więc tak! — powiedział Krzesz. — Mierzi mnie ten słodkavo-szepleniący tonik. To mazgajstwo ckliwe, to niedołęstwo szlachetne z oczyma wywróconemi ku niebu. Te wąsy słowiańskie, obwisłe i ciekące miodem. Te wzdychania i rozpacze nieszczęśliwych kochanków z chudemi, drżącemi łydkami. Mierzi mnie dłubanie w strupach po bacie pana i mazanie twarzy limfą: oto jacy jesteśmy biedni! Plugawą jest mi wiara, że niewolnictwo może być wzniośłem, uniżona pokora — zaszczytem, a czucie własnej wartości — grzechem. Te babskie roz-

czulenia i zachłystywania się nad plotką puszczoną przez całą historję. To staranne wydłubywanie z mocarzy ich przywiązania do konika, do pieska, dziatwy. Ta przygniatająca ilość cnotek, miłosierdzia, ofiary, poświęcenia... I przy tem wszystkim tak mało mężów, godnych tej nazwy. Mężów, którzy się nie boją myśli żelaznych, krwawych i wilczych. Tylko męczennicy się mnożą i mnożą... Niedługo będą sobie robić harakiri na historycznych placach. Tfu!

Żurek wstał blady:

— Dosyć! — wrzasnął cienko, histerycznie. — Zabraniam wam...

Krzesz sięgnął po kapelusz:

— I cóż wy mnie... cóż możecie mi zabronić? Złękliście się...

Żurek sam żałował swego wybuchu. Bądź co bądź jako starszy i bardziej wyrobiony powinien był sprostować, wytłumaczyć... Tylko, że słowa tego rudego chłopaka były tak szybko, tak twardo, jak młot normandzkich najeźdźców w gliniane chaty słowiańskich rolników-grajków.

Żurek zauważył, że kiedy Krzesz wybuchnie, staje na palcach, pochyla się ku przodowi, a głowę odrzuca wtył. Jest to zapewne jakaś nadwrażliwość, nieumiejętność opanowania się. I dlatego Żurek, który zdołał okiełznać w sobie wszystko, powinien był...

Ostatecznie załagodziło się, i Żurek uregulował codzienne życie: ciekło ono. Zdobyli się nawet na kupno drugiej filiżanki i czajnika na esencję. To nawet było zbyteczne: ilu ludzi i tego nie ma?

Któregoś tam deszczowego dnia przyszedł Krauze. Ucisnął rękę Krzeszowi i pociągnął go do okna. Sprawa była bardzo ważna. Przedewszystkiem rzecz prosta — słowo honoru. Tak, a teraz sama sprawa. Otóż istnieje pewna grupa ludzi...

Krzesz porwał się:

— No, przecie! Nie chciałem sam. Ale Gelajza raz mi mówił... potem nic. Żurek też ani słowa. Dajcie mi w ręce... powiedzcie, co robić... jak...

Śmiał się, i ręce mu się trzęsły.

Krauze powiedział uprzejmie:

— Cieszę się, że mogę skonstatować u kolegi taki entuzjizm. Jeżeli chodzi o Gelajzę, to postąpił wbrew statutowi. Obecnie jednak staraliśmy się poznać was i po dwukrotnej uchwale...

— Więc teraz? teraz? — domagał się Krzesz.

— Przyjdziecie na zebranie...

Krzesz jednak nie zadawał się tem. Wypytywał o jakieś prace, o propagandę, agitację, wielkie, tajne wiece pokaźnych mas robotniczych,

zbrojenia gorączkowe... Pytał o ilość członków, o całą sieć organizacji...

Krauze tłumaczył spokojnie:

— Jeżeli chodzi o wpływy organizacji, to przede wszystkim młodzież szkolna... Posiadamy koła i podkółka... W każdej klasie około ośmiu ludzi.

— W klasie... ośmiu ludzi...

— Tak. Ponadto mamy cały szereg sekcji: więc wewnętrzna, oświatowa, kulturalna, wydawnicza... Także cały kompleks spraw...

— A wśród mas, ludu?

— Właśnie kolega Żurek, kierownik sekcji oświatowo-kulturalnej...

— Żurek?...

— Tak, właśnie. Utrwała nasze wpływy, posiada już jedno zorganizowane koło...

— Ach, tak...

— Tak.

— A wewnątrz... w samej organizacji...

— Rozwija się praca samokształceniowa, dająca znakomite wyrobienie polityczne. Cały szereg ludzi przygotowuje cały szereg referatów z najróżniejszych dziedzin, na podstawie dzieł...

— Aha, tak, tak. Rozumiem.

W znanym, tak dobrze znanym pokoiku Gelajzy i Krauzego — zebranie. To przecież nic, że to jest ten sam pokój, że te same łóżka stoją, i za piecem widać kołnierzyk. Krzesz chwytą nawet Gelajzę i szepcze mu gorączkowo:

— Wicie, czytałem opis podróży... Otóż ta góra Synai, gdzie Mojżesz z Bogiem..., wicie? wcale nie robi podobno wrażenia. Ot, górka, nawet niezbyt duża. Kto inny przeszedłby koło tej góry i nic... Cóż? góra... A Mojżesz umiał na niej rozmawiać z Bogiem. Zapewne nauczył się tego przy owym krzaku, kiedy Bóg mu powiedział: „Zdejm obuwie, gdyż miejsce, na którym stoisz — święte jest“. Przecie każde miejsce może być świętem? Z każdego krzaka Bóg przemawia?

Gelajza popatrzył na niego i powiedział tylko:

— Skręćcie kiedy kark, bo nie umiecie chodzić stępa. Galop, to rzecz może i przyjemna, ale niebezpieczna.

Przyszedł Żurek, panna Marta, Kulik i Dąbrowski, których Krzesz znał z widzenia. Wszyscy ci sami.

Krzesz oglądał się coraz na drzwi. Oni są, jacy są. Ale przecie ktoś odmienny musi ich napełniać swoim duchem.

Zaraz wejdzie ktoś...

— Kolego Krauze, zdaje się, że nie wszystkich zawiadomiliście? — zagadnął Gelajza.

— Wszystkich — burknął Krauze i zaraz dodał:

— Zatem otwieram posiedzenie.

Jakto? to on, Krauze jest przewodniczącym? Zatem kogóż brak?

Kulik, siedzący przy Krzeszu, objaśnił:

— Tak, kolega Krauze jest przewodniczącym. Kogo brak? Jednej niewiasty. Pozatem wszyscy.

Porządek dzienny. Sprawozdanie. Głos ma...

Znowu: cały szereg... utrwalanie idei... nasze wpływy... kierunek pracy... Krauze i Gelajza mówią sobie „wy, kolego“.

Teraz referat. Głos ma kolega Żurek. Wyjmuje z zanadrza mały kajecik, drobno zapisany. „Stosunek nasz do ugrupowań na terenie...“

Coś takiego,

Ciekną drobne słowa Żurka, ciągną się wąską niteczką, warczą nieustannie.

— Otwieram dyskusję...

— Proszę o głos!

— Kolega... ma głos.

Nic się nie dzieje. Ostatecznie cóżby się miało dziać? Kolega Żurek ma referat.

Krzesz unosi się zwolna na krześle. Prosi o głos. Krauze jest nieco zdziwiony. Rzuca szybko spojrzenie na pannę Martę.

Krzesz spogląda po wszystkich i widzi samych Żurków. Krauze jest Żurkiem i Kulik i panna Marta...

Krzesz buchnął naraz.

— Zda mi się, jakbyśmy wszyscy chodzili dokoła najważniejszej rzeczy. A jej samej nie tykamy. Owszem, nie chcę obniżać tych drobnych spraw. Ale to nie to. Przypomnę słowa Chrystusa: „szukajcie naprzód Królestwa Bożego, a wszystko inne będzie wam przydane“. I o tym kupcu, który sprzedał wszystko, aby jedną perłę... Otóż tej perły nam trzeba. Nie mamy jej. Co nią jest?... Trudno nazwać, łatwiej uczuć. Najprawdopodobniej jest to wielkie marzenie o tej wielkiej Polsce, która jest...

Żurek skubie swój kajecik, Krauze krzywi się nieznacznie, Gelajza wysunął się ze swego kąta.

— Trzeba nam marzyć wielką rzecz. Trzeba nosić w sobie coś olbrzymiego. Trzeba być brzemennym, jeśli się chce urodzić. A im większa

namiętność poczęła — tem potężniejszy będzie płód. Powiedziałem o tej Polsce, która jest. Ludzie rzeczywistości, ujętej w paragrafy, nie wiedzą tego, że Ona jest. Ale wystarczy zrodzić ją w sobie. W „Weselu“ jest to lotne słowo: „Co tam puka?“ „Serce“. „A to Polska właśnie“. To trzeba zrozumieć. I słowa Mickiewicza o powiększeniu granic Ojczyzny naprzód w duszy. Im więcej wśród nas będzie takich, którzy wymarzyli wielką Ojczyznę, tem bardziej będzie ona istnieć. Nie! jeżeli choć jeden człowiek Polskę marzy — to już jest Ona. Marzenie jest rzeczywistością bardziej niż rzeczywistość — to wam powiadam.

Krauze ściszył szmery:

— Przedewszystkiem nie za temat... Po drugie kolega jakby... chciał dawać nauki... I to nam, którzy...

Gelajza prychnął śmiechem wcale nie odpowiednim:

— Kolega Krzesz — strzykał przez zęby — wyobraża sobie, że wystarczy zamazać na mapce granice...

Żurek mówił dość długo i wreszcie zakończył obcesowo:

— Chcąc budować dom, trzeba naprzód zrobić cegły i z tych cegieł... kładąc je jedna na drugiej...

— Nie będzie z was architekt — bryznął i jemu Gelajza.

Po zebraniu przystąpił do Krzesza niezdarny, sękaty Kulik, ujął go za guzik od kurtki i długo mamrotał coś. Wreszcie wykrztusił:

— Garści to oni nie mają, nie! — potem szybko odszedł.

— Przypominam, że za tydzień... — wołał za nimi Krauze.

Było więc zebranie za tydzień. Jąkał się Kulik nad tematem: „My, a starsze społeczeństwo w epoce...”

Gelajza proponował ustalić raz na zawsze tytuł wszelkich referatów na „My i wy, a oni”. Krauze przywołał go za to do porządku. Już to przyznać trzeba, że Krauze znał zwyczaje parlamentarne.

Żurek mówił coś długo i niezrozumiale o „ludzie”. Jak wiadomo, owe trzy litery, które były na sztandarze anioła z „Anhellego”, to właśnie L. U. D. Jeżeli więc przyjdzie odrodzenie, to — właśnie od ludu, który...

Gelajza zawsze przerywał innym, prosząc o głos. Tak też i teraz. Żurek wobec tego usiadł.

— Czy kolega Żurek zna chłopów? — zapytał ciekawie i sam odpowiedział. — Jakkolwiek są dane na to, aby przypuszczać, że tak,

to jednak wiemy wszyscy, że kolega Żurek urodził się w naszym grodzie, żyje w nim i prawdopodobnie umrze. Ale może kolega zna chociaż „Chłopów...“ Reymonta? A inni koledzy? Bo to warto pomyśleć nad tem własną łepetyną, a nie tylko pytlować za innymi „lud, lud“. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, co to jest ów lud. Co za myśl klękać przed kimś, kto... Czy że ich jest dużo? Więc wartość będziemy liczyć na trzody? A może to nowej demokracji zarodem jest ten „lud“? No, to idźcie raz, do diabła, na tę wieś i nauczcie się arystokracji stopniowanej na morgach.

— Więc co? więc co?

Pytał Żurek i Kulik i Dąbrowski. Panna Marta dostała wypieków i zawołała także:

— Więc co kolega uważa?

Gelajza podniósł ciężkie powieki i obejrzał zebranie ciekawie:

— Co? A może tak, jak to mówią Moskale — „razczuistit miasto“.

Pomruk ogólny nie stropił Gelajzy. Ani też to, że Krauze przywołał go do porządku za wyrażenie „do diabła“. Potem wszyscy umilkli, i przez jakiś czas było cicho. Krzesz począł mówić w tej ciszy. Pierwsze słowa były tylko jakby nabraniem oddechu, potem zaczął się

w sobie i uderzył przed siebie. I jeszcze raz i jeszcze.

— ...być może, że chłop jest taki a taki. Ale to nic. Trzeba marzyć go jako wielką, świętą potęgę. Trzeba go w sobie stworzyć. A tę wizję rzucić przed siebie, opętać nią wszystkich. I ten lud także.

— I to pomoże? — skrzywił się Gelajza.

— To właśnie stworzy lud! — huknął Krzesz. — Teraz ludu niema — są chłopci. Ale my, każdy z nas może go stworzyć. Tylko trzeba raz oszaleć jedną wielką myślą. Trzeba z niej uczynić sprawę osobistą. Romans swego życia. Trzeba mieć odwagę myśleć siebie jako bohatera. A my? Cóż my?...

— A cóżby chciał kolega Krzesz? — pyta Gelajza.

— Co? żebyście uczuli tęsknotę za czemś innym. Żebyście nie dziwili się, gdy wam o niej mówię. To już dużo. A potem?... Nie międlić tych śmiesznych drobnych sprawek. Opalić włosy w pożarze!

Krzesz wyszedł z zebrania sam i ruszył w stronę rogatek. Reszta wyszła gromadką i skręciła w boczną uliczkę.

Tuż przy rogatce rozpoczynała się długa, czerwona glista koszar. Tępe, bezmyślne, wyprężone domy stały w równych odstępach. Przy

domach stały pasiaste budki, a w nich szare figurki, najeżone kolcami bagnetu.

— Potęga! — zaśmiał się Krzesz. — I cóż z niej zostanie, gdy marzenie wzrośnie z dusz ludzkich aż do nieba?

Na niewielkim placu żołnierze kłuli bagnetem worki, napchane słomą. Gromadka widzów stała przy drodze. Przeważnie młodzi ludzie, chłopcy. Krzesz przystanął.

Coraz to któryś z żołnierzy wyrywał się z szeregu i biegł niezdarnie, krzycząc chrapliwie: „uraa!“ Potem automatycznym, nieśpiesznym ruchem wyrzucał karabin przed siebie, wbijał bagnet w manekin i stawał spokojnie nauboczu.

Tęgi, młody człowiek, z małemi wąsikami, w krótkiej kurcie zwrócił się do stojących za nim chłopców:

— Uważajcie, że trzeba korpus wyrzucić do przodu, wraz z rękami, lewa ręka na łożu karabinu...

Ujrawszy Krzesza, człowiek zamilkł i mruknął :

— Gęby na kłódki.

Krzesz zmarszczył czoło:

— Aha — mruknął — coś, co jeszcze mogłoby... Tak, tak. Szpada Piotra Wysockiego. A może ta z pod Zelwy...

Śpiesznie zawrócił ku miastu.

Na drugi dzień spotkał Kulika. Ten odprowadził go do mieszkania. Szedł zabawnie — bokiem, gdyż półobrotem zwrócony był w stronę Krzesza.

— Bardzo źle, że nie macie sztandaru! — powiedział Krzesz.

— Dlaczego? — spytał cicho Kulik.

— Człowiek powinien nieść coś ponad swoją głową.

— Tak?

— Tak. Inaczej tłum patrzy pod nogi.

Kulik najwięcej mówił rękami, daru słowa nie miał. I teraz też ścisnął coś gwałtownie dłońmi, otwierał ramionami przed sobą drogę, jakby mgłę rozcinał, potem zdusił coś pod sobą i stanął na tem twardo. Powiedział jednak tylko: „tak“.

Przy pożegnaniu mówił coś długo dłoni Krzesza — swoją twardą dłonią. Krzesz uśmiechnął się i powiedział do siebie:

— Tak, tak. Może jeszcze to.

Na zebraniach nie bywał teraz wcale. Żurek powiedział mu kiedyś przy kolacji:

— Przyjęcie referatu jest obowiązkiem organizacyjnym.

Żurek mówił teraz mało i był mniej uprzejmy. Nawet herbaty nie nalewał.

— Cóż nowego w kole? — spytał Krzesz.

— Nowego? — skrzywił się zabawnie Żurek. — Dużo nowego. Nawet za dużo.

— Nowego za dużo? Ho, ho!

— Kulik nie chce pracować w mojej sekcji.

— Doprawdy?

Możecie nie udawać. Nie wierzę w wasze współczucie. To przecież przez was... Widziałem go z tym „zarzewiakiem“, Sikorą.

— Taki niski, tęgi?

— No, widzicie: i wy też...

— Nie znam go! — uciał Krzesz. A po chwili z uśmiechem. — Więc to przeze mnie?

Żurek nie odpowiadał, nastroszył się jak mały, szary puhacz w ciemnym kącie kanapy.

— I czemu wy nosicie kapelusz w rękę? — spytał wreszcie rozdrażnionym tonem.

— Patrzajcie — zdziwił się Krzesz — to samo, czy coś podobnego mówiła mi pani Berg.

Żurek nie zwracał uwagi na tę odpowiedź: niechętnie mamrotał:

— Zaledwie robotę się jako tako popchnęło, a tu...

Krzesz ziewnął i odszedł w drugi kąt pokoju. Po chwili otoczył się jasnym kręgiem lampy wraz ze swoją książką. Żurek nie ruszył się z kanapy: jego nafta już się wypaliła.

W tę chwilę wpadł Gelajza rozgadany i ruchliwy:

— A co? nie omyliłem się? — rzucił Żurkowi.

— Cóż takiego?

— A no, ruszek jest, ruszek!

— Jeśli ci milszy nieporządny ruch, niż...

— Milszy mi, kleryczku — powiedział Gelajza.

Zasiadł głęboko w kanapie, z rękami w kieszeniach. Mrugał na Krzesza i śmiał się. Potem znów zwrócił się do Żurka.

— Strach, jak wy wszyscy boicie się myślenia. Ty to pewno modlisz się: „Boziu, Boziu, daj tak, żebym nie myślał dużo, bo to bardzo brzydko i szkodzi na brzuszek“.

Teraz Gelajza zwrócił się do Krzesza:

— Wiecie, Krauze dotychczas żuje wasze apostrofy. Siedzi nieraz, siedzi i ni stąd ni zowąd mruczy: „przecież to niema sensu! Tak może gadać człowiek bez żadnego wyrobienia organizacyjnego“. Okazuje się, że to wszystko pod waszym adresem. Bardzo mnie to cieszy.

— Tak! — spokojnie dziwił się Krzesz. — A to czemu?

— Specjalnie mi o niego chodzi. To jest, widzicie, urodzony prezes. Gdyby ludzie zaczęli nagle chodzić na głowach, onby zaraz nauczył się robić to z najpoważniejszą miną i mówiłby: „kolego, przywołuję kolegę do po-

rządku, za to, iż obraził zebranie, stając ordynarnie na nogach“.

— A przecież i wy... — śmiał się Krzesz.

— Cóż ja? Ich straszycie, a mnie bawicie. Ale ja waszej wiary nie chcę, bo nie chcę żadnej, a oni — bo mają swoją. Bardziej ...hm, przydeptaną, używaną i obłaskawioną. Przeciąg, przeciąg jest! Szkoda tylko...

— Że?

Gelajza zamilkł. Wyłamywał z trzaskiem swoje długie palce. Wreszcie ocknął się:

— Tak, właśnie. Szkoda, że nie była na tych zebraniach pewna... osoba. Chciałbym, żebyście i tej osobie nieco zmacili...

Krzesz wstał i przeciągnął się:

— Słuchajcie, Gelajza — powiedział — wy lubicie widać brudną wodę. Dlatego, gdy ktoś się rusza, uważacie, że maści. Ale niech wam się nie zdaje, że mnie do tego używacie. Z mojego chaosu rodzą się planety. Bo ja...

— Cóż wy? — skrzywił się Gelajza.

Krzesz wyciągnął ręce do góry i wspiał się na palce:

— Ja sobie latam!

— Cie! — zjadliwie rzucił Gelajza. — Jak to się prędko wypierzył...

— Latam sobie — powtórzył Krzesz, uśmiechając się wprost w twarz Gelajzie. — A poco?

Dla własnej radości. Komu ochota — może ze mną lub za mną. Neosokratyk pan Henryk Gomperz nazywa to παιδίας χάριν — dla zabawy. Twierdzi on, że gdyby Boga spytać, poco świat stworzył, odpowiedziałby: „paidias charin“ — dla zabawy, dla radości tworzenia.

— Wypierzył się rychło, wypierzył! — mruczał Gelajza. A po chwili zagadnął:

— A co to za dokumenty wertujecie w bibliotece Łopacińskiego? Przecież ich nikomu nie dają...

Krzesz odwrócił się naraz:

— Skądże wy...

— Skąd wiem? — zmrużył oko Gelajza. — Ja staram się o wszystkim wiedzieć.

Żurek przyjrzał się uważnie Krzeszowi. Czy ta twarz pod rudą wiechą nie wydłużyła się w ostry trójkąt? Brwi ściągnęły się, jakby z punktu ich zetknięcia miała wypaść iskra...

— Czy nie jesteście chorzy? — spytał Żurek.

Krzesz usiadł na poręczy i objął go ramieniem:

— Nie, nie! — uśmiechnął się. — Dobrze mi, radośnie...

— Widzicie — szepnął cicho Żurek. — Mnie najlepiej, jak tak spokojnie, pracowicie... cegła po cegle...

Krzesz przycisnął go:

— Niechże będzie. Niech. Ale musicie mieć w oczach cały dom: ganek na białych kolumnach, podsienia, szkarpy, przybudówki... Wtedy każda cegła inaczej się położy. Wtedy każda będzie odbiciem całości.

— Tak, tak! — szeptał Żurek.

— I jeszcze: trzeba chcieć, żeby dom był bardzo, bardzo wysoki. Choćby się budowało tylko fundament. Choćby...

— Tak, tak — mówił Żurek i naraz porwał się z kanapy:

— Herbaty zrobię, prawda? — i nie czekając, wypadł z czajnikiem.

Gelajza siedział z twarzą zanurzoną w dłoniach i milczał.

Niedługo wrócił Żurek, a z nim Krauze. Krauze przywitał się ze wszystkimi i szukał przez chwilę miejsca dla swego kapelusza.

— Może herbaty — bąknął Żurek.

— Nie, nie! — Krauze chodził sprężyście po pokoju. — Ale może masz papierosa?...

— Owszem, zaraz... — zakrzętała się Żurek.

— Cóż, prezesie? — zagadnął Gelajza, zaciskając cienkie wargi.

— Nic takiego... Aha, koleżanka Ewa przyjechała.

— Skąd wiesz?

— Dostałem kartkę od niej — odpowiedział Krauze, nie przerywając spaceru.

— Cóż robi sercu memu ulubiona Marteczka? Zwinęła się i syczy?

— Wiesz, mógłbyś o swojej siostrze...

— A cóż ty?

— Wiesz chyba, że ją szanuję, jako...

— Wiem, wiem, jako co — burknął Gelajza.

Żurek wodził oczami od jednego do drugiego, wreszcie rzekł:

— Doprawdy, nie rozumiem...

— Wiele rzeczy nie rozumiesz! — cisnął mu Gelajza. — Nie widzisz, że jaśnie prezes, zadufały silnie w sobie, nie boi się głośno obwieszczać swej nowiny? Otóż to ciekawe. Być może, że czyni to za poradą zacnej Marty, która doprawdy bardzo nietęgą cząstkę sobie obrała. Jest to tak zwane blufowanie. Robi się to w celu zastraszenia przeciwnika...

— Mylisz się — powiedział Krauze, uśmiechając się kątem ust.

Gelajza obejrzał się na Krzesza, który ciągle tkwił w książce:

— Cóż wy na to?

Krauze poruszył się:

— Franek!

Krzesz dźwignął głowę i spojrzał na nich:

— Wiecie? przecież to za kilka dni rocznica.

— A tak, kolega ma rację — uprzejmie odpowiedział Krauze. — Będzie też zebranie Koła. Koleżanka Marta ma referat.

— Referat! — sapnął Krzesz.

— Tak. A co?

— Bójcie się Boga! — zerwał się Krauze. — Chociaż raz w roku koło Wielkiej Nocy!... Coś... coś... tak, jak oni!

— Ruchawkę zrobić — mruknął Gelajza.

— A bodaj! — rzucił mu Krzesz.

— Owszem, możnaby coś... odmienić — bąknął Krauze. — Czy kolega ma jaki realny projekt?

Krzesz chwycił go za ramiona i mówił cicho:

— Zwołacie wszystkich. Niech się stawią w jedno miejsce.

— Jakto, całą organizację? Nie zmieścimy się...

— Nietylko naszą. Zarzewiaków. Szkoły całe. Cechy. Robociarzy. Raz zobaczymy się w sile!

— Ale cóż wy?...

— I nie referaty. Pieśni wielkie. Melodje, szarpiące ciało do krwi. Sztandar. Potem przysięga wszystkich. Ułożyć rotę: „na pierwszy dźwięk trąbki“...

— Ależ!...

Krzesz spojrzał w oczy Krauzemu.

— Tak... czasem robi się „masówki“... z innymi organizacjami, ale...

Krauze wydobył się z rąk Krzesza i powiedział, wychodząc:

— Pogadam jeszcze z ludźmi.

— Z Marteczką! — rzucił za nim Gelajza. Żurek podszedł do Krzesza:

— Będę głosować — bąknął — będę... za wami...

Krzesz jednak nie był na decydującem zebraniu, dopiero w przeddzień spotkał go Gelajza i powiedział:

— Krauze jest w swoim żywiole: urządza. Sprowadził nawet cztery oleandry.

— Więc będzie?

— Ale naturalnie, naturalnie. Kulik głosił za waszym projektem, Dąbrowski, ja — dla różnorodności, ba! Żurek. No i jeszcze ktoś...

— I...?

— Nie wiele więcej wiem, to nie mój wydział. Krauze robi zebrania „porozumiewawcze“, układa program... Ma już aprobatę.

— Czyją?

— Senatu narodu rzymskiego.

— ?

— Nie mogę wam powiedzieć. To tajemnica organizacyjna. Zresztą dla was najważniejsze, że będzie wszystko... nawet sztandar...

— I gdzie?

— W fabrycznej hali. Żurek wie adres i godzinę,

Rzeczywiście Żurek poprowadził w oznaczonej porze, krążąc konspiracyjnie po zaułkach.

Domy stawały się coraz mniejsze, bruki koślawsze, przechodnie — bardziej zniszczeni. Potem budynki urwały się naraz i równo z niemi szedł monotonnym, miarowym krokiem brudny, głuchy parkan. W pewnym miejscu wystrzeliła nad nim gruba kiszka komina ceglanego i kilka podobnych budynków ordynarnie odwróconych do ulicy ślepią ścianą.

Żurek zastukał cztery razy do furtki. Otworzył im ponury człowiek w kożuchu i mruknął:

— Niech towarzysze idą na prawo.

Przy drzwiach wielkiego, czerwonego budynku spotkał ich krępy, młody człowiek w krótkiej kurtce:

— Czołem, obywatelu! Proszę do środka.

Nagle przystąpił do Krzesza. Pochylił bity kark i zapytał:

— A pan kto?

Żurek pośpieszył z objaśnieniem, gdyż Krzesz jakby nie słyszał pytania. Dopiero po chwili Krzesz położył rękę na ramieniu grubasa:

— Będziecie mi potrzebni.

— Według... — zaciął się tamten i naraz wyciągnął rękę. — Sikora jestem.

— Wiem — odpowiedział Krzesz i odprowadził go na bok.

Sikora rozgadał się odrazu. Szeptał żarliwie, z namiętym uporem. Dla niego było jasne, a chyba i dla każdego, że należy natychmiast tworzyć siłę... Polak odzwyczaił dłoń od rękojeści... Trzeba uczyć się postawy... i tego twardego znieruchomienia na rozkaz. Trzeba stać się żołnierzem... choćby bez munduru... choćby...

Krzesz powiedział mu, że mundur można czuć na sobie, nie mając go, i spojrzął na jego kurtkę. Sikora natychmiast wypiął pierś i pokręcał małego wąsika. Potem nachylił się i zaczął kogoś upatrywać w głębi ciemnego tłumu, gęszczącego się zwolna w drugim końcu hali. A dojrawszy znać, krzyknął stłumionym głosem:

— Smok!

Od tłumu oddzielił się młody chłopak w uczniowskiej czapce i na chwilę stanął sztywno przed Sikorą.

— Pójdziecie na kwaterę i przyniesiecie egzemplarz instrukcji... taktykę... opis karabinu 75...

— Według rozkazu!

Chłopak obrócił się na pięcie i znikł. Si-

kora spoglądał z pod oka na Krzesza. Wreszcie sam zagadał:

— U mnie musi iść piorunem.

Tłum zapełniał olbrzymią halę coraz gęściej. W pobliżu zbitej naprędce estrady kręcił się już Krauze i kilku innych.

Za chwilę zjawił się zdyszany uczeń i wręczył Sikorze płaską paczkę.

— Otóż to! Patrzcie — gorączkował się Sikora, otwierając książki.

„Walka na bagnety jest rozstrzygającym zakończeniem bitwy, prowadzonej ogniem... Jeżeli dowódca wysłany jest z oddziałem, nie przewyższającym siły plutonu na wywiad...“

Sikora patrzył z zadowoleniem na usta Krzesza, które chwyciły z powietrza tak wielki krzyk, iż nie były go zdolne pomieścić. I naraz coś zgrzytnęło w szczękach Krzesza, i zwarły się twardo.

— Dobrze — powiedział krótko. — Będziemy tworzyć żołnierza.

Sikora patrzył na niego przez chwilę i naraz wyznał:

— Wiecie... z was byłby morowy oficer.

Krzesz uśmiechnął się krótko:

— Dlaczego „byłby“? Nie trzeba wątpić o przyszłości.

Na sali zapanowała cisza. Krauze wyszedł na trybunę i stanął w pięknej pozie:

— Obywatele! — zaczął.

— Niemógł sobie odmówić — mruknął Gelajza, który znalazł się naraz obok nich.

Krauze mówił coś poważnie, ale Krzesz nie mógł go słuchać: ztyłu za estradą wykwitał krwawy znak z białym, drapieżnym ptakiem. Chwiał się groźnie w powietrzu, upatrywał zdobyczy, brał w posiadanie ten tłum niewidoczny, ciemny.

Głuchy poszum pochylił głowy. Tłum zakołysał się i przysunął bliżej. Krauze musiał przerwać, zakończył więc jakimś stosownym okrzykiem.

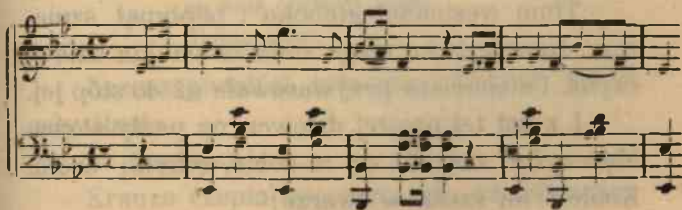
Krzesz wyprostował się i szedł w stronę estrady. Lunatycznym, spokojnym ruchem wziął z czyichś rąk sztandar, zacisnął ręce dokoła drzewca i spojrzał w zbity tłum, gorejący ku niemu z ciemności iskrami setek oczu. Ledwie rozróżnić można było chmurne, węzłowate postacie robotników, szczupłe twarze młodzieży, studentów, uczni... Jakiś siwy pan w meloniku stał tuż przed estradą i płakał bezwolnie, nie ocierając łez, które mu spadały na krawat.

Krzesz mówił oczami do tych ludzi, a oni rozumieli go. Mówił im, że człowiek powinien krew swą oddać sztandarowi i wznieść go po-

nad siebie. Wtedy sztandar żywym się stanie i wielkim.

I z tej wielkiej ciszy począł nagle wykwi- tać cichy, bezsłowny pomruk melodji. Nie wy- mawiano słów, lecz każdy widział je wypalone ogniście w swym mózgu. Pomruk rósł, przele- wał się, tętniał w setnych piersiach, że drżały jak pudła skrzypiec. A potem drgać zaczęły ściany wielkiego budynku i nad wszystkim tłu- mem powiało naraz coś potężniejszego od niego samego. Łopotała wielka melodja, krwawa jak znak narodowy, a skrzydłata jak orłę.

Zaciśnięte twardo wszystkie usta, a wkoło : przy nich, między nimi i w górze — wielka pieśń :



Zmarła pieśń i cisza skupiła swe oczy sto- krotne na estradzie.

Krzesz cofnął się w głąb i patrzył także na puste miejsce, na którem ktoś miał stanąć. Ale nie stanął tam nikt buńczuczny ni zbrojny.

Na estradzie stanęła smukła dziewczyna w ciemnej sukience, z warkoczami, puszczone- mi na piersi.

Aż nadto znany widok. Widzieli ją wszyscy i znali z kartonów Grottgera, z obrazków, chowanych w starej książce... Widzieli ją na ganku starego dworku, lub w saloniku empirowym przy szpincie, lub żegnającą młodzieńca z orzełkiem na rogatywce...

Taki znany widok.

Stała prosta, cicha i ciemnymi oczami patrzyła ponad głowy tłumu.

Krzesz uczuł naraz, że postać ta jest z jego duszy wyłoniona. Że jest mu swojską aż do bólu, że jest rdzeniem jego myśli i prawie treścią miłości sztandaru. A może jest to sama — Polska.

Tłum westchnął głęboko i popłynął szmerem. Naprzeciwko niego stała ta smukła dziewczyna. Potem cisza przywarowała aż do stóp jej.

I z ust tej prostej dziewczyny padły słowa. Mężczyźni zaczęli się w sobie, schylili czoła. Kobieta im rzuca w twarze:

— Hej, bracia, dzieci, żołnierze
za broń, za broń, za broń!

— — — — —

Przyszedł czas, gdy zrywamy obrożę,
co gardła i ręce porze...

— Tak, tak! kochana — szeptał przez zęby Krzesz. — Ty im to mów. Zrozumieć im twarze. A potem oczy rozzuchwał. A potem dłoniom

ich daj pożądlivość broni, aby nie były gołe
jak ręce niewolników. Niechaj sztandar po-
niosą nad sobą. Niechaj się rozkochają w ma-
rzeniu wielkiem.

Czas pomsty za bezprawie.
czas pomsty, lećcie żórawie,
roznieście po polach skry
z płonących chat!

— — — — —
Oto godzina wybija,
gnana tęsknotą lat
do broni! Jezus, Marja!
Do broni za Polską, za krew,
za lata niewoli i nędz
za widma, upiory jędz,
co nasz obsiadły dom,
niosąc srom.

Krzesz podniósł sztandar i huknął ponad
cały tłum:

— Do broni!

Krauze czepiał się jego rąk, aż odtrącony
został między schodki, deski i oleandry.

Sikora krzyczał na całe gardło:

— Hej kto Polak na bagnety!

Żyj swobodo...

Tłum cały chwiał się i kołysał wtył i na-
przód. I niewiadomo było, co w chwili tej uczyni.
Czy zarchanieli się — czy jak stado runie gdzieś
obłąkany...

Naraz z dworu wpadły ostre strzały gwizdawk i nieczłowieczy wrzask:

— Ludzie!... Policja!...

Tłum zawahał się na chwilę, potem ryknął strachem i rzucił się zwartem cielskiem do drzwi. Natarł na nie, wyważył i parł boleśnie naprzód. Naraz pękł napoły, i gęsta lawina runęła od drzwi ku estradzie. Gęsta masa objęła i zalała stojącą przy niej garstkę, porywając ją ku drugim drzwiom. Przez chwilę mignęła ponad tłumem ptasia głowa Gelajzy, bryzgającego przekleństwami. Gdzieś przy ścianie zaparł się wściekle Sikora i prał rozpaczliwie pięściami, rycząc:

— Plutonowy Smok! Do mnie, psia...

Wtedy Krzesz stanął szeroko i uniósłszy sztandar, zatoczył warczące półkole tylcem drzewca. Nawrotnym ruchem drzewce do reszty oczyściło plac, aż pękło na jakiejś zwartej gromadzie.

— Uciekaj! — krzyknął mu ktoś.

— Ja?

Krzesz stał pośród pustej prawie hali i unosił wysoko sztandar na ułamku drzewca. Na zewnątrz trwały jeszcze krzyki, ale tu było coraz ciszej: nie przychodził nikt. Krzeszowi mdały ręce.

Wreszcie zrozumiał. Opuścił ręce ze sztandarem i obejrzał się po pustej hali. Naraz...

— A pani co tu?... — cofnął się.

— Zostałam przy sztandarze — powiedziała dziewczyna i dodała. — Sama go haftowałam, a zresztą...

— Zresztą?

— ...wstyd mi było...

Krzesz mimowiednie przystąpił do niej i spytał nieswoim głosem:

— Kto ty... kto pani jest?

I zaraz przerwał sam sobie:

— Już wiem, nie mów.

Patrzyli na siebie oboje, nie mówiąc już nic. Potem Krzesz ujął jej rękę i nachyliwszy głowę, pocałował ją ostrożnie. A ona szybkim, dzieciennym, (a zarazem matczynym), ruchem objęła jego głowę i dotknęła ustami jego czupryny.

Stali teraz zdziwieni, zawstydzeni i radośni.

— Jak ci na imię? — spytał Tomasz.

— Ewa.

— A mnie Tomasz.

— Tom — uśmiechnęła się Ewa.

Naraz szelest u drzwi. Tom szybkim ruchem zdarł sztandar i ukrył go w zanadrzu. Obrócił się ku drzwiom. Ewa stanęła przy nim.

To był Sikora i z nim kilku chłopców. Sikora kłął zawzięcie:

— Bydło, psiakrew! Trzeba było wpuścić policję, a potem z flanków... Gdzie sztandar?

— Jest — wskazał Krzesz.

— Bo my tu właśnie eskorta — bąknął Sikora.

— Ani rusz nie można się było wyrwać! — oświadczył ze łzami w oczach czerwony ucniaczek, plutonowy.

— Przeprowadzimy was — zdecydował Sikora.

Krzesz szedł szerokim krokiem: na pierśsiach czuł sztandar.

Pocziwy przytulny pociąg powtarza niezmordowanie: Ko-cha-na! Ko-cha-na!

Ma rację dobry, serdeczny smok: wiecznie nowa, choć wiecznie ta sama treść wykwita w owem słowie. Powtarzać je można bez przerwy, ciągle, niezmordowanie.

Kochana!

Jest taka szczuplutka i taka bezbronna, a tak ufnie przytuliła się snem do mocnego ramienia. A kiedy nie śpi — jej drogie oczy uświęcają każdy odłamek szarej rzeczywistości. Świecą cichym, ciągłym uśmiechem i witają z radością każdą maleńką niespodziankę dnia.

I co kilka chwil szepcze tajemniczo:

— Tom, jak to się stało?

Tom tłumaczy. On zresztą sam niewiele wie. Jeszcze kilka godzin temu nie przypuszczał wcale... Choć kiedy ją ujrzał wtedy, w hali...

— Powiedz, powiedz, jak to było? — prosi cichutko. — Gdzie ty stałeś?

Stał nieco z boku, trzymając sztandar. Pa-

trzymał też na puste deski i wiedział, że ktoś ma się na nich zjawić. Ktoś...

— A tu ktoś mały się zjawił. Ktoś zwykły, prosty sobie...

Otóż właśnie w tem jest jej siła. Nie umie tylko Tom tego wyjaśnić. Właśnie to, że jest „prosta sobie“. W ciemnej, żałobnej sukience, z białym kołnierzykiem... I te dwa warkocze. Niewiadomo, niewiadomo, co w tem jest.

— I jak było dalej, opowiedz.

Więc opowiada Tom bajkę nie-bajkę, znaną i nieznaną. Już wtedy zrozumiał, że jest ona z niego. Jakby jego częścią była. Jakby oderwanie jej, nieobecność, dalekość była torturą. A potem w jej białym pokoiku... takim właśnie, jak w „Warszawiance“... gdy grała... a potem siedziała cicho na kanapce... Właśnie wtedy zdało mu się, że jest ona biednym kochanem dzieckiem, zabłąkanem w obcym mieście. Dziecko, które trzeba otulić kożuchem i na piersi nieść. I zarazem wiedział przecie — pamiętał jeszcze jej oczy, patrzące w tłum okrzykiem — że jest polską dziewczyną, taką, która... Nie, to się nie da inaczej wyjaśnić. Polską dziewczyną... I wiedział, że zawsze stanie mu przy boku, jak wtedy. Patrzył na nią, wtuloną w kąciku kanapy... Wówczas właśnie...

— A potem, potem? — dopomina się Ewa.

Tom posłusznie opowiada „owo potem“. Powiedział jej więc, że jest jego na całe życie, prawda? I powiedział, że ślub będzie za sześć tygodni właśnie na św. Tomasza. Dlaczego tak właśnie powiedział — nie wie. Ale to wszystko miał w sobie i musiał to rzucić „na ekran rzeczywistości“.

— To jak bajka wszystko, prawda?

— Jak bajka, kochanie moje. Bo bajka, to wywoływanie z lasu szarego wilka przyszłości. Musi on tak tańczyć, jak mu bajka zagra. Śpiew bajki wznosi miasta i kraje. Troja zbudowaną była graniem królewskim. Trzeba tylko wielką bajkę stworzyć, a ona sama ciałem rzeczywistości się otoczy.

— A potem, potem?

Potem była mała kapliczka, dużo kwiatów i nieco ludzi, których się zresztą nie widziało. Potem paszporty, tajemnicza gęba Sikory, wyuczone na pamięć adresy i pocziwy, przytulny pociąg.

— Zakopane!

Krzesz jest jak dziecko: na głos śmieje się do góralczyków, obskakujących tłum:

— Zawsze podejrzewałem, że ci górale z widokówek i książek nie wyglądają tak naprawdę. Zdawało mi się, że nikt nie będzie miał odwagi ubrać się tak całkiem inaczej...

A teraz myślę, że ktoś takiego góralczyka sobie wymyślił i taki góralczyk sobie jest. Dlatego jest. — Potem dziwi się Tom i zachwyca domkami.

— To dlatego — mówi Ewa — że one mają twarze. Kiedy przyjechałam pierwszy raz do miasta, nie rozumiałam, jak ludzie trafiają do domów, bo każde drzewo i każdy krzak ma swoją duszę i twarz, a domy twarzy nie mają. Może dlatego, że mieszka w nich za dużo ludzi. Tu, budował każdy dla siebie, więc dom uśmiecha się jego uśmiechem.

— Poetko moja — mówi cicho Tom.

— Czy dlatego, że piszę? — śmieje się leciutko Ewa.

— Nie, dlatego, że widzisz — poważnie mówi Tom.

Zaledwie roztasowali się w pokoiku, sączącym ze smolnych desek świeży aromat, gdy Tom już porwał się do wyjścia.

— Jeden dzień mam tylko! — gorączkował się. Jeden dzień do kursu, więc oczywiście — Kościeliska. Białe duchy świerków stoją zadumane tajemniczo. Ciężkie zwisy skalne i śnieżne strzępią się nad głowami.

Krzesz mówi:

— A gdzież góry, które mi obiecywałaś?
Ewa śmieje się:

— Może jeszcze nie wymyślone? — przekomarza się.

Gór nie widać wcale. Może tylko te ciemniejsze zarysy chmur...

— Więc to tu mają być śpiący Rycerze — mówił cicho Krzesz. — W legendzie też jest nasza siła. Naród marzy o swych żołnierzach. Naród marzy ich i — wymarzy.

Śpiący Rycerze... To jest moc, która się ocknie. Wierzymy w siebie. Znamy swoje siły, choć nie widzimy ich. I wiarę wyczarujemy z niebytu...

— A czy to właśnie, że wy tu... w Tatrach... my młodzi, zbrojni...

— Ależ tak! — porwał się Krzesz. — Przecież to jasne. My to jesteśmy Zbudzeni! O, jakąż potęgą jest marzenie namiętne! Trzeba teraz milczeć i cicho myśleć niespokojne myśli. Bo wielkość jest w pobliżu, bo dotyka prawie dnia codziennego.

Zarysy starych fortec, baszt i murów wyrastają z pod nóg, aż hen, wysoko i dumnie powiewają zielonemi sztandarami świerków.

Teraz powrót.

A potem... Potem dziwnie się dzieje z biegiem czasu. Przed samymi oczami idzie powoli, a ledwie minie — już gna cały pędem, ni to słup, z okna wagonu widziany.

Jest się w miejscu każdym, w którym się jest teraz, a nie wierzy się w możliwość bycia gdzie indziej. A kiedy się wspomina — wspomina się jakby nie siebie. A kiedy się patrzy w przyszłość, przenosi się do niej z obecnej chwili, z każdym uderzeniem pulsu.

I jedno i drugie z nich nie wiedziało, kiedy przemykały ukradkiem zdarzenia, tworzące kanwę i wzory życia.

Ewa wyjechała na drugi dzień. Potem kurs: dwa karabiny na czternastu ludzi... „Lewa noga, zgięta pod prostym kątem, prawa ręka opiera się łokciem na biodrze...”

Ciemne, brudne sylwetki, leżące na śniegu w równych odstępach... Gorzka kawa... Wieczna zupka grzybowa... Nadęty, „ważny“ sierżant „Folblut“... „Hej strzelcy wraz“...

I mocne, mocne zawarcie siebie gdzieś w głębi, a nazewnątrz obrośnięcie polewą żelazną.

Potem głucho kołatanie pociągu. Niemilknąca rozmowa w sąsiednim przedziale. Niechlujne gromady chat. Stacja znużona śmiertelnie swoim bufetem, naczelnikiem i zielonym cebrem.

Aż wreszcie — kres.

I tylko to jest jasne, i nowe, i ciepłe, że wśród tłumu zbytecznych, nijakich postaci odnajduje się tak radośnie znaną twarzyczkę.

I można nic nie mówić i rozumieć wszystko i wszystko tłumaczyć.

I nic to, że ulice tak samo stare, zniszczone i nędzne, jakby nic nie można było już zmienić. Że na nic nowego nie potrafią się zdobyć.

Nic to, że miasto śpi dusznym, zateęchłym snem...

Nic to.

— Ciągle czekałem — mówi Tomasz — że zjawi się ktoś całkiem inny. Ktoś, kto byłby całym mną i czemś ponad mnie.

— I?

— I nic.

— A ja ciebie chcę widzieć tym kimś — mówi dumnie Ewa. — Stać cię na to, żebyś i ponad siebie był. Chcę tego...

Krzesz długo patrzy na jej drobną twarzyczkę. I nie mówi nic, tylko prostuje się i pręży ramiona.

Na pierwszej odprawie Krzesz mówił mało:

— Raport... Spis musi być gotów... Ordre de bataille...

Wstawali, mówiąc do niego.

Szpakowaty skarbnik Towarzystwa Ubezpieczeń, mały, z wystraszonemi wąsami, powtarzał z widocznem zadowoleniem:

— Obywatelu Komendancie!... Czy Obywatel Komendant uważa...

Nauczyciel Jaszczurski („Gad“) był poważny i służbisty. Ksiądz tylko był niepewny: zaczynał nieśmiało słowa i milkł nagle.

Sikora trząsał zajadle obcasami Gelajza zamknął coś i zawarł w wąskich wargach, nie mówił nic, ale rozkazów wysłuchiwał spokojnie. Był podoficerem broni i magazynierem.

Po odprawie wyszli razem.

— No, cóż? — rzucił mimowoli Krzesz.

Gelajza skrzywił się zwykłym uśmiechem:

— Służbowo, czy prywatnie?

— Prywatnie — uśmiechnął się Krzesz.

— Zatem, opowiem ci pewien żydowski zwyczaj. Jak wiesz, żydzi uważają się za naród wyższy. Resztę zaś, to jest nas, traktują jako swoją własność, swoich niewolników. Więc kiedy obywatelowi wiejskiemu zdaje się, że on ma faktora, to faktor uważa przeciwnie, że on ma dziedzica. Ma go w dzierżawie, w pachcie. Zdarzają się też zatargi: jeden faktor uważa, iż ma wyłączne prawo eksploatacji dziedzica, i drugi również. Z taką sprawą idą do rabina, który rozsądza. Więc Icek ma prawo eksploatacji dziedzica Psiej Wólki, a Szmul zato ma wyłączne prawo na chłopów z Psiej Wólki. Gojów z miasteczka też dzielą na części i oddają we władzę poszczególnych żydków.

— Więc?

— Więc w ten sposób żydkom się zdaje, że panują nad światem. Przyszło mi to na myśl na dzisiejszej odprawie. Ten jest komendantem miasta, ten powiatu, ten województwa, ten naczelnikiem sił zbrojnych... A tych sił zbrojnych jest zero całych, guzik dziesiątych. A to miasto i powiat i województwo nie drgnie nawet na rozkaz tych władców, mieszkających w jednym pokoiku.

Krzesz uśmiechnął się:

— A pamiętasz Traugutta? Ze swego właśnie pokoiku rządził Polską. Przy nim była prawdziwa władza, nie przy Czengierym lub Bergu.

To tak jak z Łokietkiem. On był królem nawet wtedy, w jaskiniach Ojcowa... A tylu, tylu innych. Marat, Danton czem byli, gdy Ludwik był królem?

— Ja mówię, co widzę — mruknął Gelajza.

— Ale widzisz tylko to, co widzisz — uśmiechnął się Krzesz.

— Oczywiście! A cóż można innego?...

— Można, bracie. Można.

Szli w milczeniu. Przy rozstaniu już Gelajza zatrzymał rękę Krzesza:

— Czy wiesz, co ja mam „na składzie“?

— No?

— Jeden karabin rosyjski, dwa Manlichery, jedną berdankę śrutową i dwa rewolwery — buldogi.

Krzesz spojrzał uśmiechniętymi oczami:

— Obiecuję ci armatę. Uważasz? Armatę.

Gelajzie na moment błysnęły oczy, ale zaraz machnął ręką:

— Kochany warjat z ciebie.

Nie odchodził jeszcze: miał tuż w zanadrzu słowa, ale nie śmiał po nie sięgnąć. Wreszcie:

— Jakże tam — bąknął — koleż... to jest pani Ewa?... Aha, to dobrze. A ty ani wiesz, jaki kij w mrowisko wetknąłeś...

— ?

— Tak, tak. Krauze się wściekał. Marta — czy ja wiem? To jakby cieszyła się, to jakby gryzła. Jej było dobrze z tą drzazgą w sercu. Teraz zaręczyli się i już się dra... Ona nie umie być szczęśliwą. A ja... — Gelajza utknął na chwilę — ja cieszę się, że „urodzony prezes“ raz w życiu nie urządził się tak, jak chciał wygodnie, normalnie, spokojnie. Zresztą — jestem bratem Marty... może i ja muszę mieć jakąś drzazgę?...

Odwrócił się naraz na pięcie i odszedł długimi, drewnianymi krokami.

Pokój, odnajmowany od państwa Dmochowskich, stał się apartamentem pod dotknię-

ciem rąk Ewy. Tak określał to pan Dmochowski, człowiek w miarę szpakowaty, z niewielkim brzuszkiem, niezły i niegłupi.

Siedział właśnie u nich i rozmawiał z Ewą.

— No, cóż? działamy, działamy? — przywitał Tomasza. — No, niech tam, niech tam! Ja tylko mówię: w granicach, moi kochani, w granicach.

— Ba! kiedy my właśnie granic...

— Pss! — zamachał rękami pan Dmochowski. — Młodzi jesteście, bardzo młodzi. Z motyką...

Sypią się takie drobne, miałkie słowa: czy rozumiecie? — taka potęga... a gdzie finanse, broń, technika... aparat cały?

Znowu upust krwi... tylko ostrożna, lojalna praca... Owszem język narodowy i ta piękna nasza przeszłość...

Aż zabawne. Czyżby pan Dmochowski nie czytał siebie w żadnej współczesnej powieści? Czy nie znalazł śmiertelnych strzał śmiechu, tkwiących w brzuszku „filistra“, owego pogiębionego „filistra“?

— Niezły człowiek — powiedział kiedyś Krzesz do Gelajzy.

— Tak: nie to, żeby zły człowiek, tylko takie sobie — bydłatko! — mruknał żółciowo tamten.

Żyło się więc obok siebie, ale przez ścianę. Może nawet równolegle, ale oni: Tomasz i Ewa byli linią nieskończoną, a tamten — odcinkiem z obu stron uciętym. Taka to była równoległość.

A oni sami — Tomasz i Ewa?

Oni oboje znali się od wieków i spotkali się zaledwie przed chwilą. Byli zawsze razem i w niespodzianej radości poznawali się dopiero. Miłość ich miała radośnie znajome rysy kochanej twarzy i zarazem wiecznie nowe błyski.

— Czy ci się zdaje, że to już tyle czasu? — spytało jedno.

— A czy nie myślisz, że zawsze tak było?

Była też w ich miłości wielka, spokojna głębia i niespodziana przepaścistość. Nie czuli jej nawet, byli w niej, lub może byli nią.

Śmiali się nieraz dziecinnie, gdy jedną myśl jednym słowem zaczynali w tej samej chwili. Cieszyli się, że mieli te same w marzeniach kraje i okolice, w których bywali. Ona ujmowała te przebłyski w haftowane kunsztownie sonety lub proste, rytmiczne strofy: była śpiewaczką ich miłości. Chwytała jednak melodie, które były im niespodzianką radosną, dumą i zdziwieniem. Odnajdywał w nich coraz to nowe jej barwy, nieznane dotychczas.

A pan Dmochowski, usłyszawszy dwa czy trzy utwory, mówił stanowczo:

— Drukować, panie tego, drukować. Wielkie zdolności!

Nie czuli się jednak wcale wielkimi: to wszystko było przecie takie naturalne. Śmiali się często i dokazywali, tańcząc jakieś niesłychane tańce, z których jeden nazywał się „Tańcowały Misie, podobały mi się“

A potem przychodził wypięty sztywnie Sikora i drewnianym głosem huczał:

— Obywatelu Komendancie, melduję posłusznie...

I Tom, ten sam rozdokazywany Tom mówił kilka słów. Ot, kilka takich naturalnych słów, i to był rozkaz. Ewa nie dziwiła się, dziwiłaby się, gdyby było inaczej.

Zabawne jest raczej, że Tomasz ma lekcje na mieście.

— I ty ich tam naprawdę uczysz? — śmieje się Ewa.

Uczy ich naprawdę. Ma ponurego uczniaka z piątej klasy, który już coś przewąchał i mruczy, że „lepiejby mnie pan uczył tych innych rzeczy, co to pan wie“. Zresztą niezły materiał. Ma chłopaczka 12-letniego, syna cukiernika. Uczy się dobrze, za dobrze. Siedzi ciągle w swoim ciepłym pokoiku i czyta książki, albo sam ze sobą gra w „halnę“.

I jeszcze dwaj bracia — z łaciny. Tępe chłopaki.

Przyszedł wreszcie koniec roku szkolnego. Zdziwili się: to już lipiec? Tak, był gorący, duszny lipiec. Lada dzień mieli gdzieś wyjechać, tymczasem jednak wypadały różne sprawy. Wszyscy się rozjeżdżali, i za wszystkich trzeba było wykańczać pracę.

Wreszcie miasto opustoszało ze znajomych twarzy — był sierpień.

Któregoś dnia wpadł do nich pan Dmochowski, tłustawemi rękami łapał oddech, ział jak ryba praśnięta płasko na piach gorący:

— Wiecie? wiecie już?

— Co?

— Wojna!

Krzesz chwycił jakiś lichtarz czy przycisk i skoczył do pana Dmochowskiego:

— Gdzie? co?

Pan Dmochowski upadł bezwładnie na fotel i wskazywał gdzieś przed siebie, gdzie iścił się groźnie ów zbrojny czyn — wojna.

— Austrija i Prusy — z Rosją! — sapnął.

Krzesz otworzył szeroko ręce:

— Bywaj! — huknął do niewidzianego gościa. — Bywaj!

— I cóż, młodzieńcze?

— Co? wyczarowaliśmy sobie owo „spełniło

się“, wymodliliśmy sobie „wojnę powszechną o wolność ludów“, panie Dmochowski.

— A wiesz, młodzieńcze, że rezerwistów biorą ?

— Odbijemy.

— Że w trzech armjach Polak będzie?

— Skrzykniemy się.

— Jak ? jak ? — jęknął pan Dmochowski.

— Instrukcje przyjdą — rozkazy.

— Pogorszycie tylko. Rozpasane żołnierstwo...

— Czyż męzczyzn u nas niema? Całe Królestwo kongresowe buchnie pożarem! Rosja cofnie się bez strzału. Tu front wygięty niebezpiecznie, a tyły nieprzyjazne.

— I z Niemcem?...

— Choćby z djabłem! Potem i przeciw Niemcom.

Pan Dmochowski wstał:

— Nie, młodzieńcze. Nie „buchnie pożarem“... Nic nie buchnie. Rezerwiści dostaną sobie taki świstek, „powołanie“...

Nie słuchali go już oboje: wypadli na ulicę. Wojny owej szukać.

Na głównej ulicy gwar jakoś toczył się powolnym walcem. Ni to śpiew, ni ryk stłumiony... Stanęli na rogu. Przytoczyło się to i do nich:

„Boże cara chrań!
Silnyj, dierżawnyj...
Carstwuj na strach wragam“...

Gromadka czynowników w niebieskich wysiedzianych portczynach, nieco hołoty bezlicej, banda wesołych łobuziaków dokoła — oto wszystko.

Ha, ha, ha! więc to jest owo „silnyj, dierżawnyj“? A tłumy wrogie, obce tej gromadzie wyjącej, kupią się na chodnikach, patrzą zezem, gdzie niegdzie wypryśnie słowo lotne, ugryźliwe milczkiem.

Ale zaraz... Tam za tą niesforną gromadą, co za zwierz przyczajony pełźnie? Tupocze setkami kopyt, koziemi, kosemi ślepiami patrzy i jedzie sobie, niedbale się kolebiąc.

Kozacy!

W prawej ręce, spuszczonej zdradnie — nahaj, czapy po zbójceku zbakierowane, kołtun na brew wypuszczony. Na małych, zbydłconych konikach drepczą, nachalnymi ślepiami wyzywają tłum zacichły.

Naraz jadący na przedzie nahajkę podniósł i opuścił. Gwizd rozpustny, zbójceki runął w ulicę:

U-ha!

Wo polie bierozieńka stajała...

Bezmyślne bydlęce mordy drą się zawzięcie, głucho pokrzyki wyskakują, a przeciągły gwizd kończy. Aż małe, złe, kudłate koniki tulą uszy.

Mołodcy jadą!

A potem szary, mrukliwy tłum piechoty dudni tępo w bruk, rypie całą mocą juchtowego buta, śmierdzi dziegiem i kapustą.

I toby wszystko miało?... Toby było siłą zwyciężającą.

Ejże! wie się, co się wie. Szczupły, bezbronny chłopak drwi prześmiewnemi oczami z tego tłumy zbrojnego, z tej potęgi.

Jak z pod ziemi wyrasta Gelajza. Długi i chudy jak zawsze, tylko krwawa blizna ust ostrzej przekreśla twarz. Połknął pierwsze słowa, łamiąc swe drewniane ciało do ręki Ewy. Ale potem, gdy nabrał znowu w oczy tępych, szarych tłumów, zbitych w równe kawały:

— Cóż? — mruknął — jak tam nasza berdanka i buldog? Szkoda, że nie mamy przynajmniej jeszcze wyźła...

— I ty w to wierzysz? — wskazuje Krzesz.

— Ja to widzę. A... czego innego nie widzę.

— Przyjdą instrukcje, rozkazy.

— Hm, może przyjdą...

Bo przecież nie można żyć bez włary, że

tam gdzieś u góry są wozowicze, i broń, i myśl wielka.

Ale rozkazy nie przychodziły. Przychodziły zato głuche wieści: o „polskich strzelcach“, przebąkiwano tu i owdzie, że łapią ich, wieszają. Potem z Kielc, odzyskanych przez Moskali, przyjechała zdyszana wieść, że są, że byli, że mieli orzełki polskie na czapach, że wołają „baczość!“ i „kompanja marsz!“... Wszystko po polsku.

A tu ani co skleić. Księża niema, skarbnik Towarzystwa wyjechał, Jaszczurski ma czerwony bilet i lada dzień...

— A i komendant niech uważa: szpiclów co niemiara. Szukają takich, jak my...

Pan Dmochowski chłodno ostrzega:

— W razie czegoś, żebym ja nic... Ja dla takich warjactw nie mogę przecież żony i dzieci... Zresztą czego wy chcecie? Królestwo opowiedziało się przy koalicji...

— Moskwie!

— ...Koalicji... Księżę Mikołaj wydał odezwę... Zapewne niezupełnie tego... ale cóż? trudno... Autonomja jak drut... a te tam historie...

Naraz — jeńcy!

Na chłopskim wózku trzech ich w błazeńskich czerwonych pierożkach, w granatowych kożuszkach. Nie ranni wcale.

Więc jednak te szare draby moskiewskie...
Więc jednak?...

Idą długie, wiecznie zakurzone niebiesko kolumny. Dwóch oficerów lalusiów na przedzie, jeden ma pieska na ręku. Bez broni wszyscy. „Na zdar! — wołają — Na zdar!”

Czesi-tchórze! O, nasi nie tacy!... Nasi... Kiedyż bo nic o naszych nie wiadomo. A tu znów smyrgają niepewne wieści: jakieś drużyny w Puławach, jakieś zatargi o sztandar, o litery na szlifach... Gorączkowe odgrążania się, że „niema co, tylko trzeba temu... temu... mordę obić“.

Rozprzęgało się wszystko i leciało przez palce. Ruchliwy front wziął na siebie granicę i kapryśnie kładł ją to tu, to ówdzie, ale nie były to dzieła, które się marzyło.

— Trzeba mi iść! — powiedział wreszcie Krzesz.

Ewa zachłysnęła się naraz temi słowami, tak nagle rzuconemi, ale powiedziała po chwili:

— Tak, trzeba ci.

Wiedzieli już oboje, że to za front do „nich“. Po wieści, rozkazy, instrukcje. Bo wiara blednie i martwieje, a ręce bezczynne są i niezaradne.

Ale tegoż dnia przyszło odkrycie. Właśnie w tym szpitalu, gdzie Ewa... Sami prawie au-

strjacy i jeden legionista. Ale to tajemnica, uchodzi za austriaka.

— Więc — dywersja, rozumiecie? — z ostrzyżonego łba patrzą rozumne, niebieskie oczy. — Mosty, szyny... Dokładne informacje... Tam, cóż? Jeden więcej, jeden mniej... a tu, obywatelu, możecie jako kierownik... Tak, to mniej efektowne, nawet mniej bohaterskie się wydaje... Ale takiż z was będzie żołnierz Polski... A tu praca: kleić z niczego, umrzeć może bez walki.

Krzesz wstał z łóżka:

— O tem wiem ja ci dobrze. O mundurze. Wystarczy go czuć. A robotę? — Krzesz uśmiechnął się dawnym uśmiechem. — Robotę się zrobi.

Gelajza jednak jęczy ciągle:

— Ale broń, do diabła! broń!

Krzesz znów umie ramiona tak szeroko rozewrzeć jak wówczas, gdy wołał: „bywaj wojno!”

— Dostań wóz i konia — mówi Gelajzie.

— Wóz?

— Taki zwyczajny, chłopski wóz.

— I pocóż ci?...

Krzesz wziął go za rękę:

— Słyszysz? Armaty grają?...

— Słyszę?

— Wyraźnie słyszysz?

— Wyraźnie.

— Więc to blisko...

— Aaa!

W bylejakich sukmanach, Krzesz boso, Gelajza w obskurnych buciarach, w jednego konika jadą. Po wilczemu, bokami po gruzłach roli, przez nieskalane łąny srebrne i złote i przez stratowane, zmiętoszone owsy i gryki poza opłotkami, pod lasem...

— Nie błyskaj-że tak ślepiami — warczy Gelajza. — Takiego chłopca jeszcze nie widziałem! Boso się telepie przy wózku, a po hetmańsku się obziera. Też konspirator, psia...

Słomy jest dużo na wozie, a na dnie słomianka i kartofli nieco. Wszystko obmyślane.

— Ratoszyn; Ratoszyn — mruczy Gelajza, wodząc palcem po mapie.

— Nie znajdziesz. To przecież skala 1:300.000. Żeby tak było jeden do 100, ot!...

— A widzisz! — gdacze Gelajza. — Mapy, karabiny, armaty...

— Będzie to wszystko, będzie... A Ratoszyn tuż.

Przyjechali tam wreszcie. Mała miejscina Chodel, gdzie ongiś ksiądz Ściegienny Polskę marzył. Dalej w polu rozwalony kościół Loretański i już blisko...

— Ze czterdzieści wiorst chyba — wzdycha Gelajza — a z nakładaniem i kręceniem, ho, ho!...

Przez dzień zaszyli się w lesie dworskim, na małym, maleńkim ogieńku pryczyli sobie kartofle. Aby nocy doczekać. Przyszła wreszcie trupiożółta, wyświecona niesamowicie. Cichem cmokaniem popędzając zniechęconą szkapinę, wychynęli z zarośli na szczere pole. Stał nad niem w pełni ten martwy pobrzask, który w lesie sączył się tylko wąskimi strużkami. Całe pole, pokryte dziwnie, wyłaniało z siebie zimną, mokrą poświatę, niby gipsowata powierzchnia księżyca.

— Paskudnie — mruknął Gelajza, otrząsając dreszczem wilgoć białej nocy.

Tomasz szedł cicho i prędko bosemi nogami. Naraz coś zabrzęczało mu pod stopą. Przycupnęli obaj natychmiast i czekali.

— Kociołek — szepnął Krzesz i wstał.

Przed nimi wyrosła teraz ciemna masa o zagadkowym kształcie. Bez słowa porozumienia zbliżali się do niej. Po chwili przybrała ona zarys potwornego łba z jednym okiem, osadzonem wyżej od drugiego. Oczy te świeciły z ciemnego łba niemrugającym, bladym światłem.

— Ki lichy? — wysuwał Gelajza długi nos.

Kiedy byli już o dwa kroki, księżyc odsłonił kurtynę chmury i puścił blask reflektora. Cofnęli się o krok. Potem znów podeszli.

Nauczyli się już rozróżniać wyraźne za-

rysy. Na samym wierzchu leżał na wznak duży chłop w rosyjskim mundurze. Oczy głupio zbaraniałe wypatrzył na księżyc i w niesłychanem zdziwieniu otworzył usta. Leżał w tak niewygodnej pozycji, że powinien był lada chwila się poprawić. Zapewne wtedy, gdy przestanie go tak zdumiewać biały księżyc!

Nie ruszał się jednak. Ubranie jego pełne było stężałego, nieruchawego ciała. Przy jego nogach leżał młody żołnierz austriacki, zwinęty w kłębek. Kiedy pchnięci niezdrową ciekawością zajrzeli mu w twarz, ujrzeli górną wargę, uniesioną wyrazem niesłychanego wstrętu. Nawet nos był nieco zmarszczony tuż nad nozdrzami.

Z pod tych dwóch ciał wyglądały sztywne ręce, stojące w powietrzu, jak gałęzie drzew, nogi w butach i w kamaszach i kolby karabinów.

Na jednym z nich pełgał jeszcze ten błysk, który zdaleka był okiem. Drugie oko było na aluminiowej manierce.

Gelajza automatycznym ruchem podniósł z ziemi okrągłą rosyjską czapkę i wyczytał w jej środku nazwisko, wypisane chemicznym ołówkiem:

— Jakow Stepaniuk.

Szłandar na maszcie.

Dlaczego właśnie tak a nie inaczej? przecież to wszystko jedno teraz...

Krzesz ocknął się już, obejrzał się na Gelaję i powiedział:

— I od trupów mogą żywi dostać radę i pomoc.

Z wysiłkiem zepchnęli sztywną, bladą kłodę trupa, aż stuknął o ziemię jak przedmiot. Broni przy nim nie było.

Teraz Krzesz uchwycił wystającą z kupy lufę i począł ciągnąć ku sobie. Gelajza odpasywał austriakowi pas z bagnetem. Na jednej kolbie był znowu napis, zrobiony chemicznym ołówkiem.

Kiedy odstąpili od wzgóрка ciał, mieli pięć karabinów: trzy austriackie i dwa rosyjskie. Gelajza z miłosnym uśmiechem oglądał jeden z nich.

— Mądre — szeptał — każda śrubka mądra, każda część drzewa... Jedyne kształt tu konieczny. Niezawodny ruch zamka, obdarzony myślą człowieka. Karabin!... Nie umarł razem z tymi... Nie jest trupem. To jest ostra, chłodna myśl, która nie może być trupem.

Krzesz uśmiechał się cicho:

— A przecież tylko dosztukowany do ręki człowieka — zaczyna żyć. Wtedy — tak. Wtedy staje się głosem gniewu, który w sercu się zrywa. Wtedy wyrzuca z ust zabójcze słowa.

Koń nie chciał iść za nimi dalej. Chrapał i cofał się z oburzeniem na widok rzeczy tak nienaturalnej. Nie rozumiał, że jest śmierć, skoro w jego małym, kudłatym ciele było mądre, kochane życie. Musieli go przywiązać do drzewka. Poszli dalej, skradając się miękko. Już nie cofali się przed ciemną masą porozrzucanych bez sensu ciał.

— Jak złodziej ponocny Polak kraść musi siłę — powiedział głucho Gelajza.

— Wykradamy rzeczywistości jej śmieszna, małą broń — powiedział Krzesz. — A!e ona naszej broni nie potrafi nam odjąć. Karabin nie-nabity wielkim gniewem jest patykiem i rurką zabawną.

Usłyszeli nagle stłumione odgłosy. Przystanąli. Przycichło i tam. Czekali jeszcze.

Ozwało się znowu. Było to jakby głucho warczenie kundłów.

— Wilki?

Podeszli bliżej, wzięwszy po drodze jakiś ułamek broni. Ciemne cienie wysmyknęły się im z pod nóg.

— Psy — wstrząsnął się Krzesz.

Gelajza krztusił się złym, urągliwym śmiechem. Nie mówił nic. Szybko obładowali się nowym transportem i zawrócili do wózka. Koń

przywitał ich cichem rżeniem i oglądał się niepokojnie, czy znowu nie odejdą.

Zajęli się teraz ulokowaniem swej zdobyczy: nasuwali starannie na wierzch słomę i ziemniaki. Spieszyli się, bo niedaleko zamajaczyły znowu jakieś cienie.

Konik szedł chętnie, chociaż sapał z wysiłku. Oni też odetchnęli, odwróciwszy się plecami ku martwemu, białemu polu. Wsiąkli w las.

Po powrocie Krzesz zwołał natychmiast odprawę. Stawili się nadspodziewanie chętnie i licznie.

Jaszczurski mówił gorączkowo:

— To rozumiem, to rozumiem. To już jest coś...

Krzesz uśmiechnął się:

— Czy przedtem byliśmy inni?

Jaszczurski nie umiał tego wytłumaczyć, ale jego zdaniem teraz dopiero zaczyna się na serio... Bo ostatecznie cóż za żołnierz bez broni?

Krzesz nie odpowiedział na to. Zaczęła się odprawa.

— Werbunek — mówił Krzesz — przede wszystkim werbunek. To wszyscy niech zrozumieją. Musimy mieć jak najwięcej wierzących. Nie! — wiedzących. Musimy stworzyć armję.

Broń? Ta będzie. Ale przedewszystkiem żołnierz. Trzeba się poczuć żołnierzem bez broni i munduru. Wtedy każda broń będzie groźna w naszych rękach....

Gelajza zameldował o stanie magazynu i poinformował, że żołnierze sprzedają na targu bagnety austriackie a nawet rewolwery. Gdyby kasa nie była tak pusta...

Gelajza patrzył z wyrzutem na Krzesza. Jaszczurski zaproponował drukowanie kwitów:

— W ten sposób możnaby uzyskać od społeczeństwa duże sumy — oświadczył.

Krzesz zgodził się:

— Jako środek propagandy — powiedział. — Tak, niech się uczą, że mają swojego żołnierza. Musimy zbudować sobie tyły.

Gelajza skrzywił się i mruknął coś pod nosem.

Potem wyszli. Dużo nóg szurgało po podłodze, i jeszcze jakiś czas po wyjściu błąkały się po pokoju cudze myśli, i czuć było obecność wielu ludzi. Krzesz nie mógł myśleć swoich myśli. Dopiero gdy przyszła Ewa...

Przedewszystkiem postawiła w wysmukłym flakonie gałązkę jarzębiny.

Pan Dmochowski wszedł do ich pokoju z miną zawczasu widać nastraszoną. Potknął się nieco o zdziwiony wzrok Ewy, ale zaraz odchrząknął i zaczął mówić głośno:

— Pan sprowadzi na mnie nieszczęście... Policja szuka nagwałt takich... tam... różnych... Jak się panu podoba!... Ja nie pozwolę...

Za oknami było słycać nieprzerwany hurkot ciężkich kół. Słowa pana Dmochowskiego podskakiwały na nierównym bruku i stukwały nieznośnie.

Tomasz w pierwszej chwili obejrzał się, ale potem znów powrócił do okna. Patrzył w nieprzerwany sznur wozów ze zmarszczonym czołem:

— Chyba się cofają? — powiedział do Ewy.

Ewa uśmiechała się przez łyzy. Dała jednak znak głową, aby nie mówić o tem przy obcym człowieku. Dopiero kiedy pan Dmochowski trzasnął drzwiami, powiedziała cicho:

— Tak. Cofają się.

— Wiesz? — porwał do niej. — Skąd wiesz?

— Ja tak wiem... po swojemu — uśmiechnęła się.

Nieustannie patrzyli teraz oknem.

Ciasnym kanałem ulicy wylewał się powoli z miasta brudny, obcy tłum. Dwa wozy zczepiły się tuż przed oknem, i konie szarpały się bezradnie, okładane przez rozzłoszczonych żołnierzy. Cały ruch się zahamował, i woźnice z dalszych wozów przyłączyli swoje przekleństwa. Potem wszystko puściło się kłusem.

Pocichu wsunął się Gelajza i Sikora.

— Obywatelu Komendancie...

— Cofają się! — obwieścił im naraz Krzesz.

Sikora sprężył się bez przyczyny. Gelajza podszedł do okna i badał uważnie ciągnący tłum.

— Trzeba rozdać broń! — mówił twardym półgłosem Krzesz. Wszyscy niech będą w pogotowiu. Tej nocy...

— Czy jesteś pewien — zaczął powoli Gelajza — czy jesteś naprawdę pewien, że to wszystko, co było dotychczas... Ten stójkowy na rogu, napisy na szyldach, domy, gmachy z czarnymi orłami...

— Poczta się pali! — krzyknął ktoś na ulicy.

Gelajza złapał czapkę i gorączkowo rzucił się do drzwi.

— Poczekaj! — krzyknął Krzesz. — My z tobą.

Koło poczty zbierał się co chwila tłum, rozpędzany przez policjantów. Z okien bił dziwny dla jasności dnia blask. Szyby sypały się na ulicę.

— Wypadek? — szepnął ktoś w tłumie.

— Co? — zaśmiał się jakiś rzemieślnik. — Wypadek? nie mogą wszystkiego zabrać, to podpalili.

— Myśli pan...

— Wieją! wieją naturalnie.

A Krzesz szeptał Gelajzie:

— Patrz-że, patrz, co się może stać. Patrz, jak się odwraca rzeczywistość niby skiba ugoru pod srebrnym mieczem pługą. A w tę skibę rzuci się ziarno. Nowe, zdrowe ziarno...

I nie będzie już stać stójkowy na rogu, i nie będzie napisów i okrągłych czapek i całej tej dusznej chmury, która nam leżała na piersiach. Ucz się, jako się staje to, co sobie człowiek w cichości serca wymarzył.

Ot, widzisz ten mały sklepik ze zbladłym szyldem. Napisane tam „igruszki i kancelarskija prinadležnosti“. Widzisz? Trzeba ci zatem wiedzieć, że szyld ten będzie pomalowany na nowo,

i będzie na nim inny napis: „zabawki i materjały piśmienne“. Nie widzisz tych liter?

Gelajza odwrócił twarz na chwilę, a potem powiedział do Ewy:

— W takim razie — to coś tak ogromnego się staje, że...

— Tak, panie Franku — powiedziała Ewa — tak, to coś bardzo ogromnego... Mnie się zdaje nawet, że nie wszystko dzieje się tu w mieście. Że większa część tego dzieje się tam, w powietrzu nad nami. — Unieśli na chwilę głowy.

— Tak, tak — mruknął Gelajza i naraz porwał się. — Muszę iść broń rozdać...

Krzeszowie nie spali tej nocy. Siedzieli nieruchomo przy oknie, słuchając dalszego już hurkotu kół. Zdała przychodziły rzadkie odgłosy gromów, które rodziły wielką Rzec.

Wczesnym rankiem wysunęli się na ulicę. Pusto było wszędzie.

Miasto było odmienione, inne zgoła, cofnięte w głąb przeszłych lat. Teraz mogły się w niem zdarzyć rzeczy niewidziane.

Kiedy przechodzili koło kościoła pokapucyńskiego, Krzesz powiedział naraz:

— Patrz Ewuś, te sklepy mieszczą się w gmachu klasztornym. Jaki spadzisty dach i jakie szanowne dachówki!

Szli dalej pustą ulicą. W długiej perspek-

tywie wyrosła naraz archaicznym zarysem Brama Krakowska.

Ewa powiedziała:

— Tędy... księżę Józef... kiedyś...

Naraz w długą pustkę ulicy runął wspinały tętent. Serce podskoczyło i stanęło.

Boże, Ty widzisz!... Boże, dla którego wieki... jak chwilka! Boże, któryś jest jedyny, który jest. Który odmieniasz drogi świata!...

Na plac przed bramę wpadł jeździec. Konia zarył i stał w strzemionach, opierając na udzie kolbę karabinka. Każdy szczegół jego munduru, broni, rzędu końskiego — zadawał kłam widzialnej dotąd rzeczywistości. Był prawdziwy, a nie do wiary, stojący przed oczami, a jakby tylko w marzeniu możliwy.

Krzesz chwycił oddech i śmiał się, i łyżdziecinne zasłaniały mu świat.

— On ma czako ułańskie! — powiedział do Ewy. — Pomyśl — czako!

— A Słowo Ciałem się stało! — powiedziała cicho Ewa.

Patrzyli nienasyconie na ten niezaprzeczalny kształt, wykwitły w ich oczach. Jeździec tymczasem obrócił ku nim konia lekkim zatokiem:

— Moskali niema? — rzucił wesoło.

To ich ocknęło. Rzucili się ku niemu, wołając coś bezładnie. Chcieli dotknąć, uwierzyć,

nasycić się. Więc to jest szabla? a to ułanka? a to koń? prawdziwy, polski koń, polskiego żołnierza?

Ułan miał w oczach zafrasowane łzy:

— No, cóż ja?... ja nic... ja sobie prosty ułan 1-go pułku, 1-go szwadronu.

— Pierwszego pułku?... szwadronu?

Każde słowo było im objawieniem, świętością, zachwytem.

Ułan tymczasem zawrócił konia i pognał, skąd przybył. Po chwili rozległy się w tamtym kierunku liczne odgłosy kopyt, i ukazał się oddział ułanów.

Gdzie niegdzie otwierały się okna i drzwi, ludzie wychodzili na ulicę.

I naraz w ciche miasto huknął śmiały śpiew:

„Jak to na wojence ładnie,

Kiedy ułan z konia spadnie!...“

Więc tylu ich jest? Tylu prawdziwych żołnierzy polskich?...

Ludzie wybiegali teraz z domów w licznych gromadkach i otaczali oddział.

— Polacy! ułani! — wołała z płaczem jakaś staruszka.

W tłumie mignął pan Dmochowski, wołający coś ze łzami w oczach. Znoszono zewsząd chleb, papierosy, herbatę, kwiaty.

Krzesz uczuł nagle w sercu dziwną igłę.

Dlaczego nie jest tam z nimi? Dlaczego nie był wśród pierwszych heroldów tej nowej rzeczywistości?

Zawrócił naraz:

— Chodźmy — mówił urywanym głosem — chodźmy do Gelajzy.

Broń muszą... broń...

Kiedy przyszedli przed dom Gelajzy, Krzesz wpadł w bramę i prawie natychmiast wyleciał. Był jakby przemieniony: przez plecy przewieszony miał mały kawaleryjski karabinek, u boku szablę, na czapce orzełka. Gelajza szedł za nim podobnie uzbrojony.

— A widzisz! — wołał, otwierając szerokie usta w bezgłośnym śmiechu — a widzisz!

— Wybacz, Ewuś! — dyszał Krzesz. — Muszę lecieć... Zobacysz mnie dopiero...

— Wiem, wiem — powiedziała cicho Ewa.

Krzesz biegł prawie po zatłoczonych ulicach. Żołnierze zmięszali się już z tłumem, który falował, kłębił się, przelewał.

Jakiś człowiek całował się z ułanem, płacząc otwarcie:

— Maniek, jak Boga kocham, ty?

— Widzisz, bracie...

— Maniek, jak Boga kocham!

— Zapisz się u nas w szwadronie...

— Zapiszę się, Maniek, jak Boga kocham!

Pan Dmochowski z drugim panem prowadzili pod rękę małego oficerka.

— Chłopaki kochane! Bohaterzy! — ryczał pan Dmochowski.

Miasto huczało, kłębiło się, śpiewało... Zrywano obce orły, zamazywano napisy, odgrażano pięścią gdzieś wdal...

Krzesz i Gelajza nie mogli się dopytać o nikogo. Wszystko skłębiło się w radosnym rozgardjaszu.

Naraz Krzeszowi zamajaczyła twarz „Folbluta“:

— Panie sierżancie! — rzucił się ku niemu.

— A to wy? Podporucznikiem jestem.

„Folblut“ nadęty był jak zawsze. Na kołnierzu miał gwiazdki, na nogach żółte sztylpy i rewolwer przy pasie.

— Chcecie się zapisać? Pewno zaraz jutro będzie biuro werbunkowe. Możecie dostać szarżę, powołajcie się na kurs...

— Nie... — bąknął Krzesz — nie... ja chcę... od szeregowca.

— Ano, jak tam chcecie... wasza rzecz.

Zapisali się więc dopiero nazajutrz. Gelajza do artylerji, Krzesz do ułanów. Powsiākali też w tę mocną, zwartą gromadę Sikora, Jaszczur-ski i inni.

Krzesz nie dostał jednak munduru, ani konia.

— Dobrze, że macie broń, bo u nas kieszko z tem — powiedział mu kapral Struś.

Uszykowali w pierwszym szyku całą „cywilbandę“, tuż za świetnym szwadronem tych prawdziwych ułanów.

„Cywilbanda“ była skwaszona mocno, choć nadrabiała minami. Wszystkie spojrzenia skierowane były na tych konnych.

Krzysz z pobladłą twarzą szedł w drugim szeregu, na prawem skrzydle. W rękę ścisnął mocno zimne żelazo szabli, a łokciem wyczuwał kolbę karabinu. Przed sobą widział wizjer i zamek karabinka na plecach towarzysza z pierwszego szeregu. Patrzył nań uważnie i nie umiał rozwiązać jego zagadki. Czuł, że tu właśnie leży sedno sprawy.

Tak właśnie: jego mapa, ta u pani Berg i ten wizjer. Myślał ciężko w takt wspólnego kroku, ale nie mógł wybiec poza szereg.

— Zaraz, zaraz — mruzczał przez zęby — więc broń... tak, karabin.. hm, Gelajza mówi... co mówi Gelajza?

Przed cukiernią stała większa gromadka ludzi. Machali chusteczkami i krzyczeli. Na przeciwnej stronie, prawie pustej, ujrzał nagle Ewę. Coś niezmiernie ciepłego i ufego rozlało mu się w żyłach.

Ewa zeszła na bruk i szła razem z nim.

— Tom — powiedziała cicho.

— Co, Ewuś?

— Pamiętaj, że chcę cię mieć śmiałym, wielkim. Że ja wierzę w ciebie. Pamiętasz wtedy — przy sztandarze?

— Ewka!

Tomasz wiedział, że rozwiąże zagadkę: mapa-karabin. Nie wiedział jeszcze jak, ale czuł drogę do niej. Uścisnął dłoń Ewy i delikatnie podniósł do ust. Potem oglądał się kilka razy za szczupłą grottgerowską figurką.

Wyszli za rogatki. Na szosie zbliżył się do nich kapral Struś i zagadnął:

— Nie ma tam który dulca?

Poczęstowali go papierosem i zagadywali skwapliwie:

— Konie nam dadzą? A mundury kiedy dostaniemy? A karabiny? A szable?

Kapral Struś śmiał się.

— Myślicie, frajery, że za nami magazyny jadą? Trzeba „fasować na lewo“? — zrobił zręczny, okrągły ruch ręką.

— Jakto?... — nie rozumiał jakiś wąły sztubaczek.

— Ano tak to, obywatelu. Raz staliśmy blisko Honwedów. Ekwipunek mieli ef-ef! Tak rotmistrz powiada do nas:

— „Chłopcy, a komu tam braknie jakiego

obergurta, albo paktaszy, albo siodła, żeby mi do rana zafasował w magazynie!...“ No, to my już wiemy, jak i co. Nie uda się — do paki, a uda — dobra nasza. Nazajutrz wymarsz o 5-tej, jeszcze ciemno, cichy alarm i wio! Dopiróż ujechali my z kilometer, a rotmistrz mówi: „jak tam fasunek?“ A szwadron aż się błyszczy taki wyekwipowany. Potem dogonił ci nas oficer Honwedów i szwargocze cościk do rotmistrza, a rotmistrz jak nie wrzaśnie: „Kreuzhimmeldonnerwetter fünfundzwanzig Teufel nochamall!“, a potem już po polsku powiada: „pocałuj mnie — powiada — wiesz gdzie?“ — I na tem koniec.

„Cywil-banda“ słuchała uważnie pogładowej nauki obyczajów, a kapral Struś ćmił papierosa z zadowoloną miną i strzykał przez zęby.

— Jakże to? — nieśmiało podjął ten sam sztubaczek. — Przecie powinniśmy dostać wszystko...

— Powinniśmy! — przeciągnął kapral — mało co powinniśmy. Jakeśmy szli do Kielc, to wiecie, co nam dali? Werndle!. Psiakrew, aż wiara płakała! Dopiero Dziadek...

Struś spoważniał naraz i zamilkł. Po chwili dopiero podjął:

— Dziadek się z nimi ząb za ząb gryzie, ale cóż? Liczymy się niby za austriackie wojsko. Oni dają nam amunicję, broń, konie...

A dają juchy jak z łaski. To też trzeba faso-
wać, jak się da.

Krzesz słuchał dotychczas bezwolnie cał-
kiem. Słowa odbijały mu się w mózgu, nie
ujawniając swego znaczenia. Teraz dopiero błę-
snęły światłem, i odrazu zrozumiał je.

— Tak jest, bo się nas nie boją! — powie-
dział twardo.

— Te... pewnie — bąknął kapral Struś, ze-
zując ku niemu. — Czegóż mają się bać? Nas
dwie brygady wszystkiego i to: ten tu a ten
tam... Oni mają etapy, tabory, armaty, a my
psia... te garście i giwer.

— Lewa wolna! — huknięto ztyłu.

Ścisnęli się po prawej stronie szosy i po-
zierali wtył.

— Szwaby — mruknął kapral Struś.

Na przodzie jechał opięty w czysty mundur
młody oficer niemiecki. Twarz miał zastygłą
twardo i oczy poważne, mocne. Na chwilę spoj-
rzał po gromadzie cywilnych oberwańców, i usta
jego lekko drgnęły ni to drwiną, ni pogardą.
Za nim wyłoniła się mała kolumna baterji. Ro-
słe, ciężkie konie ciągnęły zimnego, zielonka-
wego smoka z zatkaną gębą. Na koniach sie-
dzieli twardo i sztywno rośli i silni żołnierze.
Każdy rzemień, każda sprzączka mówiły o tej

mocy wilczej, która w tych ludziach była. Wszyscy byli jak z żelaza.

Oczy oficera spotkały się przelotnie z oczami Krzesza, i wówczas Krzesz zapamiętał na zawsze moc tych oczu. Wzrok tego lejtnanta artylerji był metalowy.

Tymczasem w oddziale ułanów buchnął zgodny wrzask:

— My chcemy sprzymierzeńca!

A po tych niespodzianych oświadczeniach, jeden głos zakończył piskliwie:

— Ale... zbabrać!

Gruchnął śmiech i znowu:

— My chcemy lejtenanta!

— Ale — nabić w butelkę!

Oficer niemiecki patrzył spokojnie na krzyżących, a gdy zrównał się z czołem oddziału, skomenderował:

— Hab Acht! Augen rechts! — i poważnym ruchem przyłożył dłoń do daszka.

Niemcy zwrócili głowy w stronę mijanej kolumny i wolno jechali, dudniąc po szosie.

Po chwili od czoła rozległ się głos:

— Ba-aczność! W lewo patrz!

Krzesz krztusił się kurzem, zbudzonym przez Niemców i naraz zaśmiał się tak podobnie do Gelajzy, aż obejrzał się za nim dokoła.

— Tak, tak! — potwierdził zrodzonej teraz myśli.

Przyszły teraz dnie niewiadomej włóczęgi, leniwego barłóżenia się w przypadkowej wsi, aby znowu zrywać się na alarm, przed świtem i wlec obolałe stopy po wybojach polskiej drogi.

„Cywil-banda“ szarzała powoli, jednostajnie, okrywając się mundurami, wspekulowanemi chytrą łataniną. Niektóry miał już i konia, dziwnym sposobem. Wieczorami zbierało się bractwo gromadą w jakiejś chałupie, gdzie przestroniej, i gdzie dziewczek było nieco więcej. Blagowali, jak który umiał, cichnąc tylko, gdy zabierał głos taki, co w Kielcach był, albo i z samych Oleandrów się wywodził.

Co młodsze sztubaczki uczyli się na pamięć jak to było pod Laskami, Mołotkowem, Krzywopłotami... „Gdzie to stał Rusek, psia go mać; gdzie „dziady“ psia ich mać, a gdzie nasz sztab, psia go mać“.

Krzesz nie gadał wcale. Coś na głucho zatrzaśniętego było w jego zębach i szczękach. Ledwie, że tam mruknął: „rozkaz!“ albo „cześć!“ Koledzy jakoś odsunęli się od niego, i często-gęsto przy fasowaniu „madziarek“, albo marmolady jego porcja znikwała. Kapral Struś zato poczuł coś do niego i często przysiadawał się z pełną gębą gawędy:

— A widzieliście, obywatelu, artylerję Brzozy? Na wozie ci ją wiezie, ale co konia do wozu zaprzęgnie, to mu we trzy dni zdycha. Ze śmichu. Co się obejrzy szkapsko, to gębę rozedrze i ryczy. A Brzoza zaraz do Dziadka na skargę. Więc Dziadek wąsa szarpnie, brwi nasopuczy i perswaduje mu do rozumu. Tak i tak, obywatelu, trudna rada, pukajcie se póki co z tyj ta maszynki, a jak wybuchnie Polska abo co, to wam kupię — powiada — trzy a może cztery haubice, i będziecie se — powiada — na placu Zamkowym we Warszawie strzylać. — I Brzoza ci wychodzi od Dziadka taki ważny, że strach. Napnie się, na wóz obejrzy i krzyczy: „Baterja aaarsz!“

Raz jednak przyszedł zgryziony i siadł bez słowa. Żuł papierosa i strzykał artystycznie przez zęby. Wreszcie wybuchnął:

— No, i cóż wy, królewski zatracone? Ta to ma być wojna, ta to ma być wojsko? To je szpital nie wojsko! Z Warszawy ci nawaliło chłopa — ojejku! bataljon. Po drodze tyż musi pluton przystała... Tera już Szwaby i Dziady bez kija nie podchodzą. Zadem tylko kręcą i szwargoczą: „A co szanownym panom legjonerom potrzeba? Może kawałek aeroplanu? a może jaki przechodzowany „tanek“? Akurat jest taki, co mu benzyna sama wychodzi, któredy nie trza,

z muzyką i ślepy na jedne lunetę...“ Takiego ci moresu nabrały. Jakże? sielne wojsko z nas wyszło.

Cóż? ich ta będzie może ze wszystkiego z kilkanaście korpusów, a u nas mało ni trzy brygady. To tyż tak się przestraszyły, że na gwałt Kreiskomandy zakładają i swoje orły naczepiają wszędzie...

Pesymizm „cywilbandy“ stopniał jednak, gdy pewnego ranka nagwałt zaczęto ich mundurować. Potem — o, dziwo! zaprowadzono ich na gumno dworu, gdzie przy płocie stało ze dwadzieścia szkap, różnej maści, wieku i przekonań.

Banda rzuciła się ku nim płacząc się w szablach i wybierała rossynanty. Kapral Struś rwał sobie włosy i wołał:

— Obywatelu, psia ci mać, ta co si patrzysz koniowi w gały. Ta nie widzisz, że si boi?

Ta z lewej strony konia si trzyma, z lewej!

Dumne i spocone chłopaki zapierały się szeroko w nogach i przeraźliwie ryczały:

— Prrr! cholero...

Potem tak samo nagwałt: siodła, koce, mundsztuki...

I znowu wszystko do kaprała:

— Obywatelu kapralu, mnie nie dali obergurta... Dla mnie paktaszy nie starczyło... Mnie dali mundsztuk bez kinkietki...

Kapral Struś ochryplym głosem załatwiał petentów:

— „Pożycz“ sobie z artylerji... A niech mi który z naszego szwadronu choć rzemyk weźmie, no!... Koca ni macie? Urodzić trzeba, albo z baby spódnicę ściągnąć. Kinkietkę? Weźcie łańcuszek od zegarka. Pewno macie złoty — będzie si błyszczec...

Genjalnemi wysiłkami zdobyto wreszcie wszystko, i zaczęła się nauka. Jeden oficer i kilku podoficerów w mazurowem tempie szkoliło rekrutów:

— Na komendę: trójkami od prawego marsz! Pierwsza trójka wyjeżdża... A szable trzymać w garści, bo zęby powybijasz jeden z drugim... pierwsza trójka wyjeżdża i jedzie stępem przed siebie... Sześciu ludzi pieszo do mnie!

Oficer popychał wystraszonych chłopaków, tłumacząc prędko:

— Następni się załamują i na prawo wskos...

Kapral Struś syczał za drugim szeregiem:

— Prawa ręka przy pysku, lewa na lewem udzie... Jak wasz koń stoi? wy... tam!

„Bacność“ i „równaj“ przerobiono możliwie, choć konie zachały się, chrapiąc. Z popychaniem Strusia i innych wykonali także „do wsiadania“, utworzywszy cztery rzadkie szeregi. Kiedy wszakże rozległo się tragiczne: „na

koń!“ — pluton zmienił się w jarmark koński czy tabun mustangów.

Tam jakiś czerwony uczniaczek skacze na prawej nodze, usiłując wdrapać się na przekręcone siodło, a jego rumak, ze stoicyzmem przyrykając długie rzęsy odchodzi zwolna. Ówdzie dropiata, chuda kobyła rozdziawiła gębę i cofa się szybko rozkraczonemi nogami, a skulony na jej grzbiecie ułan ściąga ją jeszcze bardziej, wykrzykując równocześnie wszystkie znane mu zachęty:

— Wio! Nu! Hej! Poszedł, cholero!

Tam dwóch jeźdźców szepiło się ostrogami, a teraz jeden wyjeżdża spokojnie naprzód, ściągając drugiego za nogę. Większość zbiła się w kręcącą gromadę, i już gdzie niegdzie rozlegają się kwiki końskie i niby spokojne uwagi:

— Obywatelu, odjeżdżajcie, bo mnie ten wasz wielbłąd wyrznie w nogę. No, odjeżdżajcie do cholery!

— Taaak... odjeżdżajcie... — sapie tamten.

Krzesz siedział spokojnie na swoim złym, myszaty mierzynie, który tulił uszy i usiłował złapać go za nogę.

Od czasu do czasu prężył grzbiet, nadymał się i podskakiwał obiecująco zadem, kwicząc jak prosię. Krzesz zaparł się mocno w strzemionach i kolnął burka ostrogami, a gdy ten poderwał

się naprzód, zdarł mundsztukiem i osadził w miejscu. Mierzyn uspokoił się nieco i tylko tulił wściekle uszy. Krzesz parsknął naraz:

— Bura rzeczywistość, co?

I zaśmiał się po raz pierwszy od wielu dni.

Tymczasem podoficerowie wyciągali z gromady konie po jednym i prowadzili je, trzymając u pyska. Wyrównali je do Krzesza, który znalazł się teraz na prawem skrzydle. Po długiej mordędze, trójki wyciągnęły na drogę.

Za chwilę obok Krzesza znalazł się spocony Struś.

— Gdzie jedziemy? — spytał Krzesz, sadowiać się wygodniej w siodle.

Struś tajemniczo się uśmiechnął:

— Do sztabu.

A po chwili dodał:

— Widzieliście Dziadka?

— Nie...

— Zobaczycie. Ech, wy nie wiecie, co dla nas jest Dziadek. Ta to... jakby jaki... jakby..

— Hetman?

— O! o! Hetman! Zobaczycie... bo tak, na gębę, to nie wytłumaczy...

Na drodze dogonili resztę oddziału i jechali już razem. Krzesz uśmiechał się, zezując na stulone uszy mierzyna, a Struś go pouczał:

— Jak wam idzie bokiem, to jedną ostrogą.

Ostroga jest do odrzucania zadu. A jak szlusować — to łeb w stronę szlusowania, a zewnętrzną ostrogą...

Krzesz słuchał uważnie i coś sumował. Potem roześmiał się:

— Muszę ją wyjeździć, żeby jak po strunce...

— Ją? To wałach zdaje mi się...

— A tak... ale bura rzeczywistość...

— Co?

Już zajeżdżali pod sztab.

Była to niby plebanja, niby lepsza chata, a na drewnianej tabliczce było napisane zwyczajnie i spokojnie: „I Brygada. Sztab“.

Przy ganku kręcili się jacyś pół-cywile z tekami i notesami. Na schodku siedział chudy chłopak w koszuli, szarych portkach i bosy. Czyścił sznurowane trzewiki.

Szwadron sprężył się, zebrał w sobie i zaciął. Rotmistrz zjechał na bok i jechał stępą, zerkając w okna. Jedno z nich było otwarte. W niem to właśnie wyciosała się naraz, twardo rzeźbiona twarz i popiersie z szarego marmuru.

— Ba — ość! — wrzasnął nieswoim głosem rotmistrz.

Marsowe brwi drgnęły dobrodusznie, i z okna wypadły basowe, urywane słowa:

— Jak się macie, chłopcy?

Szwadron ryknął coś w odpowiedzi, i coraz któryś oglądał się jeszcze na puste okno.

— Więc to On? — myślał gorączkowo Krzesz — On, który siłą swego marzenia stworzył to wszystko... Hetman...

Głowa mu płonęła, i serce się tłukło.

— Wielki marzyciel... Wielki twórca śmiałych idei...

Szwadron wjechał na plac, gdzie stała już kompanja austriaków, szwadron honwedów, dalej baterja polowa, znowu kompanja...

Mały, tłusty oficer austriacki w długich spodniach zawołał piskliwie:

— Herr Rittmeister!

Rotmistrz zawrócił konia i podreptał do grubaska.

— Pan się spóźniłeś! — wołał po niemiecku oficer — kwadrans na czwartą, to nie jest pół do piątej, to jest kwadrans na czwartą. Pan wie, że wielki księżę lada chwila...

Krzesz zbladł i pomacał szablę.

— Kapralu! — syknął cicho.

— Co?

— Będziemy bić?

— Kogo?

— A co ten austriak ma tu...

Struś strzyknął przez zęby:

— Ano... niby jesteśmy pod ogólną komendą... niby austriacką... tego...

Rotmistrz powtarzał drewnianym głosem:

— Ja wohl, Herr Oberst! Zum Befel, Herr Oberst!

Szwadron z biedą uszykował się w kolumnę i rozległo się: „Spoczniej!“

Szerokie klepanie po szyjach zabawnie zaklekotało na placu.

A tymczasem ruch tworzył się, przesypywał, nawracał i bulgotał. Oddziały austriackie równały się i szlusowały, słychać było szcękające komendy, oficerowie biegali tam i sam.

Wreszcie w oddali rozległo się warczenie samochodów, i tłusty oficer austriacki zaskrzeczał:

— Hab Acht!

Ułani sprężyli się razem z innymi. Widać było z wysokości konia chybotające się cielska niezdarnych owadów z poobrywanymi łapami. Samochody zatrzymały się.

Z pierwszego wysiadł wysoki człowiek z obwisłą, starą twarzą i wiechą włosów na kasku. Za nim wysiadł młody oficer huzarski z aparatem fotograficznym. Z innych samochodów wysypało się jeszcze kilku oficerów.

Tłusty oficer szcęknął coś jeszcze, i broń chrzęstnęła szorstko. W szwadronie ułanów wy-

strzeliły liczne strugi fontanny żelaznej i lśniły w słońcu drobną falą.

Wtedy gdzieś z prawego skrzydła ozwała się orkiestra. Grano austriacki hymn.

Teraz o jakie dwieście kroków przed szwadronem ustawiał się szereg oficerów. Ów gruby, mały, w długich spodniach, za nim chudy z plecami wiecznie zgarbionymi nad niewidzialnym stolikiem, potem widniały żółte sztylpy i czarne trzewiki, a za nim... Nie, to niemożliwe!... za nim stoi, w takim samym, szaro-niebieskim płaszczu austriackim, w długich spodniach...

— Patrzcie Struś — warknął Krzesz — tam stoi komendant.

— Ano — nadał się Struś — musieli mu dać rangę brygadjera, juchy!

— Ależ... — dławił się Krzesz — ależ... on, wódz nasz... wódz Polaków...

Struś zrozumiał naraz i zasepił się:

— To też nie nosi oznak — mruknął.

Wielki książę podawał kolejno rękę i zamieniał parę słów. Znudzenie nie spełzało z jego twarzy, przesączało się nawet w bladym uśmiechu galwanizowanego trupa.

A jednak ten trup miał między brwiami świadomość siły, która stała poza nim. Na jej barkach wyrastał ponad głowy innych i w rękach miał olbrzymie możliwości. A ten szary człowiek...

Krzeszowi stanął w oczach ganek „sztabu”. Te cywile i ordynans, czyszczący sznurowane trzewiki.

Od tego dnia Krzesza wziął w niewolę jego bury mierzyn.

Skoro świt trzeba go było poić, czyścić, karmić i znów o południu karmić i poić, potem niedługo znowu czyścić, potem znowu karmić i poić.

Wszyscy cuchnęli potem końskim i za pazurami mieli niedomyty kurz. Wiecznie głowili się, skąd „wyfasować” coś dla nienażartego bydłęcia, wiecznie rozglądali się złodziejskim okiem po stodołach, stogach i kopicach. „Ułan więcej ma dbać o konia niż o siebie”.

Mierzyn uśmierzył się nieco, przyzwyczał się nawet do niemiłego łaskotania szczotki pod brzuchem; oczywista jednak, że przy siodłaniu napinał się jak balon, póki nie dostał kolanem w wypuczone brzuch. Potem jęczał i stękał z rezygnacją, gdy ciągniony zębami rzemień ścisnął go nieco, a w rezultacie pod popręg zawsze można było wrazić pięść całą.

Wolne chwile wykorzystywał Krzesz na wałęsanie się między „wiarusami”, którzy pamiętali każdy moment powolnego narastania pułku. Dyskutowano zawzięcie o rzeczach wszystkich i jeszcze niektórych, a zawsze wkońcu brzmiał

refren: „żeby za nami wszyscy“... „żebyśmy mieli więcej siły“... Była w tem bractwie wielka dufność i wiara.

Poetów było dwóch czy trzech — uznanych, pozatem każdy prawie popisywał wiersze na melodję, do śpiewu, albo i tak...

„Dziadów drogą, ojców tropem,
Idziem sławy szukający“...

albo

„Polsko, twoi my rycerze,
Choć nie w złocie i szkarłacie“...

Wieczorami zaczynało się zwykle od dumnego: „My, pierwsza brygada“... a kończyło się na „Maruśce“ albo „Szedł ułan raz na odpoczynek“.

Główny poeta, Strączkowski, był chorążym i przestawał więcej z oficerami, wśród „wiary“ rej wodził Rogaliński, wesoły, mały wachmistrz. Ten też przyniósł kiedyś nową wieść:

— Ogłosili Niepodległość!

— Kto? co? jak? — porwali się od ognia.

Rogaliński siadł w kuchni przy ognisku, że zakrwawił jego pobrzaskiem całą twarz i mówił powoli:

Akt ogłosili... Kaizer i Franc... Że to i owo... król ma być, a tymczasem... regent...

— Komendant?

— Nie... trzech tam bubków... Nie pamiętam kto... a przy nich pewno jaki rząd...

Ognisko wystrzelało co chwila małą rakieta i znowu przygasało. Wiara patrzyła na Rogalińskiego. Odezwał się więc po chwili:

— Oficerowie jakoś... nie bardzo...

— Widzi mi się, że to jakaś bujda! — wyrwał się naraz Struś. — Gdzieby te dranie...

— Hm, kto tam wie — bąknął Rogaliński. — Jakby tak, to powinni się przecie wynieść... luzu nam dać... A tu słyszę wszystko jak było: dwie okupacje, kreiskomendy... Cholera ich ta wiel

Ktoś znowu wyłonił się z mroku i zarysował ogniście w kręgu:

— Pono mają wojsko powiększać. Cały korpus... ale...

— Co, ale?

— Na francuski front chcą nas dać.

— Cie ich! Sprytne jakie... A jak nie zechcemy?

— Każą ci przysięgnąć, bracie, i pójdziesz.

— Guzik! niech mnie pocałują... wiesz? Pater jeich mater!

Krzesz słaniał się przez te dni jak w gorączce. Wydobywał jakieś strzępy gazet, chwycił powstałe niewiedzieć jak lotne wieści, błędzące między wiarą, i ciągle był w mętnej gęstej mgle.

Menaż, czyszczenie, obiad, piosenki do

wcipy — wszystko to szło mimo niego. Chodził jak ślepiec, objijając się poomacku o kanty nieznaney mu drogi.

Zresztą męczący, mdły niepokój zawisł teraz nad wszystkimi. Poruszali się jak senni, automatycznie spełniali codzienne prace, z nawyku śpiewali i śmiali się.

Któregoś dnia wezwano Krzesza do sztabu. Poprawił pasa i ruszył. W ciemnej sieni czekał chwilę, nim ordynans zameldował go. Potem wszedł i brzęknął ostrogami.

Tego, którego spodziewał się tu zastać — nie było. Jakiś ciemny brodaty człowiek zagadnął go ostro z za stołu:

— Obywatel Krzesz? Tak, dobrze. Byliście w robocie konspiracyjnej? Tak, dobrze.

Grzebał długo w papierach i stukał palcami po stole. Potem podszedł naraz całkiem blisko:

— Dostaniecie urlop... a raczej przydział do roboty... Czasy są takie, że niewiadomo... Wypadnie może znowu konspirować... Na jawny opór nie mamy sił, rozumiecie? A zaczyna się psuć... Trzeba być gotowym...

Jak oszalały wybiegł Krzesz ze sztabu. Ręce mu drżały, paliły się. Na zazdrosne zagabywania odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć. Zdał prędko konia, karabin, pożegnał się i poleciał po papiery do sztabu.

— Więc, rozumiecie? Macie misję samodzielną...

— Tak jest!

Rozumiał dobrze. Jeszcze jedna ostatnia próba. Zmierzy się on, gołysz bezbronny, z kulmiotami i kreiskomandą.

Trząśł się ofiarnie na lichym wózku. Po-tem stał w niepojętej ciasnocie wagonu, zatłoczonego żołnierzami. Wreszcie ujrzał zdaleka siny zarys wież...

Miasto miało inną niż dawniej twarz, i to wywoływało uśmiech na ustach Krzesza:

— A widzisz? — mrucał — A widzisz.

Koło Bramy Krakowskiej zwolnił nieco kroku i rozejrzał się. Wahał się chwilę: kto ze znajomych jest w mieście? Jaka to szkoda, że nie mógł zawiadomić Ewy... Jest teraz pewno na wsi. Wymienili przecie zaledwie po dwie „feldpocztówki“: „Pamiętaj o sobie“... „Nie widziałam cię jeszcze w mundurze“. „Jestem zdrow“. „Niedługo ruszamy, ale niewiadomo“...

— Ewa, Ewa! — szeptał, przymykając oczy.

I naraz zdawało mu się, że jest w gorączce: z niepotrzebnego, szarego tłumu przechodniów wyłaniała się najdroższa postać i z uśmiechem szła ku niemu.

Cofnął się mimowoli i opuścił ręce.

— To ja, Tom. To ja — szeptała ściśniętem gardłem. — Widzisz niedobry...

— Jak... ty... — bąknął Krzesz — jak?...

Ewa śmiała się perełkami szczęśliwych łez:

— Aha, aha! — przekomarzała się.

Patrzyła teraz na jego postać, cofnąwszy się nieco. Pierwszy to raz widziała go w mundurze. Zdawał się jej jakby przemieniony czy odnowiony, ale nie obcy. W tej jego odmienności znajdowała radośnie znane, kochane rysy, i był w tem podwójny urok odnajdywania.

— Więc jesteś — mówiła — idąc z nim tą samą ulicą, którą ongiś wybiegli rano. — Jesteś tym, kim chciałeś. Pamiętasz? — mówiłeś im... Gelajzie obiecywałeś armatę...

— A cóż z nim?

— Ma tę swoją armatę. Awansował. Mówiła mi Marta, że chce na stałe w wojsku...

— Ho, ho!

— I cóż? Miasto jest jakby odmienione, prawda? Na ulicy Zielonej... pamiętasz?... ani śladu policjantów rosyjskich... Aż dziwne. Kiedyś, jeszcze wtedy, poszłyśmy całą szkołą do katedry... w rocznicę. Była to piąta rano. Słyszmy przez miasto na cmentarz. I wtedy miasto wydało mi się tak marne, tak przygniecione tą zmorą moskiewską... A teraz? Teraz mój Tom jest żołnierzem Polski.

Tom nagle wyprężył się i zasalutował leutenantowi o minie fryzjera. Tamten machnął niedbale ręką i przechodząc, zajrzał w twarz Ewie.

Tom siepnął się gwałtownie i zaraz zgar-

bił się, opadł. Twarz mu pociemniała bolesnym rumieńcem.

— Cóż... tam... mówicie? — ostrożnie nizała Ewa zbladłe słówka.

— Nie ma nikt wiary. Machają nam przed oczami chorągiewką amarantową, a tchnąc szerzej nie dają. Wiesz, po austriacku: obchody i podatki. Nie liczą się z nami...

— Nie liczą? — szepnęła Ewa. — Więc dla nich niczem ta furja bohaterstwa? Ten młody trud? Ten rozmach marzeń, pojonych krwią własną? Więc to nic, nic?

Krzesz ściągnął brwi w wysiłku:

— Widzisz — mówił powoli — zdaje mi się, że zaczynam wiedzieć... My mamy skrzydła, a oni pazury. Skrzydła mieć trzeba, skrzydeł nie można się wyrzekać, bo groźniejszy jest wróg, który z góry uderza. Ale jeśli pazurów niema — uderza piersią, i pierś krwawi. A na ziemi pazury zwyciężają...

— A teraz co?

— Teraz? Teraz ostatnia próba uderzenia z góry — marzeniem.

— ?

— Wracamy do roboty.

— Przeciw tym?

— Tak.

Ewa uśmiechnęła się i wstrząsnęła włosami.

— Wierzę w was. Wierzę w ciebie.

Po chwili dodała:

— Najęłam pokój u państwa Dmochowskich. Wiesz? ten sam...

— Ewuś!

Tegoż dnia znikł sekretnie ułan, i z pod szerokich skrzydeł kapelusza patrzyły gorące oczy komendanta okręgu, który nie miał w onym „okręgu“ nic prócz siebie i jednego serca, które jego porywom mówiło: tak.

Zaczęło się mozolne wyskrobywanie ludzi z miękkiej gliniastej bryły społeczności pogodzzonej z tym, co jest.

W jakiejś zapadłej księgarence sączył Krzesz we włochate ucho kędzierzawego młodzieńca krople żrącego buntu. Ów dzwigał się zrzadka do brzęczących drzwi i mruczał przez nos swoje: „czem mogę służyć?“, poczem znowu kładł się na ladę i żuł słowa Krzesza.

— Właściwie jestem dopiero subjektem — powiedział naraz bez widocznej przyczyny.

Krzesz zachnął się:

— Nie. To nieprawda!

— Co nieprawda? — wysunął ku Krzeszowi swe ruchome oczy.

— Nie jesteście subjektem. Jesteście tem, czem chcielibyście być. Niebezpiecznie jest mówić: jestem subjektem. Bo może tak się stać.

że naprawdę nim zostaniecie. Trzeba sobie opowiadać bajkę o sobie.

„Jestem Vasco da Gama, stoję na pokładzie okrętu, który zna moje myśli odkrywcze“.

— Tak trzeba mówić do siebie.

„Jestem doktor Faust, siedzę wśród szklanych probówek i retort, jak na obrazie Dulac'a, i gorącymi oczami zażegam błysk złota w ma-lutkiej szklanej główce kolby“ — tak trzeba mówić do siebie.

Kudłaty subjekt dał naraz nurka pod ladę i wyciągnął stamtąd dymiące kurzem zeszyty:

— Widzi pan... widzicie... to Sherlock, de-tektyw... Zawsze jak idę wieczorem do domu (a mieszkam na Namiestnikowskiej), to upatrzę sobie kogoś i śledzę... Jak Sherlock, rozumie-cie?... Dawniej chciałem być w policji, ale żeby politycznych nie trzeba... A teraz tak sobie myślę, jak idę na Namiestnikowską wieczorem.

— Otóż to! Otóż to! — cicho kipiał Krzesz, wbijając mu palce w przedramię.

Przerwał mu brzęk bezzębny rozłupanych drzwi:

— Czy dostanie sennik? — wstydliwie pi-skała dziewczyna z pod rudej chustki.

— Egipski?

— Mówią, że najlepszy...

— Egipski najlepszy — poważnie gdaknął subjekt.

— A ileż to będzie? — zapytała podejrzliwie dziewczyna. A usłyszawszy cenę:

— Ja się jeszcze zapytam. Później przyjdę.

Subjekt kiwał gorzko kędziorami i cicho śmiał się.

— Nikt drugi raz nie przychodzi — powiedział z wyrzutem. Potem nachylił się nad Krzeszem i namiętnie począł szeptać, chlipać zaśliunionemi słowami. Chodziło bowiem o to, czy brauning dostanie. Czuje, że strzelałby wyśmienicie. Tak, jak to Sherlock tego Beduina „ściągnął“ z meczetu...

Szarzało, gdy Krzesz rozgiął zmięte w ciemnym kącie, za kantorkiem kości. Czuł w palcach płynny, parujący powolnie ból, jak od gniecienia ciasta.

Gdzieś na skrócie poderwał rękę do czapki na widok lejtenanta i natychmiast zdołał zmienić ruch: potarł sobie oko. Lejtenant zasalutował mu, a potem mruknął coś i obejrzał się.

Pan Dmochowski uważał, że wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten kontyngent.

— Pan nie ma pojęcia, co oni tam u brata robią — narzekał — powtykali w ziemię tabliczki z napisami: tyle to korcy wysiano, morgów tyle to. Gdyby nie to... A królem napewno będzie

książę Stefan. Rozumie pan przecie: przez Radziwiłów... parantela bądź co bądź polska, i umie nawet mówić... Żeby tylko znowu jakiegoś warcholstwa nie było.

Pan Dmochowski nachylił się tajemniczo:

— Nie mamy korpusu dyplomatycznego, uważa pan? I z tego wszystko zło...

I naraz z innej beczki:

— A pan... niby... na urlopie?

— Właściwie... tak, właściwie — opędział się Krzesz — to się jeszcze zobaczy...

Pan Dmochowski odymał wąsy, pomrukując:

— Tak to, tak, panie kochany. Tak to, tak.

Rzeczywiście Krzesz miał „jeszcze zobaczyć“. Plątał się tymczasem wśród mundurowców, zalewających miasto, przecierał się prawie niewidocznie między ścianą przechodniów a ścianą kamienic. Zrywał się już wracać do swego mierzyna, który był przecie polskim, ułańskim koniem. Wtedy dostał nieco mizernych koron, adresy do Warszawy i list nieporadnie mamlący o życiu obozowem. Między wierszami wyłowił wszakże ostrożne napomknienia, że niby... pewnie... niedługo... bo coś niebardzo...

Porwał się więc znowu i lepić począł koło siebie rzadką grupkę. Ale ramiona obwisały mu nieraz wśród roboty, i oczy mgliły się. Pod rękę nawijały mu się nedorostki szkolne, rozwy-

drzone wypędkki z gębami pełnymi gwary żołnierskiej. Brał i to. W rozpierzchłem i wybla-kłem mieście nie było się za co ucześcić.

Ale któregoś dnia kędzierzawy subjekt za-meldował mu posłusznie, że ma w fabryce nie-której cały pluton. Ba! pięć karabinów wy-dobyli. Potem znalazła się jakaś stenotypistka z generał-gubernatorstwa, przynosząca pomięte świstki za przybrudnąwą bluzką. I jeszcze dwie czy trzy krępe nauczycielki ludowe, wytrwałe i pracowite jak mierzyny, a marzące o wiecz-nem poświęcaniu się...

Mała kulka śniegowa ruszyła powoli z miej-sca i rosła nieustannie choć niewidocznie.

A w atmosferze rósł niepokój, coś gorącz-kowego przeglądało naraz z twarzy feld-żan-darma, z wierszy gazety, z cichej plotki lata-jącej miękko, jak ćma.

Potem gruchnęło:

— Dymisja.

Ale ciało bez głowy trwało. Prawa ręka nie mogła zapomnieć sięgania do lewego boku, lewa noga szukała kochanym nawykiem strze-mienia na wykręconem dogodnie puślisku.

Niedługo wszakże buchnęła wieść druga, groźniejsza:

— Przysięga!

I mroźnie powiało:

— Nie przysięgli.

I ktoś twardo powiedział:

— Szczypiorno.

Jednego z tych bladych dni zjawił się u Krzesza Kulik w siwej kurcie, przykrytej czarną kapotą. Łapy zwisały mu ciężko na dół.

— Kulik, cóż wy?

Kulik ostrożnie ucałował rączkę Ewy i zapadł się z głupim uśmiechem w fotel. Wysapywał z siebie głodne i chłodne obijanie się po kamieniach i rowach.

Po chwili wszakże sapnął groźniej i ściągnął brwi do kupy:

— Nie przysięgli my! — rzucił twardo.

— Wiem, wiem. Jakże to?

Kulik zapatrzył się w ziemię:

— Ano tak było: Staliśmy w Modlinie. Ten dzień był taki jak zawsze. Taki sobie dzień. Nawet pogoda była. Nie gadaliśmy jakoś nic. I śpiewać się nie chciało. Rano był wymarsz. Dudniło głucho w murach czerwonych od setnego kroku. Pas od karabina czułem w garści. Taki wygładzony rzemyk.

Potem zagadał niespokojnie most wszystkimi dylami i znów drugi most. Wyszliśmy na pole, za mury. Na boku stało kilka wyczuhranych drzew. Z nich to poniosły się nad nami ochryple krakania i drewniany łopot. Nie-

dobrze. Ustawiliśmy się jakby w podkowę w trzy szeregi. Z jednej strony było pusto, i tędy czekaliśmy wszyscy na to, co się nam objawi.

Stało się morowo: brzuchy podebrane, zęby ściśnięte jak zamek Manlichera, chociaż było „spocznij“.

Oficerowie stali na boku i gadali cicho, a pułkownik latał, gryzł papierosa i wypluwał papier. Adjutant pojechał do kolei.

Staliśmy dobrą chwilę. Nogi drętwiały i ciało, obmiękało do bólu, bo każdy ciągnął się jak na paradzie. Zaczęło się przestępywać z nogi na nogę, chrząkać, oglądać się w tę stronę, cośmy się spodziewali...

Naraz nasz porucznik powiada:

— Jedzie.

Oficerowie się wykręcili odrazu wszyscy:

— Jada.

W twardą skorupkę szeregu stuknęła komenda:

— Baa - ność!

Komenda rozpetzła się prędyutko wśród poruczników, sierżantów, kaprali. Każdy warknął dla swoich ową „baczność“.

Powóz. Kilku konnych. Oficerowie poszli naprzeciwno. Salutują.

Wysiadł jeden w mundurze pułkownika i cywil.

Podali sobie z naszymi sztywne ręce i zaraz cofnęli je ku sobie. Potem z leniwym strachem wlaźło to wszystko w otwartą gębę kwadratu.

Po grzbiecie przeleciał mróz, gęba ściągnęła się jak po goleniu. W skrobiącej ostrożnie ciszy gada ten pułkownik przyjezdny.

Potrącają mu się słowa między zębami, wyszeptuje zdrewniałym językiem, stęka... A przez wiarę powiało coś. Tu i tam prysnęło:

— Te, „sprzymierzeniec!”

— Będą formować górskich „beselierów!”

Przestał. Wylazł teraz cywil. Też coś tam nabrzdakał i czyta przysięgę. Potem znowu pułkownik. Namarszczył się, patrzy gdzieś, nad głowę i gada. Coś groźnego wytrząsa z rękawa, ślepiami pełga... Ale wiara już faluje cała:

— Dosyć!

— Bedzie!

Przerwał i cofnął się o krok. Teraz cywil pyta naszego pułkownika. Pułkownik krótko rzuca mu pod nogi:

— Nie!

A za nim oficerowie — jak strzałami tyraljery, ciskają:

— Nie! Nie! Nie!

I wtedy wypełza zjadliwe słowo:

— Dymisja.

Słońce cicho zatrzymało się tuż nad nami. Patrzymy wszyscy na oficerów, co tam stoją w gromadce.

Wtedy stanęło przed nami zrozumienie tego, co się nazywa historja... Nie byliśmy tu sami na tem polu ćwiczeń. Przed nami byli żołnierze, i my za nich mówić mieliśmy, i po nas będą żołnierze polscy...

Wtedy wystąpił pierwszy oficer. Zasalutował, odpiął szablę i rzucił... Potem drugi. I trzeci. I czwarty. Jak w „Potopie“ u Radziwiłła... buławy. Wszyscy rzucili.

Oficerowie bladzi, bezbronni... a obok na klączkach trawy kupa szabel.

Cywil i ten obcy pułkownik powoli, ciężko poszli do powozu. Nasz Śmigły kilka kroków z nimi... dla grzeczności. Pułk stał jeszcze równo. I nagle... to było coś... gwizd, rozumiecie? Taki, jak to czasem z „galorki“, albo kiedy cała klasa sztubaków... Gwizd cięty jak pręt, jak szpicruta. Tnie w mordy, po ślepiach, zacina...

I w tym gwizdzie smagającym — ci dwaj skuleni, umykają, zasłaniając się szmatą kurzu...

Kulik ział na pokój swój zacięty, chłopski upór, że to zaparł się pazurami w ziemię, jak ten kierz...

Tomasz uściskał jego drewnianą łapę swojemi obiema:

— Kulik! Będziecie mi potrzebni — dźwignął go.

— Ja? cóż ja? — żałośliwie skamlał Kulik, obzierając swoje niezbrojne biodra i kapotkę czarną, cywilną. Jego twarde łapy tak dobrze już dopasowane do drewnianych rękojeści, kolby, łoża, bagnetu — teraz bezdomne były i niezaradnym zwisem plątały mu się koło kadłuba.

— Otóż wy! — wpatrzył się w niego Krzesz — dostaniecie obwód.

Kulik kiwnął ciężką głową i chrapnął coś twierdząco. Jednak brzuch podrygiwał mu od czasu do czasu bolesciwym śmiechem.

— Obwód... obwód... w tej kapocie...

— Kulik! — ostro pouczał go Krzesz — o guziki wam chodzi, o sprzączki?...

Kulik chwiał głową:

— Nie gniewajcie się, Krzesz... i o guziki także i o sprzączki... Jakoż bawić się w państwo tak... bez niczego... Toż i dzieciaki jak na koniu nibyto jeżdżą, to choć kij mają. A my nawet tego kija...

— Coś więcej jest, Kulik, niż kij — rzucił opadłym głosem Krzesz. — Coś więcej...

Ale nie wszczynał już rozmowy: osunął się w fotel i trwał tak nawet po wyjściu Kulika. Dobrze mu było, gdy ciepła, mała dłoń równała jego skłócone myśli.

— Tylko ty, Ewuś. Zawsze ty... — szeptał. Pieścili się brzmieniem im tylko zrozumiałych półsłówek, rozumiejąc się z jednego uśmiechu, spojrzenia. Przesiedzieli tak daleko w zmrok, mówiąc sobie wiele rzeczy tem półmilczeniem, które otulało ich niby szarą, ciepłą chustą.

Tom wstał wreszcie i rozpostarłszy ramiona:

— Wiesz, Ewuś, czem rosnę? Twoją wiarą. Ty mnie sobie marzysz ponad mnie, i do tej miary rosnać muszę. A ja sobie znowu marzę...

— I wymarzysz — spokojnie szepnęła Ewa.

Potem mówili jeszcze o tym, którego marzenie zrodziło, i te (nieliczne wprowadzie) Manlichery, i orzełki, i oznaki, i nawet tego uparłego mierzyna, którego Tomasz czuł pod sobą.

Ewa słyszała jednak poza słowami Toma jednostajny, dokuczliwy brzęk innej prawdy. Ten nudny ton zasepiał czoło Toma, i wówczas ręce opadały mu jak podcięte podstępnie skrzydła. Chodził też często po pokoju, szamocząc się i przepierając z ową myślą:

— Skrzydła i pazury — mruczał. — Ba! ba!... pazury; jeszcze ten raz pod niebo i naga piersią uderzyć. Jeszcze raz rzucić olbrzymie marzenie w pysk rzeczywistości...

W ciągu tych dni zachodził często Kulik, czając się w ciemnawej kiszce korytarza. Do-

piero w pokoiku pluł na boki charkotem przekleństw:

— Machają nam, ścierwy, przed nosem tą „królewsko-polską“ ojczyzną, aż bebechy się wywracają. „Królewsko-polski“... co za bydlęcy idjotyzm. To tak jakby „carsko-rosyjski“ albo „prezydentowsko-amerykański“. Wolałem już kacapów: była zwarta ściana chamstwa nienawistnego, i miałeś w co bić tym łbem upartym. A tu co? Jak w ciasto: tu trykniesz — Czech, brat, słowianin, tam — Węgier (Węgier-Polak dwa bratanki, wiadomo!), ówdzie znowu lejtenant wypnie ci się z galicyjskiem całowaniem rączek. A wszystko razem pełza jak robactwo.

Krzesz nie przerywał tych rozżalonych kropli kwasu. Przeciwnie: sam cedził je sobie w serce, smakując uważnie ich jad. Pienił się też i burzył metal jego serca, dymiąc gryzącym swędem.

Kulik ciął dalej wprost przed siebie, rozwalając wąskie płyty powietrza, jak kęsy tortu:

— Żółto i czarno toto k. k., piwo sobie sprowadzili, „Virginje“, marmoladę, kawę, i już są u siebie. A jeszcze jak taki jeden z drugim założy ogródek przy koszarach, albo stacji i puści gramofon — to już jest jak w raj. A my znowu chodzimy ze łbami spuszczone

jak byki i rypiemy groźnie... jak nikt nie widzi...

Kulik kłął, pluł, ciskał się, ale robił. Nie stawał wprawdzie na paluszki, aby zobaczyć szerokie horyzonty, ku którym lazło się leniwie, tając się w lepkich skibach, lecz włożył się twardymi wnątkami w rękojeści swego pługa i parł ciężko a skutecznie.

Domagał się też jasnych instrukcyj: „stąd-dotąd“. Wtedy nabierał humoru i orał z pochylonym karkiem.

— Stan liczebny garnizonu? Znajdował się na oznaczony termin. Broń? Była i broń, ile że Kulik miał liczne konszachty z opasłemi sierżantami z wszelkich cekhauzów i magazynów.

Jedno miał tylko zastrzeżenie Kulik:

— Krzesz — mruczał — nie każ mi jeno gadać. Nie lubię tej pro-pa-gan-dy. Cóż ja mogę powiedzieć? Mało nas, broni niema, ani jednego zdechłego auta, żeby przewieźć Dziadka tu, albo ówdzie. Rząd cały siedzi w przedpokoju p. Beseljera i w notesach pisze, na kolanie... Polskę zbawia, psiakrew!

Więc Kulik nie prowadził propagandy, ale orał za czterech.

To też kiedy Krzesz dostał na anemicznej bibułce srogi rozkaz, nie wahał się w wyborze. Tegoż dnia zawezwany Kulik zjawił się.

Krzesz był dziwnie blady i surowy, a pani Ewa siedziała u okna i skrzętnie chowała oczy w deseń jakiegoś haftu, dzierzganego prędziutko.

— Dostałem rozkaz — chrząknął Krzesz — rozkaz objęcia okręgu Brześć...

Kulik wysztywił się na krześle: rozkaz! A więc jeszcze ma im kto rozkazywać. Tam, gdzieś myśli ktoś za nich, za społeczeństwo, za Polskę... Przychodzi skądś słowo nakazu pewne swej siły, ufne w swą moc.

— Dostałeś rozkaz — powtórzył Kulik cicho. — Znaczy się... znaczy się... zahaczyła się ta polska władza o jakiś kamuszek co większy? Cóż? Trzeba nam w dyrdy tam, do niej...

— Wyjeżdżam jutro — mówił Krzesz — a okręg tutejszy... okręg obejmiecie wy.

— Ja? — cofnął się Kulik.

— Rozkaz — szorstko burknął Krzesz.

Kulik spojrzał uważniej i wstał:

— Rozkaz! — powtórzył posłusznie.

Jęły się więc wyłaniać i szeptać drobne wiadomości, meldunki i raporty. Cała ta biedota konspiracyjnej potęgi: Tu mamy czterech ludzi pewnych, a na nich wszystkich jeden rewolwer, ówdzie zbiera się sekcja — chłopaki ze wsi... mają kilka granatów i dwie szable...

Kulik chwiał melancholijnie głową:

— Bodaj to, bodaj w pułku!... Każdy miał Manlichera, ładunki jak się patrzy... ech!

Słuchał jednak uważnie wparłszy kwadratowy, sękaty łeb między czerwone kułaki. Wbiął sobie mozolnie owe cyfry, dane, instrukcje...

Sapnął jednak wkońcu żałośnie:

— Krzesz! Jakże ja mam ten „nastrój społeczeństwa?“...

— Znajdź sobie kogoś z literatury... Dobry byłby Kapman. Będzie ci puszczał biuletynki... ulotki...

Wreszcie stukot bucisków Kulika coraz ciszey stawiał swoje pieczęcie na schodach i zamilkł.

Po pokoju przeleciał prędko piekący płomyk, sparzył policzki i wsiąkł w ścianę. Ozwało się natomiast przeciągłe jęczenie na wysokiej nucie drżące trwoźnie, jak wycie psa.

Bali się odemknąć tę ciszę, bo mogła lunąć na nich potokiem łez, skowytów bóleści i słów roztrzęsionych.

— Więc tak... wyjedziesz — powtarzał po raz dziesiąty Tomasz.

— Wyjadę — szepnęła Ewa.

— Chcę cię mieć tam w naszym domku. Chcę cię czuć tam, kiedy będzie mi jakoś... chcę móc myśleć, że jest taki punkcik na ziemi. Może to wszystko dziecinne, czy ja wiem?

— Pojadę...

— Bo widzisz... gorąco. Szukają już wszędzie... I tam trzeba będzie jak złodziej... Polski urzędnik, psiakrew!

— Tom!

— Nic, nic Ewuś. O pazurach myślę. Pazurów nie mamy. Nie stoi za polskim urzędnikiem nic...

— A ta jego duma, Tom? To, że w walizeczce obszarpanej słowo Najjaśniejszej nosi... jak buławę. Pamiętasz, byliśmy bez broni...

Tomasz patrzył na szczupłą figurkę, biały kołnierzyk, drobne, małe ręce i — skłonił głowę.

— ...a gdyby było można tam, w tym Brześciu... — napeężniałym głosem sączyła Ewa.

— Tak, Ewuś. Gdyby było można... Oczywiście. Dałbym znać.

Cóż tu myśleć, co notować w tych bezmierne długich, nijakich godzinach, dziejących się wprawdzie, ale dziejących obok, pomimo...

Więc: dorożkarz ma numer 46. Konia nie widać, słyszc tylko kłapanie oderwanej podkowy. (Lewa przednia zdaje się?) Dworzec jest taki sam, kiedykolwiekby się nie przyjeżdżało. Nigdy nie można go złapać choćby na ziewaniu. A przecież musi ziewać od czasu do czasu.

Tą drogą, koło cukrowni chodziło się do lasu na ćwiczenia. Cóż z tego? Droga jest ta

sama, ale w twarzy jej przybyła jakaś zmarszczka, sprawiająca, że cała jest obca i niegodna wspomnienia.

Okienko do kasy jest w innym miejscu, ale ostatecznie jest to drobiazg. Publiczność jest właśnie taka, jak jest, a nie inna. Dlaczego naprzykład wszedł teraz pan w „dasze“ żółtej i wysokich kaloszach, odwijających mu nogawice? Czy i on miał być tutaj właśnie?

— Zapewne, że tak miało być — myśli się, zaciskając zbolące oczy.

Lekkie, błahe drgnięcie przy wejściu kilku oficerów, a potem znowu znużone zdziwienie. Dlaczego ta właśnie twarz z czarnymi kępkami wąsików? I dlaczego osadzona w kołnierzu mundura? Zabawnieby było, gdyby ich rozebrać całkiem. Ot, tak: ubranie leżałoby sobie na krześle, a oni musieliby biegać „na golasa“, skakać i śpiewać coś... Ale co? Naprzykład... „Kureczki, kureczki, gdzie się rozbiegacie?“ Chociaż nie. Lepiej: „Szeremere — teremere ufa, ufa!“

Krzesz szarpnął się niechętnie, otrząsając głupie myśli, które go oblażyły w tej gromadzie. Próbował myśleć od wewnątrz. Ściągnął jedną myśl w napięcie łuku brwi i naciągał ją twardo:

— W miasteczku pewno żydzi, trzeba będzie na wieś... w okolicę...

I znowu: ten młody kolejarz pewno myśli, że wszyscy tu są epizodem jego myśli, jego życia. I to — wesołym epizodem. Rozgląda się z uśmiechem pewny niezbitcie, że on właśnie jest, a tamci inni — kto ich tam wie! Tymczasem śmieszny mały kolejarz jest właśnie sam epizodem w oczach Krzesza. Chociaż — nie. On jest epizodem w stu myślach, w tylu a tylu oczach... Wszyscy obmacują się nieufnie i obco zdziwionymi oczami. Bezwstydni są poprostu ci ludzie.

Potem bełkot w ustach portjera. Wszyscy obcy ludzie tracą swoje twarze i zbijają się w jedno tupoczące na miejscu bydłę.

W wagonie są (rzecz dziwna!) całkiem inni ludzie, niż ci na stacji. Ani jednego znajomego.

Tu jednak każdy jest bardziej rzeczywisty, gdyż rozłożył dokoła swoje rzeczy, prosząc je na świadków. Jakiś grubas (żyd zdaje się?) pali „Wirginja“ na słonce i czyta „Berliner Tageblatt“, położył obok siebie kilka innych gazet, zapalki, koc „tygrysi“.

Tamta panna „potwierdza siebie“ wielkiem pudełkiem czekoladek. Rzecz prosta, że skoro ktoś je czekoladki — to istnieje napewno...

— Trzeba będzie w okolicę... do chłopów... Materiał pewno dobry, choć ciężki z początku. Tak... hm.

Ten gruby ma pewne podejrzenia: przygląda się Tomaszowi, nie wierzy, że on jest. Wreszcie — próbuje: częstuje cygarem.

Krzesz uśmiecha się chytrze: wziął cygaro, zapalił i triumfalnie puścił do góry dym. Grubas stracił odrazu tupet.

Tak, tak, mój panie: nie tylko pan jest na świecie. Są i inni ludzie, dla których być może pan jest wątpliwy w swej zadufanej istności.

Potem wszystkie twarze zszarzały i wytrząsały z siebie sen, podrzucane bezwładnie jak wory z szarą mąką. Były chwile, że jednostajny klekot, niezmordowany w swych ubogich trzech taktach, gmatwał się, przygasał i pociąg zaparłszy się na czterech łapach, zatrzymywał się. Wówczas coś przeciągle jęczało mu we wnętrzościach, a przerażony grubas zrywał się z groźnem chrapnięciem i bełkotał: „Was?”

Brudna, zniszczona stacja wywołała Krzesza z wagonu swym napisem, pokurczonym czarnymi kiszkami na niechlujnej desce.

Szło się ulicami, które były całkiem nowe dla oka, a przecież wiele innych oczu musiało je wygładzać długie lata, brudnem, codziennem dotknięciem. A jednak... jednak każdy nowy widok, każdy zaułek nieznan, dom, brama — wszystko to rozszerza źrenicę oka myślą, że

jest tak wiele możliwości w trzech wymiarach przestrzeni i w długiej kropkowanej linii czasu.

Nie można żyć wśród mumij — domów i mumij — ludzi, bo wtedy umiera czas, i żyje się całe życie w jednej sekundzie, rozciągniętej nieznośnie. Czas... staruszek z kosą? Nie, na Boga — nie! Mały skrzydlaty urwis (może brat Amora?) z młotkiem i kielnią. Mały urwis ani chwili nie posiedzi spokojnie, w każdej coś robi. Młotkiem rozwała na lewo i prawo, a kielnią rzuca nowe wapno. *Destruit, ut construat*. To jest Czas. A ten stary z kosą i klepsydrą? To jest właśnie ów jeden moment, ciągnący się przez całe życie, który tam tylko panuje, gdzie zabito Czas. Stary głupiec ma wiecznie tę samą garstkę piasku z takich samych ziarenek złożoną i przesypuje je z idjotyczną powagą...

Domy nagwałt robiły obojętne miny, udając, że od wieków były takie, jak teraz i że nigdy nie zmieniają się. Przychodziła myśl niepokojna, czy jednak i w tem mieście nie zabito Czasu.

Adres, który Krzesza prowadził dotąd, okazał się fałszywy. Jakaś doskonale obojętna baba przestała na chwilę wytrząsać się nad balją i pękniętym głosem wrzasnęła, że „takiego tu nawet nie było nigdy“.

Z przyległej nory wychynęła najaw mysia

mordka drugiej babiny i wywęszywszy przybysza, zajazgotała cieniutko, niespokojnie:

— O cóż to pan? Może jabym...

Krzesz zmęczonym językiem obrócił znane słowa:

— Pan Dzikiewicz... inżynier... mówili mi, że na rynku...

Baby podjęły na nowo tę sprawę i dziobały ją naprzemian, gdacząc skrzekliwie:

— Jenżynier?... to niby on taki... aptekarz?

— No, jakby apteka to wiadomo... Apteka w rynku i jest...

— Nie, to inżynier.

— Zykowicz? Jakże to może być?

— Dzikiewicz.

— Ja i mówię. Wiesz, Naścia, to może od kolei taki?

— Od kolei? Mieszkał w rynku taki: bywszy konduktor...

Krzesz wyszedł na obojętnie szyderczą ulicę i chwiał się na zwiotczałych nogach. Kilka nijakich osób przeszło tuż przed nim.

Ocknęło go dopiero zatechłe chrząknięcie:

— Wam nużno gostinnicu?

Przy nim stał cherlawy żydziak i mrugał rudemi rzęsami.

— Nie zna pan Dzikiewicza? — niepewnie wykrztusił Krzesz.

— Dżykiewicza? Nie... Ja tu wszystkich znam, ale takiego... Pan potrzebuje hotel?

Grube, blade-różowe wargi żyda śliniły się niedopowiedzianymi, lepkiemi słowami. Krzesz wstrząsnął się:

— Nie.

— Co nie? — zdziwił się żyd. — Pan nie możesz gdzie indziej stać, tylko w hotelu. Pan dostaniesz osobny nomier.

Krzesz liczył szybko w myśli kapitał żelazny.

— Prowadź.

Rudy żyd szedł półbokiem i zahaczał coraz Krzesza:

— Pan tu może na posadę? Pan masz tu krewnych? Pan na długo?...

Już przy samych drzwiach obdrapanej budy żółtek zatrzymał się:

— A może pan chcesz wspólny nomier? To będzie taniej...

— Nie.

— Czy ja co mówię? Nie — to nie...

Zniknął w ciemnej komórce przy schodach, i za chwilę słyhać było jego zawzięty wrzask. Wypłynął stamtąd uśmiechnięty protekcyjnalnie:

— Jak Lejzor mówi „tak“ to tak. Pan będzie miał osobny nomier.

Wśród lepko-wilgotnego wnętrza „numeru“
Krzesz ciskał z pasją na papier:

— Dzikiewicza niema. Co robić? Wróblewski.

Żółtek znów wśliznął się do pokoju:

— On się pyta, czy pan masz „pass“, bo
jak nie...

Krzesz wcisnął mu w łapę książeczkę.

— Wróblewski Władysław, elektrotechnik —
zajrzał żyd. — Nu, czy ja co mówię?

Prześliznął się jeszcze wzrokiem po postaci
Krzesza i wsiąkł w brudne drzwi.

Zostawiwszy walizkę gdzieś na stacji, szedł Krzesz mimo brudnej kupy złachmanionych domków. Dalej wyciągały się one wzdłuż szosy w cuchnącą mackę, którą miasto wysuwało ostrożnie na złote pola.

Wraziwszy ręce głęboko w kieszenie, chwiał Krzesz głową i śmiał się bezgłośnie:

— „Czekać na Dzikiewicza. Organizować okręg...“ Ha, ha! A potem znowu, gdy zawiadomił ich, że wogóle ów Dzikiewicz jest postacią mityczną — „Może nazywa się inaczej“... Doskonałe! „Może!“ Czuł aż nadto dobitnie, bo boleśnie do rdzenia kości, że tam, za nim pękło coś, zawało się... Że jest sam najzupełniej na tej białej szosie wystrzelonej śmigłą strzałą w cały, wielki świat. Że siła, której był heroldem, jest robaczywa i zgniła. I teraz, właśnie teraz przypomniał sobie, że ma na dnie pustej skrzyni jedną cenną perłę. Że może myśleć o takim miejscu na świecie, gdzie jest ktoś...

List Toma dostała Ewa w taki sam biały ranek, uśmiechający się wstydliwie a obiec-

jąco. Te kilka kartek wyrwanych z notesu przepływała w dłoniach, jak płatki herbacianej róży. W tym samym maleńkim domku, gdzie mieszkała z rodzicami, gdzie dostała „Przyjaciela dzieci“ ze swemi ośmioletniemi wierszami, w tym samym pokoju czyta teraz... Jej chłopak kochany! Czy nie jest to zabawne, że to się nazywa: małżeństwo, mąż? A jednak: gdzie ona się kończy? gdzie on zaczyna? Czy się kochają? może poprostu — są?... Przerośli się bowiem wzajemnie jak owe minerały, które krystalizują jeden według drugiego, i niepodobna ich rozgraniczyć. Więc też Ewa myślała chwilę, czy listu tego nie pisała sama do siebie. Jej własne wątpliwości i powiewy smutku ubrały się tylko w słowa i wracały do niej.

Ewa przeglądała teraz swoje listy do Toma. Listy, które nie mogły być wysłane...

I teraz, jak zwykle, wyszła odpisać na te żalobnie białe kartki w kochany las, dumnie gadający nad głowami ludzi i krzaków. Przystanąła na skraju: te kilka sosen na urwisku... Musiała je gdzieś już widzieć. Ale nie tu i nie wczoraj, przedwczoraj. Musiało to być dawno bardzo, gdy była małą księżniczką w nadmorskim wielkim zamku. Siadywała w łuku okna, napiętym ku niebu, i grała na lutni, śpiewając... Wówczas te dumne, północne sosny strzępiły

się na wietrze morskim, jak zdobywcze chorągwie jej ojca.

Miała oczywiście srebrny pas na biodrach, spływający przodem dumnie i poważnie. Śpiewała o żelaznym rycerzu, który — pewnego, nieznanego dnia — wbije dziób swego statku między skały pobrzeża i stanie wśród dumnych sosen.

Ewa wbiegła na urwisko i objęła najwyższą sosnę:

— Siostró — szeptała — jednego wielkiego rodu jesteśmy. Obie kochamy rycerza, który do nas się wędruje. Z królewskiego rodu jesteśmy, z rycerskiego rodu.

U stóp leśnego wzgórza leżała plackiem lepiona wieś. Bielona beztroską pogodą, nędza gliniana, rozkładała się bezbronne wśród płaskich pól. Tu i owdzie leniwie pełzał człowiek, błogosławiący leniwym, słowiańskim beczynem ciepłu słońca.

Ewa zaśmiała się cicho:

— Jak sęp, spada mój rycerz na bieloną nędzę płaskich wsi słowiańskich. Wśród równi jednakich buduje swój zamek kamienny, wyniosły...

Szept przechodził zwolna w przyspiew rytmiczny, słowa łączyły się same, oddzwaniając sobie dźwiękiem strun. W przerwach ręka błą-

dziła po białej karcie, rzucając urywki, refreny, pieśni i fragmenty nut.

Pieśń tę, nazwawszy „Okrzyk rycerza“, poświęciła Ewa Tomaszowi, pisząc mu:

— Drogi! Nie dosyć jest być wróżem, wieszczącym zwycięstwo rycerzy — trzeba samemu być rycerzem. Trzeba zakochać się w mieczu i tarczy, w hełmie i kopji, w ostrogach i pasie, w każdej sprzączce i łusce. Chcę cię mieć żelaznym i sępiem... Pośród wsi płaskich...

A Tomasz był właśnie pośród jednej płaskiej wsi, leniwie przędącej swoje życie roślinne.

Siedział w ciemnej komórce, nasłuchując odgłosów powolnej krzątania.

— Maciu - maciu - maciuśki — przeciągle wołała za ścianą jakaś kobieta.

Potem zapiał kogut. Rozległy się niedaleko kroki. I znów cisza, przewróciwszy się na drugi bok, zdrzemnęła się leniwie.

W uszach miał jeszcze Tomasz stukot drzwi, zakładanej grubym kłocem. Słyszał jeszcze nieufne: „My tam nic z tobą nie chcemy!“ „Wynalazł się!“ „Buntować chcesz?..“

Był w areszcie gminnym.

Z krzykliwych, zestraszonych narad rozumiał, że mają go oddać jakiejś władzy, jakiejś sile większej ponad niego. Nie ukorzył się, nie

drgnął ani jednym włóknem, bo czuł w sobie spoistą sprężynę stalową, która mu wyprężyła kręgosłup.

Uśmiechem powitał nadętego podoficera niemieckiego i dwóch jego drabów. Podoficer szczechnął kilka razy z całego gardła i szukał w twarzy Krzesza oddźwięku. Po chwili odwrócił się i poszedł przodem. Krzesz szedł, bo było mu wszystko jedno. Cały był podany wewnątrz siebie: chwycił ową nienarodzoną jeszcze, a już umiłowaną prawdę. Rodziła się ona w rytmie uroczystym harf, w pobrzękach zbroic, w poszumie borów.

Krzesz szedł bez czapki, z odrzuconą hardo głową, i uśmiechał się nieco: układał pieśń.

W ciemnej norze baraku uderzyła go w nozdrza mdła woń żołnierska, zaduch tych ran, które mieli dopiero otrzymać, i krwi, która z nich będzie kiedyś płynąć powoli, lepko i gęsto. Tem już teraz cuchnęli. Był wśród nich jak śmigły zwierz leśny wśród zagnojonej zagrody. Żołnierze troskliwie dogadzali niebieskiemu imbrykowi, rozsiadłemu jak kwoka na żelaznym piecyku, i zerkali ciekawie w stronę przybysza, który zakrzepł nieruchomo na jakiejś pace.

Ocknął się na pytanie:

— Czy rozumiecie po rosyjsku?

Leniwie wydzwignął oczy ze swego wnętrza.

trza ku rozsypanym po baraku pobrzaskom. Wreszcie wyłowił wśród nich twarz jakąś, od której szło ku niemu to pytanie. Pomiął ją jednak w tej samej sekundzie i oparł nieruchome oczy na niespokojnem wnętrzu żelaznego pieca.

— A... po polsku?

Krzesz wyprostował się. Nigdy człowiek wędrujący do Polski nie wie, kogo na drodze swej spotyka. Nie wie, czy pod łupiną obcego munduru nie znajdzie żołnierza Polski, albo czy w słowie polkiem jako w chlebie zdrowym nie podsuną mu jadu.

Ten, który pytał, był to człowiek młody z twarzą, która nie wyciskała w oczach widzących swego piętna i zacierała się zaraz w drugiej chwili po dojrzeniu jej. Głowę miał spłaszczoną szerokim plackiem rosyjskiej czapy, a z ramion zwisał mu brudnymi strugami szary syrop płaszcza.

Krzesz długo badał te równo wykrojone usta, z których wypadły nagie, czyste słowa polskie. Nie odgadł jednak, co znaczyło to wszystko. Dźwignął zatem głowę ponad lepka parę kawy i rzucił:

— A wy kto?

Zwinął się tamten w sobie i krztusił się niezdarnie pogryzionemi słowami. Potem za-

cichł. Podoficer niemiecki niecierpliwił się: wykręcał oczy w ich stronę, aż niknęły w kącie powiek, gdyż nie chciało mu się obrócić karku.

Wreszcie szczechnął. Pytał o nazwisko.

Krzesz rzucił mu na ziemię jak ochłap:

— Jan Jankowski.

Podoficer żuł przez chwilę to słowo, poczem chrząknął w rozgwar swoich drabów:

— Polityczny przestępca.

Żołnierze zcichli naraz. Powiało na nich czemś surowem i twardem z tych oczu zapatrzonych przed siebie. Człowiek w rosyjskim płaszczu odstawił kubek i cofnąwszy się w ką wsiąkł w cień.

Ciężkie, nieruchawe draby rozwalały swoje cielska tu i ówdzie, sposobiąc się do snu. Krzesz patrzył na nich i coś rozumiał już. Oto chrapią, dyszą jak zwyczajne chłopcy, a przecież jest w nich jakaś odmienność. Na każdym guziku mieli drapieżnego ptaka, który ich wszystkich trzymał w pazurach. Było ich tu kilku w tym okopconym baraku. Ale nie byli sami: czuli za sobą wielką siłę. Byli jednym ze łbów potwora i cielsko jego czuli wszystkiemi włóknami.

On? cóż on? Był tylko partyzantem, który sztandar i orła i państwo ma pod bylejaką sukmaną lub czamarą. Bo cóż jest państwo? Jest

to hardość dźwignięta do siły i mądrości. Człowiek bosy hardość ma też jeno bosą.

Państwo — to dumne zatknięcie sztandaru na biegunie. Państwo — to krótki raport Gordona z Chartumu: „All right!“ Państwo — to obrona zbiega na pokładzie swego okrętu. Bo pokład okrętu jest częścią ziemi ojczystej, a „kto na naszej ziemi stanie — wolnym jest“. Państwo — to potężna ręka, która upomni się o ciebie jednego w dzikim Afganistanie lub zrewoltowanych Chinach.

Państwo — to, kiedy widzisz żelazne gmachy sunące na morzu i możesz mówić (ty, hołysz): „To mojej Ojczyzny!“ Państwo — to odkrycie głowy przed znakiem świętym. Państwo — to wolny głos sumienia w sali sądowej: „W imieniu Rzeczypospolitej!“

Cóż my, partyzanci? Dumą naszą jedyną, że wierzymy w Państwo, w tę siłę, w tę hardość. Ale jeszcze coś, jeszcze coś... Zimne oczy tego niemieckiego oficera na szosie... I te guziki z orłem... Aha, kto to mówił? Kulik? I o guziki także... i o guziki mi chodzi“...

Krzesz zrozumiał naraz, że to już rano. Wystygły piecyk cedził zwolna cierpki swąd, mieszając go z fetorem spoconych ciał. Żołnierze wyciągali ręce z zakurzonej pajęczyny snu i rozdierali sklezione usta. W otwarte drzwi

buchnął wilgotny ziąb, drgający dreszczem trelu ptasiego czy ciurkania rzeczki.

Podoficer oglądał długo Krzesza i mrucał coś niechętnie. Potem zdecydował:

— Do roboty!

Na równinie rozkładającej się szeroko a leniwie nie znać było widomego śladu woli ludzkiej. Bezdrożami wędrowały chwasty bezładną kupą, narosłe rzadkich garbów i wzgórków pryszczyły gdzie niegdzie równą skórę ziemi. Wszystko dokoła było sobie, jak chciało. Tylko między chwastami i wzgórkami błąkała się niezdatna ścieżyna. Omijała co większe kamienie, ostrożnie kluczyła wśród ostów, zapadała się w rowki i posłusznie wznosiła na wydmy, aby wreszcie rozpuścić się w zuchwałej płątanie krzaków.

Podoficer stał przed barakiem, trzymając się pod boki, i sapał w wąsy z uśmiechem:

— Na nu! — powtarzał — Na nu!

Poczem wyjął ze skórzanej teczki sporą, równo wyciętą pajdę mapy. Przez środek jej, od jednego kółka do drugiego ciągnęła się czerwona linja narysowana ołówkiem.

Podoficer skrzyknął dwóch jeszcze ludzi i nastawiwszy czarne pudełko na długich, rozkraczonych nogach, celował w rozrzuconą przestrzeń. Jeden z żołnierzy wziął kilka równych

tyk i szedł naprzeciąj wielkimi krokami. W pewnej chwili stanął zatrzymany krótkim krzykiem podoficera. Zatknał jedną tykę i szedł dalej.

Przez kapryśną, niesformą ziemię biegł wkrótce długi szereg tyczek, posłusznych czerwonej linii.

Krzesz patrzył uważnie. W jego oczach działa się tak wielka rzecz! O, i on umiał prowadzić linje na mapie. Rozumiał doskonale siłę marzenia, mówiącego: „tu będzie droga“. Krzesz nie znał tylko tego czarnego pudełka na rozkraczonych nogach, które wyznaczało linję równych tyk. O, jak ważna rzecz tu się działa!

Niezadługo jęły ściągać z dokolnych równin obwisłe leniwie postacie, człapiące rozdeptanemi łapciami. Zbijali się w pokorne kupy i bąkali kiedy niekiedy słowo bylejakie. Z przeciwnej strony — z długiego baraku wyłoniło się teraz płowożółte stado jeńców rosyjskich. Kilku Niemców wyszczerzało na nich kły bagnetów.

Ów, który pytał Krzesza w baraku, stanął teraz przed stadem i krzyknął z zadowoleniem:

— Stanowiś!

Kupa wyciągała się przedziutko w długi, cienki wałeczek, drepcząc setką nóg. Potem, na nowy rozkaz — przebiegła po nich krótka salwa

rozliczania, i szara glista rozpadła się na krótkie dzwona. Podoficer stał z mapą pośród swoich żołnierzy. Powiedział im kilka słów, i natychmiast obsiedli nieruchawe szare człony, jak zżarte owady-drapieżniki. Kilka oddziałów odmaszerowało w różnych kierunkach, pozostali ludzie wyciągnęli się w długą, kropkowaną linię, jak słupy wiorstowe przy nieistniejącej drodze.

Podoficer chodził jeszcze i pokazywał coś na migi, klnąc co chwila. Zrozumiano wreszcie, że wyznacza robotę dzienną.

Chłopi kręcili głowami, chrząkając nieśmiało. Po odejściu Niemca odezwał się dziobaty chłopina, który gdzieś z nosa wyciągał długie sznurki zdań:

— Oho! ileż to zadaje mądrała. Człowiek — można powiedzieć — nie kolej żelazna, nie maszyna, znaczy się.

— Nie poradzisz — westchnął drugi z capią bródką, którego Krzesz przypominał sobie z przygody wczorajszej. — Nie poradzisz, takie czasy przyszli.

— I pocóż to im pilno tak zrobiło się? — dmuchał nosem dziobaty. — Sława Bogu jeździm taj jeździm...

— Naród taki... rozpaskudzony — westchnęła capia broda.

— A wy do roboty się bierzcie — pokrzy-

knął cherlawy, starczy głos z pobliza. — Nie zrobicie — na całą wieś padnie...

Leniwie popluwali w garście, ujmując rydle.

— A cóż? Zaczniem?

— A, no... chyba zaczniem...

Długo dreptali koło sztywnych tyk, jakby i tu ścieżynkę chcieli wydeptać. W tę chwilę wpadł czerwony podoficer i wrzasnął coś niezrozumiale. Potem jeszcze raz. Teraz dopiero pojęli, że krzyczy: „Sukinsyny!”

— Gniewa się, znaczy?

— Tak widać jest...

A podoficer biegł dalej, rycząc w niezrozumiały sposób swoje przekleństwo. Więcej jednak działała wieść ulęła gdzieś w drugim końcu. Przytoczyła się w cichym szepcie, że kto roboty swojej nie zrobi — bić będą.

Szczęknęły szerokie, płaskie zęby łopat i wżarły się cudzą zaciekłością w ciągliwą, gliniastą ziemię. Szło potem miarowe żucie i znowu kłapanie siekaczy i rwanie kłami odpornej ziemi. Krzesz zaś wiedział dobrze, że to czerwony podoficer gryzie ziemię swą rozkrzyczaną, zjadł ją gębą.

Krzesz dostał posterunek między brzoźkami świtkami chłopów, a szarą linią jeńców. Zaledwie ujął łopatę, kiedy przeszyla go cienka, stalowa myśl. Myślał o tej swojej mapie, którą

już tak dawno... Wówczas i ten kawał ziemi, na którym tu stał — objął drżącą linią granicy.

Czy zawładnął tym szmatem ziemi? Wszak „o tyle powiększycie granice wasze“... Tak, objął te rozrzucone przestrzenie drapieżnym rzutem ducha, ale... ale czy władza jego była tak istotna, tak zrozumiała, jak tego tam niemieckiego podoficera takiego to pułku, takiej dywizji.

Czy z mgławic swego marzenia umiałyby wykuć choć jedną łopatę, która tu rwie ziemię i buduje szosę. Czy umiałby stworzyć silne słowo, któreby wydobyło z rozmięklej ziemi leniwe postacie ludzkie i któreby tchnęło w ich obsiadłość lenną — własną zajadłość?

Wielka jest moc pazurów wczepiających się zajadle w ziemię, aby ryć na niej zamiary swoje.

Szosa.

Coś bardzo pospolitego, a jednak jedna cegła w murze fortecznym, jedna łuska zbroi.

Szosa — to znaczy handel ze wschodem i zachodem, ładowne wozy ciągnące do portu. A tam własne okręty, pod własnym sztandarem... Boże!

Szosa — to zbliżenie tych zagubionych le-

pianek do kipiących ośrodków, to maszyny i książki zdobywające leniwe płachty pól.

Szosa...

A przecież nie on wytknął jej cel i kierunek, nie on ugniótł nieruchawe tworzywo ludzkie i rzucił na obojętną pustkę. Nie...

On tu, wśród innych, obcą wola, niby małym stalowym kluczykiem nakręcony, mechanicznym nawykiem mięśni tworzy dla swego kraju nowe dobro. Niewolną pracą dopiero zdołał dobyć z siebie siły moc tworzące.

— Zakurzyłyby machorki... — nabożnie jęknęła capia bródka podle Krzesza.

— To też dobrze powiedziane — zgodził się przez nos dziobaty — ale cóż? kiedy — jak to mówią — „ani cebulki, ani w co wkrajać“

— To to i ono to — przeciągnął ktoś dalszy.

— A ja się dziwię, ludzie wy moi — zatrząś się nad nimi rozbity dygot starczego kaszłania. — Dziwię ja się, jak to ta praca u was idzie. W rękach ano — można powiedzieć — się pali. A inny raz most — powiedzmy — zawali się i leży on, leży... Gniły stał on do szczętu, a nikt jego nie wesprze. Och, grzeszny my naród, Boże odpuść. Mooocnej nam władzy potrzeba, och, mocnej.

— Komu pańszczyzna do smaku, niech no-

sem dziobie — bąknął dziobaty — ja tam nie łąsy na one przysmaki. Ot, w Ameryce, mówią, tam można zarobić...

— I ot-że wymyślił — zachrypiał z głębi płuc stary — ot-że wymyślił! Kraj taki znalazł, gdzie ni za co jego karmić będą. Nie bój się, widział i ja widy różne, na Zaksach naprzykład. I coż? Wszędzie ono jedno prawo: robotą co wygrzebiesz, to i masz, nic samo się nie robi, nawet ona matka-ziemia sama nie da. A żebyś ty tak u siebie harował jak tu pod tymi żołdatami, inaczejby było. Ooch, inaczej, ludzie wy moje.

— Nie urobisz wiele, jak nie pojesz — z głębi brzucha poskarżył się capiaasty chłopina.

— Donnerww... — zawarczało nad nimi groźnie, i podoficer, wystawiwszy krzywe kły buldoga, jął uganiać dokoła nich.

Podobrawszy dygoczące łydy, rzucili się na ziemię i wpili w nią liczne łopaty. Pracowali teraz w milczeniu, choć naszczekiwanie podoficera dudniło w dalekim końcu. Zgrzytało tylko żelazo o głązy chropawe, mamlały łopaty w cieście ziemnem, dudniły grobowo bryły odrzucane na bok.

W pewnej chwili Krzesz oderwał zbolale, zapiekłe dłonie od rękojeści łopaty. Ostrożnie

rozprostował krucho trzeszczący grzbiet i obrzucił okiem równinę.

Naprzełaj nieskończonych połaci biegła zwarta w sobie, skończona i świadoma linijka ludzkiej twórczości. Bronzowo-krwawa żyłka nasypu, wypruta z ziemi biegła ciurkiem, podchodząc tuż pod nogi. A opodal głównego rowiska pracy krzątały się odnóża grup pracowitych, niby odciętych od ogniska, a przecie związanych tą główną myślą tworzącą.

Nieruchawe, obłe głazy od wieków rozsiałe w ziemi trzęsły się na taczkach i z rumotem waliły się na kupę, błyskając w słońcu setką krystalicznych pełgań.

Od strony lasu szło głuche dudnienie, jakby las cały w jęku pracowitym rodził z siebie rzecz nową, ważną niezmiernie, znaczniejszą nad siebie.

A tuż blisko dymiły smakowitym zapachem jałowca polowe kuchnie, i warkotała w kotłach gorąca, sytna siła — pokarm ludzkiego wnętrza.

Ostry cios gwizdka przeciął powietrze, i wraz zaczęła ku niemu ściągać się i kupić gromada ludzka. Pokorny ogon doczepił się do każdej z trzech kuchni, wijąc się jak ścieżka szara.

Ale podoficer wrzasnął coś, wychyliwszy się z baraku, i przy kuchniach wszczął się szybki ruch. Bulgotnęło jadło rozlane w mniejsze ko-

tły, i wraz długie trzy ogony rozpadły się na cały szereg krótkich. Teraz gromada porozkładała się na ziemi szeroko, płasko i szaro, jak te pola dokolne.

— Cóż? jadło niczego sobie... — chlipnął z za pary dziobaty.

Capia bródka ruszała się prędko, żując smaczkowicie. Po chwili dopiero przez sparzone kartofle wydobyło się potakujące:

— Aha.

— I porządek u nich, ludzie wy moi — kaszlał starowina. — Raz, prast! Rozporządzono, znaczy się, bez straty czasu, bez czekania ludzkiego...

Łyżki skrobały wolniej, leniwiej, i senna sytość rozłożyła się po polu.

A już po godzinie ostry świst poderwał gromadę na nogi i rzucił do walki z ziemią. Zwolna ospałe ruchy odzyskiwały sprężystość i zaciekłość ranną, a nieodmienne, nieubłagane prawa przyrody wykazywały odpowiedni rezultat wysiłku: tyle a tyle równej, twardej drogi, podającej długie ramiona dwom gromadom ludzkim.

Któregoś ranka Krzesz wstał wcześniej nieco i spojrział po leżącej pokotem trzodzie jeńców. Potem przekroczył kilka śpiących ciał i stanął twarzą w twarz z porankiem rzeźkim

i zdrowym, porankiem, który czekał spokojnie na dźwięczny, zbrojny czyn.

Tam, z tej mgły powinny się wyłonić siwe kity czap ułańskich i rekonesans kawaleryjski szparką rysią przemknąć winien przed rozkochanemi oczami. Od lasu powinna w takiej chwili zagrać chrapliwie trąbka strzelecka i płynąć przez złote pola owiane niebieską złądą.

W taki poranek idzie się, ostrym krokiem po drodze dalekiej, w opiętym kożuszku i strzelbą na ramieniu. Nozdrza łaskocze cierpki dym ognisk pastuszych, a po polach snuje się najcichsza cisza, cisza oczekująca.

Krzesz uśmiechnął się do niej bratersko:

— Wiem już, siostró, wiem.

Z gwizdkiem stanął do pracy i obsypany pióropuszem włosów walczył nieustępliwie z ziemią. Przez usta wymykały mu się z duszy skrawki piosenek przelotnych i muskając wargi, zabarwiały je półuśmiechem.

W przejściu powiedział kilka słów do owego Polaka w mundurze rosyjskim. Postanowił zabrać go z sobą. Kazał mu przygotować świtkę i jadło. Wyzначył miejsce i czas:

— Wieczorem, tu przy tym kamieniu, zagwiżdżę...

Noc była uroczysta i groźna. Zdala płynął

szept cichy, i ktoś chwiał nad nimi głowę w podziwie.

Krzesz szedł pierwszy, nie oglądając się. Niedługo wyrosły przed nimi ściśnięte szeregi lasu, i szeroki szum poszedł górą.

Do niego znać gadały olbrzymy.

Stanął Krzesz z głową ku nim wzniesioną i słuchał. Cisza padła między stare kolosy, a one zamilkły, oglądając się w głąb własnej ciemni, skąd szedł wolnym krokiem poszept śpiewny.

Piewca całego lasu, stary dąb-lirnik, wyszedł na przodek i skłonił się do ziemi gromadzie, o posłuch prosząc.

Zachętą poważną pochyliły się łby kudłate: „Śpiewaj, stary“. I sciszać się wzajem poczęła gromada.

Lirnik przewiał lekko palcami po strunach i zasłuchał się w dal i w głąb. Czekał, aż przyjdzie na niego zrozumienie wszystkich szmerów tej ziemi, wszystkich poszeptów i szumów każdego z drzew braci.

Budził w sobie każdą strunę, zasłyszana wkoło. Stroił lirę do wtóru duszy całego lasu, nim jego pieśń zaczął śpiewać.

A kiedy w duszy mu wstała cała moc lasu, w jego jednej duszy — wszystkich dusz drzewnych dusza leśna — dźwignął dumnie głowę.

Lasowi miał las ukazać we wnętrzu jednego serca dębowego.

— Drzewiej bywało... oho-ho-ho-ho! Drzewiej... — zaszumiał poważnym rytmem. A wraz chór gromady leśnej, jak urzeczony, wtórzyć począł:

— Oho-ho-ho! Drzewiej... Drzewiej bywało. Szła pieśń wielką górą, ponad głowami drzew, pieśń o mocy wielkiej, utajonej w ciemnej głębi lasów.

A moc ta — stalowy ma brzeszczot i rękojeść dębową.

A zacięta jest w ziemię głęboko, głęboko, aż po krzyż rękojeści.

I przewalały się burze po równinach szeroko rozrzuconych, i biły w ciemną ścianę lasu, i krew wytaczały.

A nikt mocy stalowej z ziemi nie dobył, nikt nie ciął nią z ramienia w kłęb burzy.

I trwa ta moc niedobyta.

I trwa ta moc nieużyta.

Zacięta w ziemię głęboko, głęboko aż po krzyż rękojeści.

Inaczej drzewiej bywało.

Drzewiej... oho-ho-ho!

Obcy tutaj, zabłąkany nieniepotrzebnie głos towarzysza otarł się o Krzesza. Las zamknął

wkoło nich, tylko w ciemnej głębi przewalały się jeszcze echa pieśni.

Ruszyli więc w rozstępującą się ciemnię boru. Krzesz prowadził do znajomej chaty leśnego dziada. Niewiele dni temu zawiodła go tutaj jego droga sekretna, droga ściganego zwierza. I wraz z dziadem-odludkiem poznali się na sobie. Przez owe trzy dni nie wiele słów wykluło się z ich ust zaciętych, ale obaj kochali największe drzewa.

— Tomasz! — odpowiedział na pytanie dziada, i żywiczne wnętrze chaty przyjęło ich gościnnie.

Krzesz był tak całkowicie pełny pieśnią boru, że omackiem prawie dotykał sprzętów. Oczy miał zwrócone aż do bólu w głąb siebie, gdzie pieśń ta kołysała się rytmem surowym.

Rankiem wywiódł ich dziad na ścieżynę dziką i machnął po niej ręką:

— Doprowadzi.

Potem długo ścisnął mu rękę i mruczał jak niedźwiedź.

Jeszcze zapisywał sobie Krzesz twarz dziada w oczach, gdy towarzysz jego (już w burej świtce) kurtuazyjnie wyciągnął rękę:

— Karczewski, właściciel majątku...

Krzesz wziął jego rękę i nie wiedział, co

począć z nią. Zabrał go wszak ze sobą, ale wiedział, że daleko nie będzie on szedł razem.

Spytał go jednak, co dotychczas robił. Nie zrozumiał widocznie. Opowiadał coś o majątku, o jeździe konnej...

— Tak, tak — przerwał Krzesz — ale tam, w Rosji?

Tłumaczył mu: przecież tam są Polacy, emigracja...

— Ach, tak... o to panu chodzi — krzywo uśmiechnął się tamten. Potem tanim szychem ironji dziergając słowa, począł opowiadać. Nie ma inklinacji do „działania“, do kółek i kółeczek... A jeśli Krzeszowi o to chodzi, to może mu przytoczyć przykład...

Tak dziwnie rozpełzała się jego dusza przed oczami, że z niejakiem zdziwieniem zagadnął go Krzesz, jaki szkic nosi w duszy. A na jego zdziwienie — tłumaczył:

— Cóż dziwnego. Wszak każdy człowiek jest artystą...

A tamten nieco z pańska:

— No, przecież... Chyba nie każdy jednak? Talent, twórczość — to przywilej, wypadek może nawet?

Krzesz rzucił mu kilka słów, choć wiedział, że napróżno. Powiedział mu coś o tem, że wszak każdy człowiek żyje. A żyć siebie trzeba

na wzór wizji. Na wzór tego upiora, któremu Nietzsche radzi oddać krew własną.

Karczewski osnuł się obronnym gwizdem, nie odpowiadając zgoła. Krzesz zaśmiał się. Zapytywał go, jak został tłumaczem przy owej szosie.

Karczewski z sytem zadowoleniem począł mówić odrazu: plan każdego nowego świata przenika szybko i uczy się przemykać ulicami każdego nowego miasta. Uczy się każdego z nich łatwo i wraz jest jak u siebie.

Krzesz zaśmiał się powtórnie:

— A czy nie kusi pana, panie obywatelu, zbudować nowe miasto? Miasto według swego „widzimi się?”

A na to Karczewski sądząc, że w bolesne miejsce cios wymierza:

— Nigdy „widzimi się“ nie było moim bogiem.

— To szkoda, szkoda — śmiał się Krzesz — „Widzimi się“ jest niezmiernie radosnym bogiem. A pańskiego boga znam, lecz krok jego nie podoba mi się: powłóczy nogami.

Tamten wysunął się nagle naprzód i wychylnawszy z lasu szedł prędko przez skiby i bryły do zatulnej białości widniejącego dworku.

Krzesz szedł swobodnie za nim.

Kiedy doszli do rowu przydrożnego, na dro-

dze ukazała się bryczka, a w niej dwóch mężczyzn. Towarzysz Karczewskiego krzyknął coś i już za chwilę witał się z nimi serdecznie, poczem z zadowoleniem sadowił na bryczce. Miętko, niepewnie zwrócili się do Tomasza, który stał za rowem.

Patrzył na nich przez chwilę z lekkim uśmiechem, poczem przesadził rów i ruszył drogą w przeciwną stronę. Za sobą usłyszał tylko bełkotliwy rytm bryczki.

I cóż?

Otrząsnął z siebie na drodze coś, co przyczepiło się na chwilę do jego poły. Wiatrem sprzecznym gnany pył, nie wędrowiec, lecz błędzący. Cóż mu?

A przecie z kawałem duszy polskiej się zetknął, a dusza ta była blada, i miękka, i lepka.

I dusza ta pełzła leniwie, drobną falą liszki po wielkiej drodze, kędy dudniły żelazne armaty. Kędy stąpały wielkie, podkute kopyta obcej mocy.

On przyszedł i porwał swym wichrem ten pył, a przyjdzie wiatr inny...

I zrozumiał stokroć bardziej Krzesz, że wielkich mu skrzydeł potrzeba i silnych pazurów, aby miecz głęboko zacięty wyrwać i zagrozić nim na granicy i poza granicę wyjść, wyjść zdobywczo.

W ciasnem pudełku austriackiego wagonu trzęsa się bezwolnie zbita ludzka masa.

Nieznana im siła rwała ich za sobą, potrząsając niedbale brzuchy, głowy i ramiona. Nad głowami przycupnęły na wąskich siateczkach oparte worki i trzeszczące kosze, na które spoglądali od czasu do czasu pieczołowitem i wdzięcznem okiem.

Krzesz stał między gruzłowatemi kolanami szpetnie żółtego na twarzy łyczka a tobołem jakiejś paniusi. Jedną ręką trzymał się w górze żelaznego pręta, a drugą chwycił się za oparcie lub ramiona sąsiadów, kiedy pociąg porzucał z pasją jedne szyny, aby wpaść na drugie.

W pewnej chwili Krzesz przyjrzał się uważniej łyczkowi. Wąski jego pysk chwiał się i trząsał na jasnem tle okna, a tuż za tym brudnym profilem przesuwała się szybko wstęga krajobrazu.

Zresztą wszyscy się trzęśli, pomiatani i poniewierani w niechlujnej skrzyni wagonu.

— Ruskie wagony byli kompletnie szer-

sze — oświadczyła paniusia z tobołem. — Jak jechałam do Kuluszek...

A nie widząc współczucia wśród ogółu, zwróciła się całkiem do swej sąsiadki:

— ...Jakem jechała do Kuluszek, moja pani, do ciotki męża, to wyciągnęłam się absolutnie, jak długa.

— Najgorzy to z bagażem — wtrąciła się czerwona dziewczyna w wysokich żółtych bucikach — Wzięłam ze sobą trochi kaszy...

Paniusia z tobołem wahała się nieco:

— To panienka te kasze... niby tak, faktycznie?

— Że co?

— Do miasta?

— Tak ta... — fałszywie uśmiechała się dziewczyna — dla wuja wieżę.

— Przeważnie z kaszą i z mąką taki skweres — zwierzyła się paniusia.

— Z czym niema skweresu? — rzucił filozoficznie rosły żyd w długich butach.

— No, już tam kupiec to pewnie nie ma na co narzekać.

— Nie ma na co? Ja pani powiem: teraz jest stagnacja.

— Ale! — bryztał jadowicie łyczek. — Po wirzchu stagnacja, a pod ławką koszyki.

Pośmiali się umiarkowanie, zerkając na drzwi.

— Każdy chce żyć — mruknął żyd.

Krzesz oddychał z trudem żółtymi oparami tych słów telepiących się o lepkie ściany wagonu. Odnajdywał w sobie starannie skarb wczoraj jeszcze zdobyty i nie umiał go odnaleźć. Między radosną wiedzą wczorajszego dnia, a dzisiejszem zgorzknieniem wszystkich myśli migąły mu nierównym taktem liczne głowy pasażerów. Próbował odgadnąć ich sens, ich wartość życiową, ale wymykali mu się ustawicznie z rąk. Zwłaszcza nie mógł dojrzeć podłoża, na którym stali, a które (czuł to dobrze) było fałszywem założeniem wszystkich ich czynów i słów.

Niespodzianie pociąg zachwiał się i biegł nachylony na bok, podrygując niezdarnie na jednej nodze. Jakieś żelaztwa trzaskały w nim gorączkowo.

— Panie, trzymaj pan swój koszyk.

— Nie zleci...

— Pan wysiada?...

Pociąg, nabrawszy naraz fantazji, rwał galopem ku stacyjnej budzie, rżąc głośno przez nozdrza pełne pary. Mignęła w oknie buda obita papą, potem wysoka studnia kolejowa i wre-

szcie pociąg stanął przeciągle jęcząc całym wnętrzem.

W niewielkiej zagrodzie, otoczonej drutami kłębił się tłum ludzki, cisnąc się i falując. Z drugiej strony drutów, stał chuderlawy człeczyna w niebieskawym mundurze.

Do pociągu biegło kilkunastu żołnierzy z tobołami i walizkami, a za nimi szła powoli gromadka oficerów, rozmawiając wesoło.

Po dobrej dopiero chwili otworzono wrota zagrody, i rozległ się głos:

— Zivil aufsteigen!

Wymykali się wąską strużką z otwartej zagrody i sadzili jeleniami susami ludzie różnych kondycyj. Krzesz widział ze swego miejsca spocone, brudne twarze i słyszał ochryple głosy. Do ich przedziału wtoczył się olbrzymi szlagon z mokremi strzępami wąsów i pan w długich spodniach z koszykiem i bukietem.

— Zmieścimy się, zmieścimy, panie dobrodzieju — sapał szlagon w odpowiedzi na gorące protesty autochtonów. Pan z bukietem wycedził w przestrzeń:

— W istocie, pojemność przestrzeni jest pojęciem bardzo względnym.

— Pan do Puław? — wywnioskował z tego niespodzianie szlagon.

— Nie, ale do Lublina.

Obywatel mruknął niechętnie, ale po chwili podjął:

— A ja do Puław. W sprawie kontygentu.

— Podobno dosyć wysoki ustanowiono?.. — ostrożnie cyknął pan z bukietem.

— Nie tylko „dosyć“ wysoki, ale zupełnie wysoki — groźnie strofował go tamten — Ale mam znajomego w Krejskomandzie... Polak. Nawet daleki kuzyn.

— I to jeszcze dla nas błogosławieństwo — uśmiechał się do niego pan — że niby ci bracia zza kordonu...

— No tak, tak — nie dawał się przebłagać szlagon — ale właściwie powinni i nas dopuszczać do urzędów. Nas, to jest tutejszych Polaków. Bo skoro staliśmy się poddanymi właściwie...

— W magistratach... — zaczął słodko pan.

— Co to w magistratach! Ja mówię — wogóle. Inaczej wywiozą nas, panie dobrodzieju, razem z kłamkami i gryką.

— Taak... — zadumał się pan. — Naprzykład tytoniu niepodobna poprostu...

— Ja sam sieję.

— No, tak, ale my w mieście... Niedawno kupiłem „madziarki“... Takie, bez mundsztuka... Jedna moja znajoma ma znowu znajomego oficera...

— Ho, ho, ho! Dużo naszych pań ma tych znajomych! — śmiał się dolną połową brzucha szlagon. Potem naraz spoważniał i powiedział spokojnie — A no, cóż panie? Wojna...

— Nie można jeszcze narzekać — mówił pan z bukietem — w naszej okupacji władze są względne...

Krzesz wyprostował powoli swoje obite kości i siłą rozwarł piekące oczy. Zuchwale przyjrzał się pokolei obydwom panom.

— A czy panom — zachrypiał suchym gardłem — a czy panom nie przychodzi na myśl, że my powinniśmy pluć na tę całą „względność“?... że my tu, psiakość — skowyczał zaciekle — u siebie na śmieciach, psiakość...

Piskliwa, drapiąca nuta utkwiała mu w szleszczącej krtani i nakręciła łzę na oko. Patrzył więc drugim okiem na zamilkłych panów, jak postrzelony jastrząb.

Po niejakej chwili dopiero pan z bukietem zaczął wybrzdąkiwać jakieś mądre pomruki, aż ułapiwszy najmądrzejszego z nich za ogon, podał Krzeszowi, uniósłszy wysoko brwi:

— Nierealne. To jest, proszę pana, nierealne.

Krzesz przekreślił ich twarze w swej pamięci i tylko słyszał brzęk nierówny wyrzucanych słów. Odnalazł wreszcie w podziemnej

głębi swój punkt oporu. Odrzucił się na oparcie i pysznił przed sobą:

— Gospodarz ja ci tej chudoby całej. I tych rowków, co cieką ciurkiem przy szynach, i tych chałup, i...

— Ihre Dokumenten?

Stał przed nim rosły chłop z żółtą opaską na rękawie. Oczy miał wyprane blado, a obwisłą gębę wyciągniętą na baczność. Może tylko w kącie ust czaiły się groźby przepisanych regulaminem tortur kajdankowych. „Wielki palec prawej ręki i wielki palec lewej nogi będą połączone całkiem ściśle ze sobą tak aby...”

Krzesz z niepokonanym wstydem wyciągał swą przepustkę.

— Joseph Niezabitowsky, Lehrer, geboren...

Żandarm składał ją nieufnie, obmacując grubemi palcami. Krzeszowi zdawało się, że nieznacznie ją wacha.

— Jak się pan nazywa? — spytał naraz Krzesza.

W jednej sekundzie powstało wahanie i razem siła stanowczej odpowiedzi:

— Widzi pan przecież... Niezabitowski. Józef Niezabitowski.

Pan z bukietem bardzo nieznacznie i bar-

dzo powoli odsuwał się od Krzesza, szlagon patrzył w okno.

— Nu, ja — mruknął żandarm, zamykając przepustkę — Warten Sie 'n bisschen...

Obejrzał się jeszcze w drzwiach, przygważdżając Krzesza do ławki, i szybko znikł.

Krzesz powstał powoli z palącą spiekotą uszu i policzków i położył rękę na klamce. Oczy jego biegły równym truchtem po drobnych choinkach, stojących przy torze.

— Panie — zachłysnął się pan z bukietem — jeszcze pan co sobie...

— Niech się pan pochyli — zaszeptał nagle świszczącym szeptem szlagon — niech pan się pochyli wtył, a nogi do przodu... i w stronę biegu...

— Mój Boże — wzdychała paniusia — i niech pan zaraz w drugą stronę... My tu powiemy...

Krzesz objął ich głowy wzgardliwą miłością:

— Otośmy — szeptał — otośmy jak złodzieje... sami u siebie. Szepcząca tchórzliwie miłość podaje nam lepkie, spocone łapięta... Ech!

W oczach przesunęły mu się naraz tysięczne pasma obłoków, drzew, wagonów.. Długo i wolno trwał w powietrzu, czując pustkę groźną sięgającą mu pod piersi. Potem niesłychanie mocno rypnął piętami o ziemię, i w tej sa-

mej chwili niedotykalna siła obaliła go bez wysiłku twarzą w piach. Ledwo, że nie pękły mu spoidła i ścięgna w łokciach, kiedy klapnął całą szerokością dłoni w twardy grunt.

Pociąg migał mu już z oddali swoim tępym zadem, a on nie miał mocy unieść głowy z przyziemnego ukłonu.

Wreszcie zdarł mundsztukiem swą hardość i postawił ją dęba. Potrząsnął łbem i plunął piaskiem za niknącą już brudną lizską pociągu.

Zaraz jednak z pierwszym krokiem zatoczył się bezwładnie i musiał usiąść na wygrzonym piaseczku.

Tuż obok rosła mała choinka, niezdarna karykaturka dorosłej sosny. O nią to oparł Krzesz huczając głowę i patrzył leniwie, jak niebo zataczało olbrzymie kręgi, znajdując się za każdym obrotem u jego nóg.

W tą chwilę wpadł mu cienki i ostry gwizd od strony pociągu. Daleki stukot ustał naraz, i pociąg widać stanął w polu.

Poderwany tą myślą szarpnął swe ciało z ziemi i pobrnął w głąb zagajnika, odsuwając niedbale sumiaste kity świerczków. Po jakimś czasie stanął i przemagając nieznośny szum w głowie, począł nadśłuchiwać zewnętrznych szmerów.

Cicho było.

Opadł więc wszystkimi mięśniami i włókł się człapiącym krokiem, wyciągając z trudem stopy, jakby lgnął w gęstej, gliniastej mazi.

Stanął bezradnie, kiedy zagajnik się skończył. Obiema dłońmi dotykał ostatnich drzewek, wysłanych na pikietę przez dzielny, mały ludek iglasty. Marszczył wielokrotnie czoło i bełkotał suchym językiem:

— Zaraz... po co to ja?...

Wreszcie przypomniał sobie. Przypomniał sobie nie nazwę samą, ale ciepło i kolor tej radosnej myśli. Uśmiechnął się więc lekko ściągniętymi boleśnie ustami i ruszył naprzelaj szarego od kurzu ugoru.

Szedł już bez wysiłku, bo bolesny skurcz mięśni stał mu się zwykłym i niedokuczliwym: prawie że przywiązał się do niego. Miał dwa cienkie gwoździe w udach i drugie dwa przy nasadzie łydek, wewnątrz zaś kolan miał suchy piach, który tarł mu kości. Zresztą i to było do wytrzymania. Przeszedł w tym czasie małą rzeczkę z błotnistymi brzegami, wyminął większy zagajnik.

Dopiero potknąwszy się na kopcu przydrożnym, zrozumiał, że jest ciemno. Poszukał chwilę dokoła i ujrzawszy kilka żółtych światełek, ruszył ku nim

— Co to jest? — powtórzył zdziwiony chłopina — Niby co za wieś?

A usłyszawszy twierdzące mruknięcie Krzesza, mówił z rozmysłem:

— Nawet nie można powiedzieć, żeby wieś, bo — miasteczko. Jak ruskie mówiły „sielenie“. Wąwolnica, panie.

Potem wyszedł pocziwiec z Krzeszem do drogi i tłumaczył dobitnie:

— O, to pan se pobakierował drogę dopiro. Teraz musi się pan wziąć na Chruszczów, i dopiroż za Białom Karczmę, i dopiroż wąwozy...

Krzesz nie dosłuchawszy prawie, wprawił w ruch bolesne skurcze nóg. Przeclapał znowu rzeczkę, nie wiedząc nawet, czy to nie ta sama, którą już raz przechodził, potem szedł środkiem wsi, mając tuż przy nogach zajadłe kłapania kundysów, potem i to ścichło. Zamajaczyła mu z lewej strony duża biała plama, samotnie chlapnięta na zielone tło.

— Aha! — przypomniał sobie leniwie — Biała Karczma.

Potem długi czas szedł w ciemniejącej ciągle pustce i mimowoli wejrzał w swoje zmęczone do ostatniego nerwu ciało. Chciał odwołać już swoje tyrańskie rozkazy i pozwolić obmięklým członkom rozpląszczyć się leniwie na drodze.

Ale raz jeszcze poderwał się. Umysł miał teraz jasny i przenikliwy aż do bólu.

— Ewa! — pobudzał swą wolę i myślał tak silnie, że prawie głośno — Zaraz zaczną się wąwozy. Tamta wieś — to był — Chruszczów...

Wszedł teraz w głęboki jar, posypany u góry ciemną zielenią. Skręcił posłusznie za jego wygięciem i szedł znowu, ledwie przestawiając nogi.

— Chyba już dalej... — wyszeptał i naraz dostrzegł, że minął już kilka domków, a teraz stał koło sporej willi.

Śmiejąc się cicho, obijał znowu znieczulone stopy o kamienie i wyrwy drogi. Usłyszał pod swemi nogami most, błysnęły mu w prawy kąt oka oświetlone sklepy i wydostawszy się na górkę, dojrzał białą plamę małego domku.

Szedł od kasztana do kasztana ten kęs drogi, jęcząc i śmiejąc się razem, aż zawisł bezwolnemi ramionami na sztachetach.

— Pachnie maciejka — powiedział cicho i począł obsuwać się wzdłuż płotu.

Jeszcze raz tylko spojrzął na domek. Zdało mu się, że w snopie ciepłego światła, płynącego z uchylonych drzwi, widzi zarys znajomej głowy.

— Ewa — wyszeptał bezdźwięcznie.

I wtedy zobaczył niezbitcie jasno, że na jego

niesłyszalny szept postać uniosła się szybko i poczęła zbliżać ku niemu.

Tak, to była Ewa. Stała teraz bez ruchu w otwartej furtce i nie mówiła nic.

Podniósł więc spieczone, suche oczy i spoj-
•rzał w jej blade, wielkie milczenie,

— Nic, Ewa — próbował uśmiechać się —
przecież nic...

Nagle Ewa wydała drapieżny krzyk matki
jastrzębiej i rzuciła się ku niemu. Dźwignęła
jego opadłe ciało i prowadziła go z wolna po
małej ścieżce, owianej zapachem matioli.

Następne dni przechodziły tak cicho, że nie słyszało się ich kroków. Oczy miały niebieskie, a włosy koloru słońca i żyta.

Kiedy Tom leżał cicho w lesie, Ewa nuciła mu swoje piosenki. Te same, które śpiewała z gromadką swoich małych dziewczynek.

Z tych piosenek Tom nauczył się dostrzegać ten maleńki światek, który dzieje się pod olbrzymim parasolem białej kaszki. Umiał patrzeć godzinami na niezdarne żuka, który drapał się uparcie pod górę, a potem nie mógł się podnieść z upadku i jeździł na grzbiecie, bzycząc niecierpliwie.

Jednak Tom miał jeszcze za szeroki krok i często przechodził ponad całymi światami, podczas gdy Ewa schodziła bez wahania ze ścieżki i schyliwszy się przy okrągłym stole pnia drzewnego, wyłuskiwała z mchu grzybie orszaki.

— To wszystko moja czarodziejska laseczka, śmiała się.

Koło nich bywało tak cicho, że pewnego

razu zleciał na pobliską gałązkę mały ptaszek i dziwił się strasznie, przekrzywiając głowę. Udał nawet wielkiego zucha, bo wykręcił się do nich tyłem, ale w tej chwili przestraszył się swej zuchwałości i furknął między gałęzie.

Tom i Ewa podziękowali sobie za tę chwilę uśmiechniętymi oczami i poszli, trzymając się za ręce.

Poznał też Tom „małe mateczki“. Było ich sześć i miały jedną córeczkę, niewiele od nich mniejszą. Przychodziły się zawsze opowiadać, gdy zabierały ją na Górkę Leśną. Najwięcej zaś było dyskusji, w czym jest Wandzi „do twarzy“.

Ewa godziła jakoś te zaciekle spory, cichaczem przerabiając fantastycznie pozszywane przez „mateczki“ fartuszki dla Wandzi.

Nad tem wszystkim stało ciepło uśmiechnięte słońce i grzało troskliwie znużone a zcichłe myśli. Dopiero któregoś dnia mroźna rzeźkość zawitała o poranku, a po horyzoncie rozsnuły się mgły gęste, jak dymy armatnie.

Krzesz opiął się szczelnie, wychodząc z Ewą do lasu. Szli prędzej niż zwykle, a kroki dudniły po stwardniałej ziemi. Doszli do kilku wystrzelonych hardo sosen, rysujących się u samej góry miękkim zarysem limb.

Krzesz huknął naraz zawadjacko i rozpe-

dził się w stronę największej sosny. Przypiął się do niej chwytnie, całym ciałem i równym pulsem skoku posuwał się coraz wyżej. Kiedy wszedł na najwyższą część drzewa, począł chwiać się lekko wraz z chorągwią zieleni.

Stanął nareszcie na samym szczycie jak na zdobytym maszcie i wyrzucił pełną piersią:

„Choć burza huczy wkoło nas,
Do góry wnieśmy skroń!“

Ewie zbladł uśmiech na twarzy, wyprostowała się całym ciałem i patrzyła weń w górę poważnemi oczami.

A kiedy Tomasz zszedł, zobaczyła w jego oczach odbicie tych dalekich horyzontów, które zobaczył stamtąd. Mimo, że stał na ziemi, wyglądał jakby stał wyżej.

Powiedział wtedy do Ewy:

— Muszę iść.

— Tak — odpowiedziała, schyliwszy głowę.

Widział, że w tym miejscu, gdzie stał, nie było nikogo. Wskazywał na niego palcem, jakby chciał powiedzieć, że tam jest miejsce dla niego. Wskazywał na niego palcem, jakby chciał powiedzieć, że tam jest miejsce dla niego.

Dojechawszy na miejsce, Krzesz wyszedł cicho na drugą stronę pociągu i szedł ostrożnie w stronę przejazdu klnąc, zgrzypiący niezdolnie żwir.

Raz czy dwa podchodził do domów ciągnących się ślepią ścianą przy torze, ale nie zdołał wsiąknąć pomiędzy nie.

Przy otwartym głupawo dziobie rogatki zauważył ciemną postać, zebrał się więc w sobie i cofał się powoli, zacierając w zmroku swój kontur. A kiedy znalazł się na wprost szlabanu, ruszył naraz pewnym krokiem.

— Halt. Przepustka jest? — wyłamywał sobie język wartownik.

— Ja stąd — pokazywał Krzesz palcem poza siebie — Będę brać przepustkę za każdym razem?...

— Nu, dobre... dobre... — podejrzliwie mamrotał tamten — Chodź pan.

Ciągnął Krzesza do drewnianej budy z napisem „Post“.

— Znowu — błysnęła myśl — znowu jak ten złodziej...

Wartownik był to mały zmiętoszony człeczyna z podciągniętym brzuchem. Szare worki porciąt ściągnięte były w kostkach szeroką patką, zapiętą na guzik.

Wszystko to ocenił Krzesz w mgnieniu oka i tuż przed drzwiami budy schwycił go za kark i z radosną pasją گیاł ku ziemi, waląc drugą pięścią w domyślne słabizny.

Człeczyna wymierzał ślepe ciosy wtył poza siebie, ale nie mógł dosięgnąć prześladowcy, który kuł go jastrzębim dziobem. Przytem karabin własny zsunął się żołnierzowi na łeb i stukał boleśnie zamkiem w kruchą pokrywę czaszki.

Rzęzące szamotanie usłyszane jednak zostało w budzie, i w wyłamanym kawale światła stanęło dwu ludzi. Zanim mrugającymi oczami wessali pod powieki ciemnię uliczną, Krzesz gnał już niespodzianie lekkimi nogami. Za chwilę był na moście. Tu zwolnił kroku i wysapywał z siebie dygot całej walki. Przez oczy pływały mu wolno drobne zmarszczki rzeki, monotonią swego rytmu równając wszelką burzliwszą falę.

Krzesz uczuł wielką, spokojną senność. Ziewnął szeroko i postanowił wypenetrować jakiś nocleg. Odwrócił się leniwie i sporemi krokami wsiąkł w ciemną kiszkę ulicy.

Wikłając nieco swój trop, wynurzył się do-

piero w pełni światła na głównej ulicy i krokiem spacerowicza skręcił w stronę mieszkania Kulika.

— Kto? — dziwił się przez drzwi zaspany Kulik — Kto?

— Otwieraj, psia... — syknął Krzesz — Będę ci się meldować na schodach?

Za chwilę Kulik druzgotał mu już prawie stojąc na środku pokoju w krótkim giezłeczku, niby efeb grecki.

— To nie nakryli cię — mruczał — A tu wszyscy już...

— Gdzie mnie położysz? — rzeczowo poinformował się Krzesz i zrzuciwszy wierzchnią odzież, rymnął na sofę.

Aresztowali ich spokojnie i bez hałasu zaraz nazajutrz rano. Żandarmi mieli znudzone twarze i leniwe ruchy, a Kulik i Krzesz nie myśleli nawet o oporze. Nawet kiedy prowadzono ich, ciemnymi ulicami, Kulik po cichu po głębokim namyśle, oświadczył Krzeszowi:

— Powiem ci, bracie, że już jak ma być tak, to tak i szlus.

Krzesz potwierdził ten wywód kiwnięciem głowy:

— Musimy doczekać naszej chwili — dodał.

Po wielu wędrownkach, odsyłaniach od urzędu do urzędu, badaniach i protokółach, Kulik zeżlił się nareszcie i wyłożył na stół jakiemuś „pepiczkowi“ z żółtymi sznurami:

— No, więc tak... Z pierwszego pułku jesteśmy... Obaj. Lżej ci?

I znowu wieźli ich wołowym wagonem, w duchocie paskudnej niewiadomo dokąd. Okazało się wreszcie, że to — Modlin.

Był wieczór.

Deszcz ciekł dotkliwym ciurkiem za kołnierze i obmiękał na stwardniałych fałdach płaszczów. W ciemnej głębi ruszała się i przelewała wielka masa ludzi.

Wzdłuż szyn wyciągnął się długi pociąg, ciemny i martwy, z zapadłymi oczodołami drzwiczek. Wskroś nierówny migot strug deszczowych widać było nieśmiały pobłysk małej lampki przy bufecie i gdzie niedzie krwawe ranki papierosów.

Przez nieznośny chlupot przedzierają się nawoływania, błędzące poomacku;

— Wąsik, my razem?

— A gdzie sierżant?

— Pierwszy pluton zbierać się tutaj!

— Pozdrówcie ode mnie pannę Jadzię.

— Ale nam zadali juchy!

— Nie bój się, przyjdzie i na nas...

Deszcz siąpi bez przerwy.

W ciemnościach poruszają się ciemniejsze jeszcze masy ludzkie. Ktoś spróbował ochryple: „Którędy Jasiu, którądy Jasiu...” Ale wraz zachrypiał fałszywie i umilkł.

Oficerowie stoją gromadką, bez oznak, w prostych płaszczach.

— Wiecie, miałem właśnie pojechać obejrzeć stadninę...

— Rdzawicz, duży to ten wasz majątek?

— Profesorze, co Kant na to mówi? Czy jaźń jako taka może odczuwać zmoknięcie?

Na boku mówi szeptem młody chłopak:

— Więc wy napiszcie mamie, tylko tak, żeby niebardzo... rozumiecie?

Pułkownik chodzi między nimi jak zatrwożona kokosz, której odbierają kurczęta. Zapadła mu się dziwnie twarz, usta zsiniały. Trzaska raz po raz zapalniczką koło twarzy, i wtedy z mroku wyłaniają się podkreślone oczy.

Deszcz siąpi, i cjurka, i leje nieznośnie, wnikliwie.

Wśród przestępującej w mroku gromady szmer jakiś poszedł.

— Ksiądz będzie mówił. Kapelan będzie mówił.

Ponad ciemną masą wyrosła naraz ściągła, śpiczasta twarz, rozjaśniona niezmiernie dobrym uśmiechem. Drobne, ułomne ciało w żołnierskim płaszczu zastyga w tragicznym ruchu:

— Żołnierze polscy!

— Tss! — ścisząją się wzajem w tłumie — Kapelan mówi.

A kapelan mówi poprostu a gorąco, bije w jego słowach surowy puls żołnierskiego życia i ognisty poryw proroka:

— ... nie kto inny, lecz ty właśnie, szary piechurze, na swoim karku nosisz los Ojczyzny! Nie kto inny, lecz ty właśnie, szary piechurze, masz tą ziemię rodzoną pazurami...

I wraz krztusi się łzami głos kapelana i łamię na słowie najgorętszem. Więc bierze go wiara w setki ramion, podaje sobie wśród okrzyków gorących, zuchowatych.

— Pazurami — mruczał Krzesz i rozglądał się wkoło. Ale dojrzał tylko bezbronną, szarą masę, drepczącą bezradnie.

A gdy rozległa się komenda, ruszyło to wszystko pokornie, odrazu... Zaczęli zapełniać

ciemne wnętrza pudeł, wciągać towarzyszy i tobołki, błyskać malutkimi iskierkami światełek.

Kulik odnalazł swojego kaprała, który przez szczyrbaty ząb strzykał niezrównaną obojętność. Cóż? okopy — to okopy, wymarsz — to wymarsz, a Szczypiorno — to Szczypiorno. Zawsze z całą wiarą razem.

Dobrali się jakoś pociemku w swoje „paczki“ i ładowali sprawnie.

Naraz gdzieś od końca ozwało się plugawe kłapanięcie, a za nim zaraz drugie, trzecie, czwarte. Jeszcze buntownicze okrzyki wydzierają się przez okna: „Niech żyje... niech żyje!“ I w takt bezsiły daremnych uderzeń kłapią drzwi ruchoмого więzienia.

Potem scichło. Pociąg szczęknął i cofnął się. Jeszcze jedne drzwi kołatnęły zawzięcie, ostatecznie. Potem gwizdawka przecięła słuch, i drewniany niewidzialny głos rozkazał w obcym języku:

— Odjazd!

I wtedy ze wszystkich małych, zakratowanych okienek wyrwała się boleśnie zawzięta przysięga:

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!“

I pociąg ruszył po tej ich ziemi, na której nie mieli ani jednej piędzi wolnej.

Tłukł się cały ten ponury wąż wśród prze-

mującej, mokrej nocy, obijali się o siebie ludzie w ciemnych pudłach. Terkotał pod nimi pośpieszny, zająkliwy chrobot kół, wybijając niezmordowanie swoje trzy takty.

Krzesz siedział w najdalszym kącie, wyczuwając tylko w pobliżu zacięte sapanie Kulika.

Po jakimś czasie w drugim końcu wagonu błysnęło światelko, i kapral Szymański, uniósłszy z powagą świeczkę, zaintonował przez nos, na nutę godzinek:

„O rybko przysmażana w sosie musztardowym,

„A oliwą i pieprzykiem dobrze zaprawiana...

I zaraz, zmieniając głos:

„Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem.

„Osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden — amen!

— Dalibyście spokój, kapral...

— Taaak? będę się gryzł do miętkiej śmierci, to Polska będzie miała z tego profit, prawda?

W świetle świeczki zarysowało się kilka postaci.

Złożony w kilkoro pan z niewielką, kwadratową bródką wyjął zmiętoszony notes i przetarłszy binokle, poradził kapralowi:

— Przylepcie świeczkę na mojej walizce.

— A „profesor“ już do literatury? — podniósł się z kąta młody głos, i do światła podszedł wysoki chłopak w obcisłych butach i szerokich spodniach.

— Notuję, notuję... na wieczną rzeczy następującej pamiątkę. O was tu wszystkich, kochanych jołopkach, żeby kiedyś nasze prawnuki musiały kuć do egzaminu, którego to mianowicie dnia i miesiąca w 1917 roku i t. d. I będą potem wszyscy myśleli, że wy naprawdę byliście wielcy ludzie...

— My jak my! — ożywił się naraz wychudły chłopaczyna z żółtą twarzą i projektem brudnego zarostu — My jak my, ale chyba „profesor“ nie powie, że nie było? A Dziadek? A „SzeŃ“? A Rydz? A inni?... A...

— Ba! — powiedział „profesor“, podnosząc do góry palec — Dziadek!

— Tak — mruknął ktoś jeszcze i ucichli. „Profesor“ pisał nadzwyczaj drobnym maczkiem w swoim notesiku, potem schował go starannie i zaczął grzebać w swojej walizce, przyświecając sobie niezdarne.

— Ja panu „profesorowi“ poświęcę — porwał się naraz Szymański, z zaciekawieniem zerkać do walizki.

— Nie.. dziękuję... ja sam — mruczał zgięty w pałąk „profesor“, ale Szymański nie ustępował:

— Ale gdzieżby! Pan profesor człowiek wyższej kultury!

Zyskał na tem jakąś zatwardziałą bułkę

i rozlały kotlet. Inni też wyciągali swoje ostatnie „wolne“ zapasy.

— Przydałaby się kawa — rozmarzył się młodzian w butach.

— ...tak, z likierem — puścił zjadliwie żółty chłopak.

— A obywatel Wąsik wie, jak smakuje likier?

— Nie, panie Rydzewski. Ja jestem na to za mało inteligentny.

Rydzewski odął się buńczucznie, ale wpadł mu w słowo „profesor“.

— A pamiętacie, jak to rano ryczał kapral Szymański? „Auf, bo kawa!“ Ten ma płuca, niech go! Kapralu, ryknijcie-no...

— Auf, bo kawa! — wrzasnął nieludzko Szymański.

Zaśmieli się niewybrednie.

— Ale najlepszy to był sierżant — zaczął Rydzewski — Jaktó on? „Tu muszy bycz okropny porziundeczek!“ A wtedy pod Jastkowem pamiętacie z tą krową?...

— Kapitalny był chłop!...

— Rydzewski, — zwrócił się „profesor“ — nie macie tam nikotyny?

— Nie mogę brać waszych płuc na swoje sumienie. Potomność...

— Gwiźdźcie na potomność.

— Ha, jeśli tak...

W małym kręgu światła zasnuły się gęste prądy dymu, ocierając się o siebie i kłębiąc.

— Opowiadał mi dziadek — cienkim głosem zaczął Wąsik — że w sześćdziesiątym trzecim palili wiśniowe i inne liście...

— Ba, w Warszawie jest specjalny tytoń Łazienkowski i Saski — przerwał Rydzewski.

— I dorożkarski jeszcze — strzyknął przez zęby Szymański.

Wąsik cofnął się w cień i milczał.

— Pluję sobie w brodę, że nie wziąłem książek — powiedział „profesor“, owijając słowa w miękkie zwoje dymu.

— O, czasu będzie dosyć na studja — ziewnął Rydzewski. — Kto wie, czy z tej rozpaczki i ja nie zostanę jakim heglistą czy kancistą?

— Nie ugryziecie — cicho bąknął Wąsik.

— Niby, że... że taka okropna mądrość? — parsknął Rydzewski.

— Kant, moi panowie... — uroczyście dotknął nosa „profesor“.

— O Kant! Kant, Kanta, Kantem -- zaperzył się piskliwie Wąsik. — Wielkie mi mecje! Odbitka starego Protagorasa. Subiektywizm, relatywizm! „Nie wiadomo czy istnieje świat, ale moja szanowna osoba napewno!“ Stąd i o wartości dzikie pojęcia...

— Aaa „tum cię czekał z parasolem“, jak mówi wieszcz narodowy — gwiznął profesor. — Kant was uraził w nagniotek socjalistyczny?

— Profesorze...!

— Słuchajcie, Wąsik — zwrócił się w ciemność Rydzewski. — Jak to ma być z kobietami w socjalizmie? Podobno mają być wspólne? Bo to upaństwowienie, panie tego, warsztatów pracy, czy jak tam?

Wąsik zaczerwienił się boleśnie i milczał.

— A wiecie — podjął Szymański — jak to było w jednym miasteczku żydowskim, jak przyszli kozacy? Wylatuje do nich młoda żydówka i mówi...

W odpowiednim miejscu chór ryknął śmiechem. Powtarzali pointę dowcipu: „Jak wojna — to wojna!“

Na którejś stacji drzwi się otworzyły, i wszedł opięty dokładnie żołnierz niemiecki z karabinem. Stał przy drzwiach.

Ucichły nieco rozmowy, lub skradały się, ostrożnie schyliwszy ramiona. Zawisła nad nimi nieuchwytna groza, blady strach i wstyd.

Pierwszy otrząsnął się Szymański, i kiedy pociąg ruszył, odezwał się:

— Niemiec nie taki straszny jak maluje. Zobaczycie, jak się z nimi rozmówimy po przyjacielsku.

Tu zwrócił się do poważnego Niemca:

— Pocałuj me... w nos.

— Was?

— Właśnie. Mnie.

Wagon ryczał ze śmiechu. Niemiec odwrócił się półbokiem i milczał, ale kiedy śmiech nie przestawał wstrząsać desek wagonu, huknął groźnie:

— Ruhe !

Umilkli naraz, tylko z ciemnego kąta, gdzie siedział Krzesz, rozległ się krótki, niedobry śmiech.

— Wiara — szepnął po chwili Szymański — trzeba szwabowi kawał zrobić.

— Racja, ale jaki?

— Raz w Krakowie zrobiliśmy taki witz — zapalił się Rydzewski. — Wzięliśmy we dwóch deskę w nocy i skradamy się ostrożnie... A mieliśmy kwit na kupienie tej deski...

— No, tak, ale tu przecież deski niema — poważnie reflektował „profesor“.

— Ja myślę tak — dyrygował Szymański. — On musi z nami wychodzić, jak kto będzie chciał zejść na boczek. Powiemy, żeśmy się pochorowali...

— Morowo. Morowo!

— ...I na każdej stacji...

— Dobrze! Kolosalne!

Całą drogę trwały „kawały“, na które Niemiec reagował tylko ponurem spojrzeniem. Spełniał swoje obowiązki jak automat, choć pasja wrzała w nim widocznie.

Humor panował w wagonie niepodzielnie, póki nie stanęli na niewielkiej stacji. Czystość tu panowała wzorowa. Wszystko było — niby mundur żołnierski — dobrze pasujące, mocne i zapięte na wszystkie guziki.

Gapili się na tę siłę widoczną w każdej cegle, w każdej klamce — oni, wymiętoszeni w dusznych wagonach, zagubieni w zwisających, workowato płaszczkach z pokrzywy.

— Nędzo, nędzo! — wołał przez zęby Krzesz. — Dziadowska chudobo polska! Cóż my wiemy o dumnych pazurach potęgi? My, którzy nawet to dziadostwo nasze dostaliśmy ochłapem od bogatszego dziadostwa. Co my wiemy o wielkich, żelaznych potworach, o nieskończonych pochodach ludzi, koni, wozów... O wielkich gmachach, gdzie wielcy ludzie potęgę państwa na mapach znaczą...

W ciszy zupełnej pełzył szary, nijaki wężyk więźniów. Kilku zaledwie ludzi po bokach — z bagnetami, a oni w środku. Szli spokojnie.

Potem stanął przed nimi wielki kojec. Była to część świata wolnego, odrutowana boleśnie, kłująco. Horyzont był wielokrotnie przekreślony

równemi i krzyżującymi się kresami. Wszystko na świecie rozpekło się na drobne ułamki, zawarte między odcinkami drutu.

Tak to się czuło gdzieś głęboko, głębiej od słów i nawet głębiej, od wyraźnych myśli. A tak, po wierzchu to: szare słupy, kolczasty płot, nieco chwastów, w głębi czarne dachy wprost na ziemi osiadłe... A tu — my, a tam — Niemcy. I nie wiadomo, w którym miejscu jest właściwy sens tej chwili. Czy tam, w tej bramie, czy tu, pośrodku szarej gromady.

Potem brama skrzypiała, gromada ruszyła się wolno i przepelzła przez nią. A potem... potem już gdzieby się nie obejrzeć — cały świat był odrutowany. I tak miało być niewiadomo dokąd, a to jest przecież dłużej niż — na zawsze. Na śmiech, na drwiny z człowieka, który już nie może oddychać całym światem — stworzono mu tutaj świat osobny. Świat, miasto... Są ulice i bulwary, zadrzewione obłupanymi z gałęzi wszelkich słupami, obręzione ostrym, dotkliwym ścięciem drutu. Są dzielnice, wielkie kwadraty podzielone cienkimi ścianami, przez które wiatr przechodzi, sycząc z bólu, ale człowiek nawet za cenę bólu, za cenę ubarwienia na wesoły, czerwony kolor szarych drutów — przejść nie może. Są domy. Domy przycup-

nięte dachem na ziemi. Domy czy nory borsucze?

Wąsik powiedział cicho:

— Dumny jestem z naszego cierpienia. Cierpienie jest ceną wielkości.

Krzesz spojrział na niego, spojrział jeszcze na kilku i zatrząsł się drobnym dreszczem wspólnego wstydu. Powiedział:

— Piecze mnie twarz. Niewolnik osmagany przez swego władcę szuka dumy w swej hańbie. Człowiek nie może żyć bez szacunku własnego, ale szacunek własny zdobywa się w walce. Niewolnik zapomina o tem i cieszy się, nazywając hańbę dumą. To jest już dno... To jest dno...

Wąsik odsunął się nieco i nic nie odpowiedział.

Wszyscy mówili szeptem, jak gdyby był wśród nich umarły.

Dopiero kiedy rozdzielali ich na grupy, wyznaczone do baraków, i z głównej ulicy wprowadzano w osobne kwadraty, odezwał się zadziorny głos. To mówił kapral Szymański:

— Wybierajcie sobie, obywatele, przejścia, żebyśmy sobie nie przeszkadzali, jak będziemy wieczorkiem wychodzić z tego zakładu. Bo myślę, że się nam tu niedługo znudzi.

Prychnęły śmiechy, i rozmowy stały się

głośniejsze. Wesoło kpili z długich nar drewnianych, skąpych okienek i kocyków „watowanych“ gazetami.

— Doprawdy! — krzywił się „profesor“. — Jestem przekonany, że Niemcy próbują na nas hypnotyzmu. Te gazety muszą być ultra-patrjotyczne, i my, śpiąc pod niemi, gotowiśmy przysięgnąć nietylko Beselerowi, ale samemu Wilusiowi.

— O, przepraszam! Ja muszę koło okna, bo mam artystyczną duszę i co noc muszę wstać, patrzeć na krajobraz.

— Zupełnie takie same okna, jak w Wenecji...

— Te wspólne nary to, żebyśmy się bardziej zżyli... My i pchły nasze — jak mawiał Zagłoba.

Mętną wodę, zielonkawego koloru, którą im dano na „obiad“, przyjęli wybuchami śmiechu:

— To z pokrzywy chyba?

— A no, na każdą zupę idzie jeden stary płaszcz.

— Ciekawym jak ta potrawa nazywa się w „menu“?

— Ja myślę, że to tak zwana „scieren-zupe“...

— Cóż to takiego?

— No, poprostu zupa ze ścierek...

Pojadali jeszcze resztki swoich zapasów, potem wyszli ostentacyjnie przed drzwi i wylewali kolejno zupkę w oczach warty.

Pierwsze dni miały jeszcze kolor i impet z za drutów przyniesiony. Rajcowano i sejmikowano, wybierało się naczelników baraku (zazwyczaj kogoś z rangą „dla porządku“), nawiązywano łączność z innymi barakami, urządzano się wewnątrz...

Niezadługo jednak przyszły dni wyprute z wszelkiej krwi.

Ludzie obijali się o siebie, żuli sypką szarą nudę i spluwali wzbierającą ślinę cichej wściekłości. Przytem głód przycisnął już dobrze podkasane brzuchy, sięgając kościstymi łapami zaschłych gardzieli. Nie żartowano już na temat zupy, tylko klęto „w żywy kamień“ a bezsilny gniew osłabiał lepkiem potem wynędzniałe ciała. Chleb stał się drogocennym produktem, który dzieliło się na kęski, okruchy i drobinki. Ramiona zwisały ludziom spadzisto od szyi, a bezczynne i zbyteczne ręce plątały się koło bioder.

Na ten czas największego głodu przypadła awantura z łowieniem kur na wędkę, która potem stała się sławna w całym obozie.

Pomysł rzucił Rydzewski, którego obywatelski żołądek wprost stawał dęba na „szwab-

skiej kuchni“. Przygotowano cichaczem długie, cienkie sznurki, pracowicie zwijane z nici, nadano im potem „ochronny kolor“ sposobem bardzo prostym, bo... zabrudziwszy je tylko. Postarano się o haczyki, własnym przemysłem wyrobione, i udano się na wyprawę. Właściwie poszło tylko dwóch: Rydzewski i Szymański, ale kompanowie rozstawili, według wszelkich prawideł, wedety i czujki.

Wieczorem już prawie zjawili się myśliwi z łupem, do skonsumowania którego dopuszczeni byli ci tylko, którzy przyczynili się do powodzenia przedsięwzięcia. Barak odżył duchem: nęciła nie tylko strawa, ale podniecał i zapalał hazard myśliwski.

Udoskonalono haczyki, które były nieco za duże, i większą już drużyną ruszono na nowy połów.

Wiadomo, że skończyło się to fatalnie. Szczególniej pienił się Rydzewski, który musiał stać w środku i trzymać w górze kurę, podczas gdy reszta defilowała wokół niego.

To ogromnie zaostrzyło opuchłe wściekłością dusze, i cała wynalazczość beczynnych ludzi zwróciła się w stronę drobnej zaciętej, podjazdowej walki.

Zdarzało się wyrzucanie przez okno nieczystości na głowę wartowników, chóry kociej

muzyki i wszelkie możliwe awantury arabskie, oparte na skwapliwie odnawianych kawałach sztubackich i studenckich.

Najwięcej entuzjazmu wzbudził wspaniały plakat, przedstawiający nagiego „Wilusia“ w pokrzywach z podpisem: „wszystko z pokrzywy“. Winjetkę tworzyły wszelkie produkty sporządzone rzeczywiście i rzekomo z pokrzyw, a więc płaszcze, ubrania, szpinak, zupa, papier, meble a nawet domy.

Afisz wykonał jakiś nijaki chłopaczyna, Kulikowski, przed którego zwiędłą twarzyczką wyrastały te świetne, zamaszyste linje i plamy.

Wśród ad hoc zaimprovizowanego ceremonjału powieszono ów afisz na honorowym miejscu.

Kilkakrotne usiłowania Niemców pochwyceń plakatów spełzały na niczem: znikał on podczas niebezpieczeństwa, poczem znów wyłaniał się uroczyście.

To powodzenie zachęciło do dalszych prób: uroczyste miny kilku wtajemniczonych redaktorów nie przeszkodziły rozniesieniu się wiadomości, że powstaje pismo „tragiczno-satyryczne“. Nakład wynosił coprawda zaledwie 6 egzemplarzy, ale powodzenie było ogromne. Przyznać to musiał nawet naczelnik baraku,

porucznik Kierski, który krzywił się z początku na „wszystkie te bzdurstwa“.

W samym dniu wyjścia zdarzył się jednak mały wypadek, który stworzył w baraku specjalną atmosferę.

Z sądu koleżeńskiego zrobił się w ostateczności wiec, na którym wypłynął ów Kierzek. Był to prototyp wszystkich subjektów i fryzjerów świata: miał czarne baczki i głupio-mądre spojrzenie. Uzyskawszy głos od kwaśnego Kierskiego, wymachiwał nieszczęsnem pisemkiem i wołał do nieba oraz towarzyszy o szybką, natychmiastową niemal sprawiedliwość dziejową.

Kamieniem obrazy był niezdarnie sklecony wierszyk, który porównywał życie w obozie z przyszłym rajem socjalistycznym, dowodząc, że „wszystko mamy wspólne nawet nary i pchły“, a wszystkie żołądki równość czczą, bo równie znoszą głód.

Godnego przeciwnika pozyskał sobie Kierzek w niejakim Piaskowskim, który równie nagle wypłynął z tłumu. Sprawa oparła się aż o „orientacje“ o Komitet Narodowy w Paryżu i N. K. N.

Przy Kierzku znaleźli się naraz Wąsik, Kulik, „Profesor“ i kilku innych, przy Piaskowskim stanął Rydzewski, Kierski i ów malarzyna Kulikowski.

Na drugi dzień zaczęły się przenosiny tak zwanych posłań to jest legowisk z jednych nar na drugie, póki na jednej stronie nie znaleźli się lewi, a na drugiej prawy.

Teraz co wieczór wszczynwały się gorące dyskusje i wypominania rzekomych krzywd. W robaczywem świetle lampki dyszały żółte twarze zjadliwemi słowami, szarpiąc się wzajem.

Podjazdowa utarczka z Niemcami osłabła znacznie wobec tego, dopóki w ten rozdygotany chorą nienawiścią tłum nie padła wieść:

— Numery mają przyszywać.

Według wiadomości Kierskiego (co objaśnił spokojnym głosem na wieczornem zebraniu), chodziło Niemcom o zaprowadzenie nareszcie ścisłej ewidencji internowanych, wobec tego, że poniektórzy w tajemniczy sposób przepadli więźniowie byli stale meldowani przez naczelników baraków jako obecni i otrzymywali porcje. Natomiast przy obrachunku wypadało znacznie mniej ludzi. Była to więc „akcja oszczędnościowa“ — jak zakończył swoje przemówienie Kierski.

Kierzek był naprawdę szczęśliwy:

— A więc tak, towarzysze — krzyczał — kto nie będzie miał numeru, nie dostanie jeść? Dobra! Nikt nie dostanie jeść.

— Racja! Racja!

— Towarzysze! — piał Kierzek. — Głódówka!

Piaskowski tym razem nie zyskał aprobaty. Mówił „miętko“ — jak się wyraził Szymański. Na rozpalone myśli lał ciągliwą oliwą swych okresów i podzegał tylko ogień. Tłumaczył, że skoro są w niewoli (bo są w niej przecie?) to muszą ponosić konsekwencje. Że trzeba było bronić się przeciwko internowaniu, ale skoro się tu jest, nie należy bezcelowym oporem, oporem, który tylko może skompromitować...

Zakrzyczeli go.

Jakby w jakiejś jednej chwili zrozumiałwszy hańbę swej niewoli, uczepili się resztek swej dumy człowieczej.

— Nie damy! Nie chcemy! — ryczeli wszyscy.

Kierski stracił z rąk władzę. Zato w rogu baraku Kierzek szeptał coś zajadle.

Na drugi dzień wyprowadzono dziwnie spokojną gromadę bladych ludzi, i kilku wojskowych krawców sprawnie plamiło ich ubrania dużemi plackami płótna z bezczelnie wyraźnemi literami. Cisza, która nerwowo dreptała za szeregiem, niepokoila Niemców.

Ci, którzy dostali już numery odchodzili na bok, zwiększając co chwila ponurą gromadę. Wszyscy mieli ostro zacięte usta, sprężone jak napięty łuk.

Za chwilę już wszyscy...

I wtedy padło ciche hasło:

— Teraz.

— Zatrzeszczały nici długim przeciągłym terkotem, jak karabin maszynowy. Z dziką radością zrywali z siebie wstrętne piętna i rzucaли na ziemię. Potem chór wybuchnął:

— Nie chcemy! nie damy!

A w ciszy, która zapadła po okrzyku, rozległ się wyraźnie głos Szymańskiego:

— Guzik z tego, szwaby.

Groźny chrzęst broni odbił się boleśnie w ich bezbronnych piersiach. Karabiny pochyliły rogi do ataku i wolnym krokiem szły na nich. Bładzi, bez głosu zbili się w hardą gromadę, czekając na coś... Ale odprowadzono ich tylko do baraku, u drzwi którego stanęła warta.

Pod wieczór dopiero rozprężyły się ściśnięte w piersiach serca i zaczęło się bezładne wyrzucanie słów, zdań i okrzyków. Wszystko to było poszarpane, nieskończone, przekrwione bólem i trzepotało się u sufitu, zderzając wzajem ze sobą.

— Ustąpią! muszą ustąpić.

— Podobno Rada Regencyjna ma się wstać...

— Jak się wstawi to szampanem, a nam guzik z tego!

— Nie gadajcie, obywatelu! Niemcy muszą się liczyć z opinią...

— Z czym, z czym? Wiecie, do czego oni używają opinię? Bo mogę wam powiedzieć...

— No, dobrze, a jeżeli będą nas siłą brać?...

— Nie dawać się!...

— Towarzysze! — zapał znów Kierzek — mamy ginąć z głodu, to chodźmy, uderzmy na wartę...

— Obywatele, obywatele! Przecie trzeba mieć sens we łbie...

Przewalały się gorące dysputy po baraku, tarzały, dały za łeb, skowyczały i wznosiły dokoła siebie kurz i dym.

W pewnej chwili Kierzek przyskoczył do milczącego Krzesza:

— Towarzyszu, wy z nami, czy przeciw nam?

Krzesz długo szukał w odwykłym gardle odpowiednich dźwięków:

— Z kim, „z wami?“

— Z nami, którzy pragniemy wolności i zniszczenia wszelkich...

Urwał, cięty poprzez swój krzyk krótkim śmiechem Krzesza. Krzesz śmiał się skrzywionym, drgającym wstrząsem:

— Jak koguty... koguty w kojcu. Patrzcie tam.

W drzwiach stali spokojnie Niemcy, rosłe draby, dufne w siłę swoją i tę większą jeszcze moc, która stała za nimi. Kierzek wsiąkł w tłum i wraz skłębił się w wirze piaszczystym najgorętszej dysputy.

Krzesz już oddawna nie mieszał się w mętny nurt życia barakowego. Był rybakiem, który zarzuciwszy wędkę, spokojnie składa ręce. Był rolnikiem, który czeka na wzrost ziarnka. Czas jego żniwa jeszcze nie nadszedł. Miał bowiem w sobie gorczyczne nasienie, które było całą jego mocą, lecz czekać musiał, aż niewiadome słońce wyczaruje jego pęd.

Cóż miał rzec o dwóch „obozach“? Kiedy w słoneczny dzień wyszedł na próg i śmiał się radośnie do świata, a potem wracał w zaduch nar, ludzi, krzyków i kłótni — dusił się zgniłym powietrzem słów i myśli, które tutaj dyszały.

Siadywał więc na uboczu, bardzo spokojny, i często zarys małego uśmiechu przesuwał mu się przez usta. Czasem patrzył przez okno na szyldwacha niemieckiego, który odprawiał nabożeństwo swej warty. Ciągłe, ciągłe uczył się jakiejś najistotniejszej wiedzy. Uczył się od świata, ale bardziej jeszcze od siebie. Wiedział bowiem, że kiedy zdobyty materiał ułoży w pewien jedyny sposób — wyłoni się z niego mą-

dra, naga i prosta prawda. Musiał więc dużo przestawać z sobą. Któregoś rana ocknąwszy się, wyszedł z siebie, aby spojrzeć na ludzi. Twarze były opadłe, ściemniałe dziwnie i trupie. Wszyscy leżeli cicho na narach, i było to coś tak komicznie-strasznego, jak hotel trupów.

W południe rozniosła się leniwa wieść:

— Wąsik zemdłał.

A zaraz potem:

— ...I Kulikowski.

Żołnierze niemieccy wynieśli ich do szpitala.

Wieczorem kilku jęczało, wijąc się na narach słabym, robaczkowym ruchem.

Jakiś tęgi chłop, skurczony w kłębek, patrzył w ścianę i mówił jednostajnie spokojnym głosem:

— Oj — cholera! Oj — cholera! Oj — cholera!

Porucznik Kierski szedł wolno ku niemu, chwytając się za nary, i naraz obmiękł cały, zachybotął się i nieruchomo upadł na twarz.

Kiedy nie wstawał długo, najbliżsi zaczęli złazić, stękając i klnąc, i długo dźwigali go do góry.

Na drugi dzień zabrano go do szpitala, jego i jeszcze kilku. I wtedy to cichcem, cichcem wieść wstydliva wpełzła między żółtych ludzi. Że tylko na jakiś czas włożyć numery.

Że tylko dla lojalności. Że Rada Regencyjna...
że kakao... że umierają.

Byli to już tylko chorzy ludzie, w szpitalnym baraku leżeli cicho i pogodzonemi oczami patrzyli na drzwi.

O, Boże! Kocioł wnieśli. Jak to kakao pachnie... To podobno Liga przysłała. Kakao i cukier. O, Boże, jak to pachnie!

Teraz roznoszą kubki cynowe. Jeszcze gorące. Pić trzeba powoli, ostrożnie, bo czczy żołądek nie wytrzyma...

Chłepnął jeden i drugi i naraz... Co to? Wstręt, wstręt ściska gardło! Wszystkie wnętrzności wywracają się, jak rękaw wypruty, żółć podchodzi do gardła, ciało wygina się bolesnym skrętem... Kakao — słone!

Ryk straszny, charkoty obrzydłe, klątwy wściekłe trzęsą barakiem.

Młody doktor mówi coś głośno, porusza się czerwona maska twarzy:

— Omyłka... zamiast cukru...

Nie słuchają go, jęczą bezsilnie:

— Ach, ty psia twoja...

A potem, kiedy wrócili do pokrzywnej zupy — przyszyto im numery.

I znowu co wieczór skupiali się przy zgńskiej lampce w zaduchu ciemnego baraku.

Czasem judzili się tylko wzajem tajemnymi zęgadłami, czasem cięli świszczącymi smagnięciami przez twarz a kiedy wspinały się na siebie dwie fale nienawiści — walili oburącz obuchami złych słów w swoje duże głowy chwiejące się na żółtych szyjkach.

Różne sprawy wpadały w stojący staw tego życia i zaburzały spokojny wyląg bakcyłów. Od każdej z tych spraw szły dalekie kręgi i zmarszczki po płaskiej powierzchni, a z dna wstawały bławe muły i długo wirowały i snuły się gęstym mątem.

Tak było z rzekomemi listami ukochanego pułkownika. Jedni wierzyli, inni wężyli najgrubsze oszustwo:

-- Onby radził wstępować do tej niemieckiej bandy? Do „beseljerów“?

Ktoś rzekomo poznawał podpis. Ktoś inny, który miał znajomego porucznika, który... i tak dalej — zaprzeczał stanowczo. A tymczasem

o brudnym zmroku skradały się niewyraźne cienie do domku, gdzie mieszkał Herr Feldfelbel, albinos z oparzoną na kolor buraka twarzą. Potem, na zbiórce zarządzanej bez uprzedzenia, albinos wyrzaskiwał liczne nazwiska „ochotników“ do pomocniczego Oddziału.

Tym tylko sposobem unikano poważnego „obijania“, które czekało ochotników.

Niektóre pułki wreszcie wyparowały prawie docna.

Pozostali zczepiali się ze sobą jeszcze zacieklej, i coraz częściej wynikały „sprawy“, które wymagały dyskusji „zasadniczej“.

Najnowszą z nich — byli Anglicy. Kierzek wniósł na porządek wieczorowy ową „niecierpiącą zwłoki kwestję, która domagała się natychmiastowego rozstrzygnięcia“.

Kierski był nieco zmęczony bezwładnym stekiem krzyków i gestów:

— Ostatecznie, obywatele — cedził ciągliwie kątem ust — ostatecznie nie można im zabronić... Oczyszcili swoją część podwórza, dobrze, a czyż możemy żądać, żeby i nam...

— Obywatelu! — rozpętał się Kierzek w żółtym wrzasku. — Przecież wiecie, że nie o to chodzi. Przecież sedno sprawy...

Otóż sedno sprawy było w tem, że Anglicy nie pozwalali śmieć na swojej oczyszczonej

polanie, a nawet nie pozwalali tam chodzić, jak jakim barbarzyńcom. A właściwie (Kierzek coraz dalej przesuwiał „sedno“), właściwie rzecz w tem, że wywiesili rosyjski napis:

— „Prochodit wospreszczajetsia!“

— Precz! precz! Zniszczyć, wyrzucić!

Ktoś jednak, wyrzawszy z ciemnej kiszki baraku, stwierdził, że żadnej tablicy niema, wobec czego cała akcja obywatela Kierzeka...

— Kierzka!

— Niech będzie Kierzka! nie ma najmniejszych...

— Ma podstawy!

Wszyscy byli napęczniali jadem nienawiści, gotowi do ciągłego oblewania się gryzącą, pokrzywną ciecżą. Wgięte, wciśnięte w głąb piersi i zgarbione łukiem plecy mówiły o łatwej i natychmiastowej pokorze wobec dziejącego się losu. Zato ziemiste twarze i przekrwione, niewidzące oczy groziły, ciskały, burzyły, protestowały... Gdyby tylko nie pokora tych grzbietów!

Krzesz ocknął się w swoim kącie jak zwierze ze snu zimowego i przeciągnął się, trzasnąwszy wszystkimi stawami. Poczem cichemi a szybkimi krokami wymknął się ciemnej stęchliźnie baraku i wychynał na słoneczny świat.

Oślepiło go zrazu radosne, młodzieńcze słońce, że dopiero po chwili począł widzieć w naj-

bliższym obrębie. Każda część starego, znanego widoku odnajdowała w oczach wyżłobione, wytarte wspomnienie swego miejsca i układała się znajomo.

Na rzadkiej, łysawej trawinie pstrzyły się najwyższym stopniem wulgarności niechlujne świstki papierów, niedopałki papierosów ze zżutymi na żółto końcami, zgniecione pudełka, ochłapy szmat odzieżowych, opuchłe i zgniłe, jak zdechłe szczury. Po całej najbliższej przestrzeni mnożyły się rozrzucone fantastycznie wulkany śmiecia, nieczystości, słomy i gnoju, parujące ciepłą i wilgotną ohydą.

Nim wszakże Krzesz oderwał oczy od tego podłego kąta i przeniósł je tam, w stronę Anglików, uderzył go (słyszany już od początku) gwar i tupot, z których wytrysnął chóralny krzyk:

— Gol!

Szybko zwrócił się ku nim i uczył się na pamięć ich widoku. Może dlatego byli tacy wyraziści, zwarc i piękni, że tłem ich był równy, żółtym piaseczkiem wysypany plac, a ramami—zielona wstęga trawy. Na żółtym piasku lśniły zdrowo białe linje boiska, i metalowo odcinały się jędrne i skoncentrowane postacie mężczyzn. W ubraniach raczej sportowych niż wojskowych, w skrzypiącej dzielności pasów, żółtych

trzewików, wykwitający śmigłami szyjami Rzymian z rozchylonych kołnierzków koszul — byli piękni i zdrowi, jak ranek po kąpieli. A przytem... tego niepodobna ująć, ale było w nich coś z cow-boy'a i Robinsona (może Jack'a Texasa czy sławnego myśliwego Old Fire-Hand'a?) Może to te koszule otwarte, czy krótkie fajki, czy... nie, tego nie można wskazać po imieniu, ale to jest.

Mają też coś z senatorów Romy. Te wygolone, twarde twarze, dumne nosy i zimne oczy drapieżników...

A wreszcie... ależ tak, na Boga! To przecież dzieciaki, sztubaki na wagarach zamiejskich! Ten, który tak namiętnie goni za piłką, ma z pewnością koło pięćdziesiątki, siwy jest prawie zupełnie.

Nie można jednak bezkarnie przypatrywać się ich grze, nie dając się porwać. Tak namiętnie, z takim uporem i pasją pędzą piłkę do bramki.

— Bagatela!... Tu trzech, a bramkarz... Co, odbił? Aha, aha, aha!... Jest!

— Gol! — huknęli po raz drugi Anglicy.

Doprawdy nie można było nie dać im brawa. Potem zaczęła się arcyzabawna rozmowa głuchoniemych, popierana onomatopeją nieartykułowanych okrzyków. A już po chwili Krzesz

zastąpił „beka“, któremu się stała jakaś bagatelka: zwichnięcie, naderwanie ścięgna, czy coś takiego. Potem już codzien był „foot-ball“ i wzajemna nauka języków. Jednego z najbliższych dni Krzesz wziął ukradkiem łopatę i zaczął oczyszczać „polski“ plac. Wynosił ojczyście śmiecie, ciskał kupy rodzimej zgnilizny, zsiadłej na kamień, wyrzucał wszystką nędzę. Nazewnątrż wyglądało to tylko jak sprzątanie podwórza. Tyle też widzieli w tem koledzy. Krzesz jednak nie czuł się tem dotknięty: miał w sobie tyle uśmiechniętej wiedzy!

Zapamiętał też sobie, że od czasu, gdy ocknął się ze swego snu, zdarzenia pobiegły dziwnie wartkim prądem. Wszystko nabrało barw, konturów i ruchu. Nie było dnia, któryby nie był napełniony aż po brzegi treścią.

Któraś z tych pełnowartościowych dni przyszła od Ewy paczka i mały karteluszek. Zanim go jeszcze otworzył, wiedział już dobrze, kto mógł mu zdaleka przesłać jasny promień, który podniósł w nim gorący przypływ krwi.

Radość jego jednak była głębsza niż zdziwienie. To było tak proste, że te słów kilka teraz właśnie przyszły. Tak powinno było być.

Gorąco życia tak po brzegi wypełniło go, że musiał nadmiar jego przesączać w uśmiechu lub cichym pomruku. Śpiewał nawet sobie

śmieszne piosenki o sobie takie, jakie śpiewają Eskimosi, jadąc przez nudne pustynie:

— Hej, hej! Jestem sobie. I słońce jest. Słońce musi grzać. Gdyby nie grzało — przestałoby być. Nie byłoby słońcem.

Hej, hej! Rodzi się we mnie słońce. Chce grzać, chce świecić. Dobrze mi jest z mojem słońcem.

Hej, hej! Jestem ja i jest ona. Jest daleko, nie daleko. Jest we mnie. Może dlatego właśnie jest we mnie słońce. Hej, hej!

W rytm tego śpiewu wysuwała mu się z pod nóg długa taśma nowych zdarzeń, które zostawały za nim, podczas gdy coraz nowe biegły ku niemu i kładły się pod nogami. Przechodził po nich sprężystym i tanecznym krokiem zdobywcy.

Tak też się stało i to najważniejsze: stał się tak do głębi wolnym, tak bardzo panem i rządcielem, że postanowił odrzucić śmieszny pozór swej niewoli.

Postanowił również wyprowadzić swego ucznia-nauczyciela, Williama Rose'go, Amerykanina.

Stało się to w spacerowym tempie: Rose wziął nawet walizkę. Pożegnali się o świcie, w pobliżu jakiejś stacyjki. Rose trząsł długo ręką

Krzesza i bulgotał serdecznie o głębiach swojej wdzięczności. Obiecywał się odwdzięczyć.

— A kiedy William Rose mówi — sapnął — to mister Keth może być pewien...

Mister Keth był zupełnie pewien i wzajemnie bulgotał serdeczności. A potem wsadził ręce w kieszenie i po staremu cisnąc czapkę pod pachą, poszedł sobie w cały świat. Jak to radośnie iść ponad ziemią!

Szedł długo. Potem jednak dojrzał wrzaskliwego smoka, gnającego naprzelaj przez pola, i runął ku niemu pędem. Dopadł go, kiedy ten przywarował przy jakiejś budzie, aby odsapnąć, i wskoczył. Smok ryknął i poderwał się, ale nie zdołał się pozbyć napastnika. Uległ więc i słabł coraz bardziej, zwłaszcza, że wewnątrz jego rozpadało się na wiele ruchliwych, krzykliwych komórek, odpadających od niego za każdym od-poczynkiem. Rozkładało się potężne wewnątrz żelaznego smoka.

Rewolucyjni żołnierze niemieccy śpiewali, pili i znieważali oficerów, zrywając na strzepy więź łączącą ich tak przemożnie.

Krzesz, stojąc nawprost potężnego świstu przestrzeni, który rozwichrzał i burzył mu włosy — otworzył szeroko ramiona i śpiewał:

— Miejsca dla nas! Miejsca na budownictwo moje! Stare gmachy się wala, zwietrzałe pod

ciosami fal naszego marzenia. Teraz jest miejsce dla nas. Teraz trzeba mocno wpić się pazurami w odzyskany szmat ziemny. A naznaczywszy go swoim piętnem, wbić się pełnymi skrzydłami w górę i wymarzywszy sobie najśmielsze marzenie — spaść nań szponami.

Nigdy bo nie syta potęgi będzie dusza moja!

Stacja, na której wysiadł Krzesz, nazywała się ni stąd ni zowąd „Klein Kätzchen“. Ale ostatecznie był to drobiazg wobec tego, co otwarło się piersi Krzesza. Co to było? Otworzył się ścieśnionym płucom pierwszy w życiu oddech?

Tak. Wszechobecna, leniwa ziemia urywała się naraz. Nie ciągnęła się już jednostajnie i objętnie aż do kresu nieba, nie dławiała po gardło horyzontu. Jej zadufana wszechobecność stawała zdumiona i cofała się z trwogą: dalej nie było jej!

Nie było już tego pomostu, który łączy w nudnej jedności wszystkie kurze wszystkich dróg świata. Poraz pierwszy urwała się oczom zwyczajna podpora, i radosny lęk ścisnął serce.

Ale to tylko — sekunda. Potem myśl i oko mogą wystrzelić ponad dotychczasową skończoność i stać się harpunem, który utkwic może w najdalszej, niewidocznej możliwości.

Z piersi spada tłusty ciężar gliny. Wiecznie płynna możliwość morza kusi do najśmielszych

marzeń. Marzeń? Nie — zamierzeń! Śmigłą łodzią wcina się myśl w płynący do ciągłej inności świat i bierze chrzest zdobywcy.

Rośnie się tutaj w obliczu wielkości. Rośnie się dlatego tylko, że Ono jest tak wielkie i aż spokojne z nadmiaru swej potęgi.

— Byłem tu kiedyś... — nieśmiało budzi się w Krzeszu myśl. I naraz wybucha całym sobą:

— Znam Cię, Morze! Wiking zdobywcy przemierzyłem Cię strzałą mej drogi. Lądowałem na brzegu nieznanym i płaskim równiom dałem swojego orła za godło. Wziąłem w całą pierś moją tę ziemię i wznieść ją zapragnąłem wysoko. Tak wysoko, że aż ponad siebie.

I odwróciwszy się na południe, iść począł z otwartymi ramionami, wołając imię Ojczyzny.

Nazwy stacji widziane przez okna wagonu stawały się coraz niecierpliwsze, dźwięczały coraz głośniej, niespokojnym szeptem mówiły o czymś, co było coraz bliższe.

I rozklekotany, gderliwy pociąg, potykając się na zwrotnicach gorączkował się coraz bardziej:

— To już tu! To już tu!

Jakoż było już blisko. Z sercem klekoczącym w takt nierównych podrygów wagonu, przypiął się Krzesz do mętnej szyby i wyrzucił się w najdalszą przestrzeń, poprzez napięte oczy. A dal owa gnała tak szalonym pędem w bliskość i terażniejszość, że niepodobna było uchwycić granic tego przejścia.

Wreszcie poczęły się rysować łamanym konturem sześciennie, zwaliste bryły, włączące wzajem na siebie jak głupawe pędraki w ciasnem rojowisku.

Krzesz nie odrywał oczu:

— To tam. Tam stolica!

Nie zważał na oberwane domki z podbi-

temi oczami i podwiązanemi zębami, które złodziejskim ruchem zabiegały mu od tyłu.

Nie patrzył na wytrzeszczone posłusznie małe okna wielkich, obdartych ze skóry domów-koszar.

— Tam, tam stolica!

Naraz w jego pierś, podaną naprzód z całym, najszerszym otwarciem, padł krzywy, żółty błysk. Co to było? Nad stolicą wyrastały pyzate, kałmuckie pyski, świecące się głupim zadowoleniem. Stały pyszne, odęte, górujące ponad całą ziemią i urągały niebu przekreślonym krzyżem.

— Panie! — schwycił Krzesz kogoś, nie widząc zresztą jego twarzy. — Panie, to... to...?

— To? A to... ten... no, Sobór. Na placu Saskim. Pan nie zna Warszawy?

Krzesz spojrział raz jeszcze w okno.

— Nie... ja nie znam Warszawy — powiedział powoli.

Wpadli teraz między wielkie i tępe tyły domów, na których rozpląszczyły się brudne, spłowiałe reklamy:

„Samyj łuczszij koniak“...

Tuż przy wyjściu, u podnóża wielkiego budynku i o krok od głównej ulicy, roiła się czereda krajowych lazzaronów. Niby rozpryskane

grudki błota lgnęli do przechodniów, skamłając, odszczekując się sobie i szarpiąc pakunki.

Jedni wyciągali z pod kurtki szmaty gazet, chrypiąc rozbitymi głosami: „Gazeta Po... Poranna Ga...!”

Inni zabiegali drogę z brudnymi skrzynkami w rękach, prosząc bez prośby w głosie:

— Panie, oczyszczę?

Jeszcze inni darli się obojętnym, przepitym głosem:

— Nowy rozkład ja... Nowy plan Warsza...— i zaraz dodawali bardziej ludzkim głosem:

— Dać rozkład? Nowy rozkład, wszystkie koleje...

Wyrwawszy się z ich lepkiego mrowiska, stanął Krzesz na rogu.

— No, tak. A teraz?...

Przez linję jego oczu płynęły bylejakie strugi ludzkie, wirując i kłębiąc się. W ich przypadkowem zlewisku była wspólna więź, której Krzesz nie czuł zupełnie. Całym sobą oderwał się od wszystkich nich i nie umiał wsiąknąć w ich wspólność.

Co teraz? Ewa przyjedzie dopiero jutro. Aha, mają się spotkać u Gelajzów... Tak, trzeba baby...

Leniwie myśląc, mijał szybko rynsztocek ludzki, bulgoczący brudnawo. Potem skręcił na-

raz w jedną z tych martwych, urzędniczych uliczek: Wspólna? Hoża?

Zajrzał do papierka. Musiał uwierzyć cyfrom, bo nic nie wskazywało, żeby w tym a tym domu mieszkał ten właśnie, a nie ów. Domy nie miały twarzy ani duszy.

Przez nieufną szczelinę drzwi ujadał głos jakiś:

— Pana niema. Panienki też. Może dopiero pod wieczór.

— Tak, a gdzieby teraz...? — zahaczył jeszcze.

— Panienska to może w Sejmie...

Krzesz stał chwilę przed zaciśniętymi wargami drzwi i starał się usłyszeć jakąś myśl poprzez huczący zgiełk głowy. Potem kiwnął głową w odpowiedzi owej myśli:

— Dobrze. Pójdziemy.

Za drucianym, zielonym płotkiem widniał kolejowy ganek, doczepiony do płaskiego frontonu. Krzesz nie chciał wierzyć:

— Czyż myśl polska mogła gospodarzyć w tym przystanku „kazionnym“. Czyż powaga dziejącej się historii mogła się zmieścić za przepierzeniem skleconem naprędce?

A jednak to był sejm.

Krzesz rzucił jeszcze okiem na wypłowiałe ślady liter („Jeja Impieratorskawo... Marji...“)

i wszedł do wnętrza. Wszyscy byli w codziennych ubraniach i mieli codzienne twarze. W jednej grupie podniszczony młodzieniec opowiadał coś tłustego i smakowicie oblizywał się po wypłowiałych kosmykach wąsów. W pewnej chwili wszyscy zarechotali z zadowoleniem.

Pod oknem stało kilku ludzi ubranych z waszecia, w zabłoconych butach. Dwaj szeptali ze sobą, zwracając się co chwila do trzeciego, który uśmiechał się krzywo. Potem powiedział głośno, zezując w stronę przechodzącego pana w tużurku.

— Trzeba interpelować! Z tymi draniami inaczej...

Krzesz prawie wpadł na Krauzego. Krauze był... właściwie był taki sam, ale coś szarego miał w twarzy. Coś szarego i krzywego. Ucałował Krzesza z dwóch stron twarzy, nie dotykając go zresztą wcale. Patrzył gdzieś obok i miał jeden uśmiech na wszystkie słowa.

— W Warszawie jesteś? Tak, hm. I cóż masz zamiar...?

Krzesz dopiero próbował wielkie słowa wydobyć przez ciasną krtań, gdy Krauze bąknął znowu:

— Pewno polityka, co? Mogę ci pomóc w nawiązaniu znajomości...

Właściwie Krzesz nie wiedział, czy to się nazywa polityka i czy to wogóle się nazywa.

— A nawet... — sęczył Krauze. — Nawet mógłbym na początek...

Zżuł jednak te słowa i wystawił się na pytanie Krzesza.

— Posłem jesteś?

— Naturalnie. Ludu praw bronię— uśmiechnął się zezem, ale zaraz poprawił się powagą.— Jestem posłem z ramienia... Tu wystukał, jak Remington szereg liter, oddzielonych kropkami.

Krzesz czuł, że są z całkiem innego wymiaru, i żaden stosunek, nawet odwrotny, ich nie łączy. Krauze jednak starał go się utrzyć i wtłoczyć w swój krąg, popychając go zlekka i poklepując przyjaźnie. Chodzili w długim korytarzu, zataczając nieskończoną elipsę.

— Mógłbyś... — ostrożnie cykał Krauze— mógłbyś tu jedną... dostawę... Ja wyrobiłbym ci pozwolenie... Niejaki Karczewski... Może nawet znałeś?

Krzesz uważnie oglądał te słowa, starając się odwrócić je na drugą stronę. Wreszcie uczuł pod palcami coś niewyraźnie lepkiego i odsunął Krauzego wyniosłem:

— Nie widziałeś panny Marty?

— Owszem zdaje się była... Pracuje namiętnie w organie naszych czerwonych i...

— Słyszałem.

— ...i mieszka z bratem z jakiejś ciupce na...

— ...Hożej.

— Tak.

Krzesz wyjął rękę z pod pachy Krauzego.

— No, a cóż ty? Nie żenisz się?

— Owszem — bąknął Krauze. — Tylko jeszcze mieszkanie sprzedaję... potem umeblowanie trzeba... Żenię się posażnie...

— Aa... więc nie...

— Nie, nie z Martą...

Przy pożegnaniu Krauze jeszcze bąknął:

— A co do tej... dostawy, to radzę ci...

— Dziękuję ci.

Krauze przymierzał do niego nieznacznie jakąś miarkę, odkładając uważnie od głowy do nóg i od nóg do głowy, wreszcie chrząknął:

— A możebyś do jakiej społecznej akcji. Naprzykład... — wystukał znowu kilka liter.

— Cóż to?

— Towarzystwo popierania rozwoju obrony... Dam ci kartkę do prezesa...

Machinalnie chowając sztywny płatek papieru, Krzesz szukał jeszcze jakiegoś koniecznego słowa, ale nie znalazłszy go, odszedł.

U Gelajzów jeszcze nie było nikogo, ruszył więc znowu między nieprzychylne rogi ulic i zapadł w ciemność jamy bram.

Aha, Towarzystwo popierania...

Idąc za wskazanym adresem, Krzesz spostrzegł naraz, że już od wielu, bardzo wielu chwil sypie się na niego drobny, szary deszcz popiołu, ciężąc nieznośnie na barkach. Brudziło mu się zza tego deszczu jasne słońce, które wiozł tutaj, w to duszne i ciemne wnętrze, zwane sercem kraju.

Otóż schody, i drzwi, i tabliczka. Woźny przyjął go bardzo nieprzyjaźnie i podejrzliwie: śledził jego rękę, wypełniającą blankiet: „Imię nazwisko... zawód... w jakiej sprawie...“

Jeszcze otrzymawszy kartkę, oglądał ją nieufnie i mruknął:

— W sprawie informacji?

— Tak.

— To niby wywiadu?

— Tak.

— To pan z prasy?

Krzeszowi nie chciało się zaprzeczać, tem bardziej, że zmięty sługus odrazu rozjaśnił się od wnętrza:

— Zara „dołożę“ panu prezesowi.

Prezes miał binokle w kształcie półksiężyców, z nad których patrzył na nogi interesantów. Siedział na tle morskiego widoku, świadczącego o celach Towarzystwa. Niemniej brzuch jego miał pozór białawej, przerośniętej rzepy,

mocno wzrosłej w wilgotno-ciepły grunt. Całą swą postacią przeczył możliwości istnienia jakiegokolwiek ruchu, jakiegokolwiek podróży, wyprawy, wojny, obrony... Uprzejmie macnąwszy Krzesza swemi szklistemi oczami, zaczął wypuszczać z sapaniem całe kłęby słów:

— Zdołaliśmy uzyskać protektorat... Udało nam się nawiązać kontakt... Cały szereg wybitnych przedstawicieli... Perjodycznie urządzone zebrania... Przygotowania do propagandy...

Gęsty dym tych słów zastawił Krzeszowi nawet obraz na ścianie. Tylko tuż przed sobą wiedział plikę papierów, zakąszonych w blaszanej, psiej mordzie. Próżno silił się dojrzeć coś poza niemi, próżno starał się w nich samych uchwycić ostrzejszy, bardziej zwarty kształt. Nie miały one żadnego zarysu, żadnego jądra zwartego, żadnej objętości.

Przez gęstą watę, w której pograżyła mu się głowa, usłyszał głucho, dalekie słowa:

— A pan Krauze również interesuje się...?

Odpowiedział coś i widocznie coś stosownego, bo gruby pan kiwnął głową.

— Widzi pan — przechylił się ku Krzeszowi — wice-prezes jest popierany przez wojskową mafję... rozumie pan! Oni go przeforsowali... Zato sekretarz Towarzystwa jest nasz, skarbnik tak jakby... Pierwszą naszą czynnością

musi więc być walka z wewnętrznym — rozumie pan — wrogiem, który...

Echo watowanych dymem słów prezesa dudniło Krzeszowi jeszcze na ciemnych schodach i przed drzwiami mieszkania Gelajzów.

Wrogo nastrojona baba otworzyła mu wreszcie drzwi, puszczając w twarz cały pocisk pary mydlanej.

— Czy państwo...? — zadławił się zatęchłym powietrzem Krzesz.

W przeciwległych drzwiach ukazała się panna Marta. Rysunek jej twarzy stał się bardziej wyrazisty, ostry i zarazem bardziej drobiazgowy. Miała pozór starego stalorytu, tworzącego rysunek z niezliczonych linijek i rysów.

— Jak się macie? — powiedziała spokojnie.

Głos miała równie wyraźny, choć jakby nadgryziony ługiem i mydlinami.

Krzesz przepłynął przez obłok pary i wpadł w zatęchłą norkę pokoiku, ziejącego tytoniem i wilgocią.

Panna Marta prędko przeszła na drugą stronę stołu i spojrzała nieufnie na Krzesza:

— No, cóż wy...? Widzieliście się z... z ludźmi?

Krzesz podniósł na nią zmęczone oczy:

— Z ludźmi? Rozmawiałem z Krauzem...

Marta podniosła ramiona do góry i w tym

dziwnym ruchu głowa jej wtuliła się jak u nocnego ptaka. Krzywy zarys ust pożółciał i opadł:

— Krauze — przeciągnęła po chwili — Krauze... Tak...

— A cóż pani... cóż wy?

— Ja — kanciasto nastawiła się Marta. — Pracuję w organie Socjalno...

— ...słyszałem właśnie...

Marta rzuciła na niego zezem:

— Tak? Otóż pracuję, bo myślę, że to jedyna dziś droga... że jeżeli ci, którzy niezadowoleni są...

Krzesz spojrzał na nią litościwie:

— Panno Marto, niezadowoleni są ludzie tylko z siebie. To jest choroba wewnętrzna, choroba serca nie skóry...

Przestał jednak, bo uderzyła na niego taką mocą żalości, jak gdyby przeciął obolały, napęczniały materją wrzód:

— A krzywda ze strony ludzi? Pan nie widzi krzywdy? Pan nie widzi, jak bardzo człowiek może skrzywdzić człowieka? A warunki zewnętrzne?... „nie choroba skóry!“ Rzeczywiście! A pieniądz, pieniądz! Kapitał!... Pan nie rozumie tego, że...?

Zakrztusiła się boleśnie i długo miotała w napadzie kaszlu, wstrząsając w suchych pod-

rygach brzuch i piersi, jakby chciała zrzucić z serca spieczony nalot.

Potem opadła zwiędle na ceratowy fotel:

— Brat zaraz przyjdzie — powiedziała spokojnie.

Jakoż zabełkotał przestraczem szarpnięty za samo serce dzwonek, i słychać było sumiaste szuranie nóg o słomiankę.

To był Gelajza? Gdzież ta jadowita rozlazłość zadługiego ciała i zbytecznych, szerokich dłoni? Gdzie pasma chorych, mokrych włosów, zlepionych na czole? Na jakim kręgosłupie zdołał zewrzeć swoje łamliwe ciało?

Krzesz zobaczył wysokiego oficera, brzęczącego oksydowanym żelaziwem oznak i sznurów. Sztywnego, ale sztywnością urzędową, świadomą, wyzywającą prawie. Podkrzesane nad uszami włosy dziwnie podbierały, podkasywały, służbistą, wygoloną twarz.

— Tomek! chłopie! — zatrzasnął go naraz Gelajza w drewnianych zawiasach swego ciała.

Uściskali się szorstko, po męsku, udając, że się całują.

— Bój się Boga, tyle czasu!

Krzesz patrzył na niego radośnie:

— Oficer z ciebie!

— A co? Jestem kapitanem pe de sztabu.

— „Pe de?“

— Nie wiesz? Kapitan „przydzielony do“.
A teraz jadę do Francji.

— Więc już zostajesz na stałe?

Gelajza wyprostował się jeszcze bardziej:

— Ja myślę! — prychnął. — Pomyśl, że to aż śmiech: polskim oficerem jestem. Co? Nie-
raz dziwię się, jak to było zwane publicznością
prędko trawi wszystko!... Ja nieraz idę ulicą
i widzę... no, poprostu oddziałek piechoty, czy
ja wiem? pluton może, ze trzydziestu ludzi naj-
wyżej. Idą do Zamku zmieniać wartę. I wiesz—
idę za nimi, jak kto głupi, i gapię się, jak tam
przy Zamku... Ba! sama budka w amarantowo-
białe pasy...

Panna Marta trysnęła z pomiędzy tych słów
spryszczonym śmiechem:

— ...i polscy żandarmil z orzełkami, a jakże!...

Gelajza zwrócił się do niej odrazu:

— A tak, Marteczko! I polscy żandarmi,
i polska policja, i polskie wojsko. Tak, tak! Żeby
się nie pałętać po świecie „bez przydziału“.
Żeby nie tłumaczyć byle Holendrowi czy kup-
cykowi angielskiemu, że to, uważa pan, je-
steśmy jednym narodem, ale... ponieważ... mimo
to... wszelako... Tfu! Chcę już raz łeb nosić do
góry i czuć że własna, nasza, swoja siła...

Przełknąwszy z trudem resztę drgających
słów, uderzył się czerwoną łopatą ręki po szlifach:

— Ot, widzisz: te trzy gwiazdki to mi więcej znaczą niż te fiu-bzdziu! programy, djabły, Iwany! wiesz?

Marta zatrzasnęła w drzwiach mrukliwe, złe słowo i znikła w białym zaduchu mydlanej pary.

— Nie rozumiem — sapał jeszcze Gelajza — jak ludzie mogą nie widzieć! Przecież to w oczach się stało, rękami niemal można...

Dzwonek burknął lekko, i za chwilę zastukano w drzwi:

— Wlazł! — krzyknął Gelajza i do wchodzącego Żurka. — Zobacz jakiego mam gościa, kleryczku!

Żurek zdaje się był lekko łysawy. Głowę miał trochę znoszoną i wytartą, a także marynarkę i spodnie (szczególniej na kolanach).

— Tomasz! — rozlał się w poczciwym uśmiechu. — Nieraz myślałem o tobie... Jak się masz!

Krzesz parował między nimi ze wszystkiej szarości, która sypała się nań aż do teraz w tem mieście. Żurek zaraz w pierwszych słowach Gelajzy zachłysnął się pośpiechem:

— Masz rację. Oczywiście. I naprzykład szkoły polskie. Można już otwarcie...

Natychmiast obsiadł Krzesza:

— Nie wiem, czy słyszałeś o nowych metodach... Nie uczymy teraz, jak dawniej nas...

Uważasz więc: jest tak zwana metoda heurystyczna która polega... w której nam chodzi — rozumiesz — żeby uczeń sam... żeby nie wlewać mu do głowy, ale na podstawie metody doświadczalnej...

Gelajza kwaśno tamował ten wylew:

— Słuchaj-że, kleryczku... przecież to zupełnie specjalne rzeczy... Krzesz się nie zna...

— Ale właśnie niech się zapozna! Szkolnictwo i oświata wogóle...

Gelajza zamachał rękami, wpędzając mu resztę słów z powrotem do gardła.

— Dajże Krzeszowi przyjść do słowa — perswadował i sam zaczął:

— Pamiętasz Tomek, jak to z jednym buldogiem w magazynie, ha—ha! Z jednym buldogiem i zdaje się, berdanka jeszcze była... A teraz panie kawalerja, sapersy, telegrafy wojskowe...

Krzesz ogarnął ich obu jednym rzutem:

— Pamiętasz, obiecywałem ci armatę?

— A tak. No, i jakoś się sprawdziło.

— Jakoś? — Krzesz uśmiechnął się. — Jest takie przemądre prawo we wszechświecie, że dotąd się dochodzi, dokąd się swój harpun zarzuci. Ale nie można stać...

Tłumaczył im jeszcze o skrzydłach i pazurach, o dalekim rzucie i upartych krokach za nim idących, ale czuł, że przygasają w miarę

jak wspina się coraz wyżej, że odstają, że w obcej dziedzinie się znalazłszy, oglądają się niespokojnie.

Żurek tyle wycisnął z jego słów:

— Więc niezadowolonyś?

Gelajza schylił na chwilę swoją sztywną szyję i chwiał głową:

— Trochę niby... Rozumiem. Tak. Jeśli chodzi o to ciągłe rośnięcie, o ten rozwój duszy narodu do nieskończonej granicy, do potęgi... to rzeczywiście... Naprzykład: Gdańsk, Śląsk, Prusy, Morze, Wilno, Galicja, Cieszyn, Jaworzyna... Kłajpeda... — sączył żrące, zjadliwe krople na głucho milczenie pokoju.

— Ale to się ustali — mruknął Żurek.

Krzesz znowu stanął w ogniu:

— Zrozumiecie, że to nie o ustalenie... Że chodzi o stawanie się „ja“ narodowego. A stawanie się, to nie — „bądź czym jesteś“, ale — „stań się, czym powinienes“. Trzeba rozszerzać pierś narodu coraz szerszym oddechem, aby wyrósł na olbrzyma. Trzeba mu dać wielkie ideje i wielką moc do ich wszczepienia... Trzeba narodowi dać ogień i żelazo. *Ignis in Ferrum!*

— Ale konkretnie, konkretnie — strzykał niecierpliwie Gelajza.

— Konkretnie? Morze, zdobyczość, ko-

lonje... Sztandar nasz nad wszystkimi szlakami morskimi, we wszystkich częściach świata!

— Dużo chcesz!

— Trzeba mieć odwagę chcieć dużo!

Żurek chrząknął i powiedział:

— Nie można powiedzieć, żeby idea Morza nie miała zwolenników w naszym społeczeństwie. Wydano dwa afisze, a także wystawa... I książka wyszła.

— Jakim wy językiem wszyscy mówicie?— palił się Krzesz — „żeby nie miała zwolenników“, a może jeszcze „nawiązać kontakt z całym szeregiem i t. d.“ Czy wam się nie palą ręce do wznoszenia nowych gmachów? Czy też ogień ich oszukujecie tumanem słów?

„Idea Morza“! Nie, nie ten pusty, wydęty dźwięk! Idea Siły! Tę pokochajcie!

Kiedyż w nas zbudzi się żądność i radość krwi, żebyście parli strach jak wilcy, sępi!

„Zwolennicy“! Trzeba namiętnie, szaleńczo ukochać nieskończony wzrost i rozrost własny! Trzeba nam przeciw całym frontem do wolnego oddechu morskiego, bo się zatchniemy jak szczury na naszych suchych płaszczyznach... Trzeba nam sztandar...

Żurek ostrożnie się nachylił i oczami wskazywał drzwi. Stała w nich Ewa.

Oczami zawisła na płonącej czuprynie Toma

i słowom jego dawała tło radosne na swoim sercu. Przypomniał się jej tam, na tej sośnie, chwiejącej się dumnie. Kiedy rzucił się ku niej, chciała mu to wszystko powiedzieć, to wszystko i jeszcze inne myśli, które wypełniały ją aż po serce. Ale to było zbyt wielkie, a zarazem zbyt proste. Wystarczyłoby na to jedno słowo, albo trzebaby mówić życie całe.

I naraz zrozumiała Ewa, że tak było od początku: była w nich jedna wielka prawda, wielka, a tak oczywista, że aż zwyczajną zdawała się być. To było ich życie. Jej i jego. Poskarżyła się tylko w ramionach Toma:

— Nie umiem mówić...

Ujęli się za ręce jak dzieci i mieli iść. Wtedy Krzesz powiedział z uśmiechem:

— Myślę, że przyjdziecie do mnie, kiedy... słowo ciałem się stanie. Słów nie umiecie widzieć.

Wyszli oboje.

Wiele dni minęło bezpłodnie w poszukiwaniu Archimedesowego punktu oparcia, z którego możnaby ruszyć gliniastą bryłę otaczającego świata.

Krzesz widział, jak ludzie biegali szybko a bezładnie na dnie głębokich ulic, niby w rynsztokach mętnych. I nic nie mogło ich zmusić do rozgięcia obwisłych karków, żeby spojrzeli na sprawy, które dzieją się ponad dachami kamienic. Nie czuli też burz, które zwałami czarnych chmur toczyły się ponad miastami. Nie rozgałęzili nerwów swego serca tak daleko, aby czuli własnym, osobistym bólem odcinanie żywych kawałów kraju.

I piersiom ich starczyło zgniławe powietrze, osiadłe ciężkimi warstwami, na dnie ulic—nie pragnęli, nie czuli potrzeby odetchnąć całym światem.

Mieli jakieś swoje śmieszne prawa i trzymali się w lepkich kupkach, nieufnie łypiąc na obcych. A obcym był każdy, kto nie lepił się tym samym klejem i nie dopasowywał do nich.

W tych to ciężkich dniach spotkał Krzesz niespodzianie Rose'go.

Mister Rose napadł na niego z impetem i z miejsca oświadczył, iż właśnie jego szuka dla omówienia grubego „bussines'u“. Zarazem nie słuchając zdziwionych pytańników, zawlókł go do ciemnej i lepkiej cukierni i usadziwszy naprzeciw siebie, zaczął się cały w oczach.

— Mister Keth! — zaczął uroczyście. — Będziecie dyrektorem naszego Towarzystwa na Polskę.

— Proszę? — zdziwił się Krzesz. — A to dlaczego? Nigdy, jak pan wie nic z przemysłem i handlem nie miałem...

Rose natychmiast zarzucił go potopem argumentów. Mister Keth zapewne przypuszcza, że Rose nie zastanowił się nad tem, co mówi? Otóż wszystko jest obmyślane przez niego, Rose'go i dwóch innych współwłaścicieli. Towarzystwo okrętowe „Brazil Line“... Chodzi o polską emigrację. Ponieważ zaś Krzesz zna angielski i ma stosunki w kraju, a przytem Rose zna jego, więc...

Krzesz uniósł się nieco i zapuściwszy wędkę w słowa Rosego, zahaczył jedno z nich:

— Emigracja?

— Oczywiście! A przytem czy mister Keth

nie czuje tej wielkiej pasji obracania szalonymi liczbami dolarów i...

— Pieniądz? — powiedział Krzesz.

— Tak, mister Keth! Wy tu nie umiecie cenić broni. A pieniądz to broń. Yes. Pieniądzem się zwycięża. Wie pan, dlaczego Ameryka przystąpiła do wojny? Wie pan, dlaczego Hoover wszczął akcję ratunkową u was? Pieniądz to zarządził. Pieniądz jest bronią straszną, a wy tu jej nie macie.

— Mister Rose, pan pochodzisz z kraju, gdzie o człowieku mówi się, że jest wart tyle i tyle dolarów.

— Yes, mister Keth, bo pieniądz to esencja naszej pracy, naszego rozumu, naszej woli, wytrwałości i wielkich, genialnych planów. To jest broń, symbol, oznaka. Każdy dolar, to ekstrakt kropelki ducha... Ale my umiemy cenić nietylko ten dolar obracany w palcach, nie! My umiemy widzieć dolary w rękach bezbronych jeszcze i pustych. Zwracam się przecie do pana...

— No, tak...

— A u was, mister Keth, według czego wartość ludzi mierzą? U nas się mówi; tyle to wart dolarów, bo dolary to praca i charakter. A u was mówi się: tyle to wart, bo tyle to słów mówi. Czy nie...?

Krzesz przestał słuchać Rose'go a zasłuchał się w głąb swoją, gdzie rodziła się w radosnym pulsie myśl olbrzymia:

— Emigracja... Pieniądz — pazury — szeptał. Rose błysnął naraz oczami:

— Mister Keth! będziesz mógł wpływać na los tej emigracji nawet tam... na lądzie. Osadzisz ich razem, nie dasz rozrzucić, jak to dotąd... To będzie zawiązek...

Krzesz rzucił się wtył: Rose wyczytywał mu z czoła myśli najskrytsze, myśli dopiero zrodzone.

Krzesz spojrział na Rosego, ale w tych oczach nie było zdrady.

— Kto wie — szepnął jeszcze Amerykanin. Czy to właśnie nie będzie po linii pewnych wielkich potęg politycznych i finansowych...

— Pan wie — zapłonał Krzesz — tam mój rodak, Krzysztof Arciszewski... On to powznosił fortece Rio-Janeiro, Baia, Pernambuco... Wybito mu medal... W Brazylii...

— Więc pan?

— Zgadzam się.

EPILOG.

Trzymasztowiec „Krzysztof“ szedł pod pełną parą na Południowo-południowy Zachód.

Na pokładzie, koło spardeku stał Tomasz Krzesz. Odkryta jego głowa srebrzyła się aureolą stali, a gorącym mórz południowych osmagana twarz zwarła się w sobie połyskiem bronzu.

Cała postać jego podana była naprzód, a wydęte nad nim żagle rwały ją do lotu, ponad ołowianemi kłębami fal.

Krzesz śpiewał zawartemi ustami pieśń dzięczynną i zdobywczą, pieśń wiary i siły:

— Otośmy wreszcie wylecieli jak pocisk przez Ojczyznę ciśnięty!

Pocisk ku nowym przestrzeniom dla naszego zolbrzymiałego ducha.

My — stalowy harpun narodu, marzeniem ciśnięty ku zdobyczy.

Poezja żywa zawarta jest w każdej cząstce naszego ciała i ciała naszego rekina.

Wanty — stały się naszemi nerwami, kil —

kręgosłupem a szpangonty — unoszą się jak żebra w rytm naszego oddechu.

Każdy łuk i kąt każdy w przemądrze żywym ciele naszego statku jest tajemnicą zwycięstwa i pieśnią życia.

Każdy obrót szturwału jest ruchem mózgu, każde drgnięcie igły na „róży wiatrów“ jest połączeniem zawołaniem woli.

Morze ustępuje życzliwie na strony przed stemem naszego statku i tworzy ostrą, białą strzałę za sternikiem, wskazując z podziwem kierunek naszej drogi.

Otośmy wreszcie odetchnęli w świat szeroki pierśią całego narodu...

Krzesz porwał się naraz i w szybkich zwrotach ciała, w gwałtownych krokach jął promieniować ze siebie ten nadmiar gorąca, który ogarniał jego pierś od środka.

Podszedł do szturwału:

— Kobuz! Pięknie leci Krzysztof?

— Pięknie, panie! Jakby wiedział, co za zabawki wiezie tam... do owej Brazylii!

Niebieskie, morskie oczy spojrzały radośnie na Krzesza ze zmiętych fałd twarzy.

— Panie! — zaszumiał ciszej Kobuz. — Prawda to, że za tydzień mają nasi tam...? Bo mówili, że dzień jest taki sekretnie ustanowiony

w rocznicę koronacji pierwszego króla-Chrobrego, co w Morzu słupy bił...

— Jako, że drugi raz Polska koronuje się wśród narodów na mocarza!...

— Tak, my to rozumieli, panie! Ech, dawno, dawno za mocą my tęsknili, poniewierane po konsulatach wszelakich. A choć to i republika się zrobiła, panie, nie czuli my za sobą siły nieprzepartej, nie! Miętkość stała za nami i zgniłość. Nie mieli my żądności do szerokiego życia, kwękający między narodami obcemi.

— Teraz inaczej, Kobuz, teraz inaczej! Pazurami z góry uderzy się pomiędzy ciasnotę świata, żeby luz sobie robić. Ciasno nam się stało na piaskach naszych. Ponad ziemię i morza zafurkocze znak krwawy z drapieżnym, białym ptakiem.

— Lecimy, panie, lecimy na cichych skrzydłach! Od kiedy ja z panem na tej linji gębę osmalam w wicherze i słońcu, tak ostro my nie lecieli ku naszym... tam...!

Zapatrzyli się obaj w linję horyzontu, wysoko ku niebu wspiętą, niespokojną i tęskniącą. Wielka pierś Morza oddychająca całym niebem, podnosiła się ciężko, rozpierając ciasną klatkę brzegów.

W tej chwili w drzwiach spardeku stanęła Ewa. Widać coś objawiło się jej w sercu tego

olbrzymiego tworu, skąd wychynęła teraz. Wi-
dać serce to miotając, iskry na wszystkie strony
świata, płomień zażęgło i w jej oczach, bo go-
rzały wspaniałą dumą.

— Tom! — szepnęła cicho z nadmiaru siły
i wyciągnęła rękę z białym opłatkiem depeszy.

Krzesz przypadł do niej i jął chwytać prze-
rywany oddechem suche, palące słowa:

— Dziś w nocy... wybuch... broń prędzej...
Generał Gelajza.

— Boże Wielki — zawołał Krzesz ku niebu,
otwierając szeroko pierś Jego wielkości. A po-
tem, zawarłszy w sobie cały ogrom potęgi, rzu-
cił się jak szybki, drapieźny orzeł ku rufie statku:

— Sztandar!

— — — — —
Za chwilę na grot-maszcie wznosił się, ło-
począc dumnie, wojenny sztandar polski.

BIBLIOTEKA

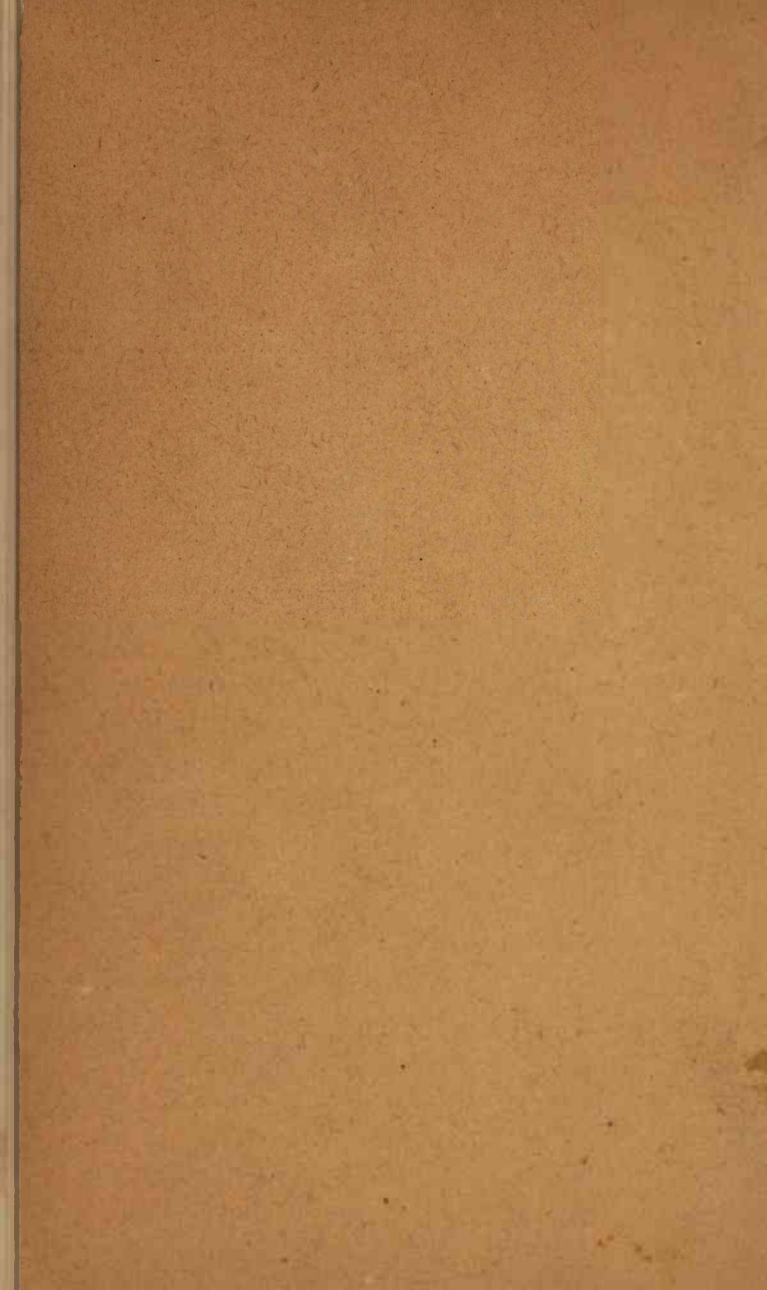
UMCS

LUBLIN

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

(Warszawa — Kraków — Lublin — Łódź — Poznań — Wilno — Zakopane)

	Zł.
BARSZCZEWSKI ST. Czandu. Powieść	2:90
— Elixir prof. Bohusza. Powieść	5:—
CHOYNOWSKI P. Dom w śródmieściu. Powieść	2:—
— Historia naiwna. Nowele	2:20
— Pokusa. Nowele	2:10
GERMAN J. Skrzydła. Powieść	2:40
— Twarz z za kurtyny. Powieść	2:40
GOETEL F. Kar-chat. Powieść	3:40
— Pątnik karapeta. Nowele	2:50
JELEŃSKA E. Matka. Powieść	4:50
KLESZCZYŃSKI Z. Białe noce. Powieść	5:—
KOWERSKA Z. Na cichej wsi. Powieść	4:50
LIGOCKI E. Noc na Pałatynie. Powieść	2:—
ORZESZKOWA E. Nowele i szkice	2:20
— Ostatnie nowele	9:—
— Pisma. Tom II—III. Nad Niemcem. Wyd. 2	
— Tom V. Anastazja. Bene nati	
OSTROWSKI J. Chorągiew na dachu. Powieść	3:75
— Obok życia. Powieść	
— Sztandar na maszcie. Powieść	
POWALSKI J. Nad jeziorem (Sielanka wielkopolska z XIII w.) Powieść	2:20
— W słońcu. Powieść. Wydanie 2	3:35
PRUS B. Anielka. Powieść. Wyd. 2	3:35
— Faraon. Powieść historyczna. (Pisma, t. XI—XIII)	18:—
— Lalka. Powieść. Wyd. 5	17:—
— Pierwsze opowiadania. Wyd. nowe	5:50
— Placówka. Powieść. Wyd. 8	3:75
REYMONT WŁ. ST. Bunt. Baśń	4:80
— Osądzona. — Księżniczka. Dwie opowieści	3.35
— Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne. Ze wstępem A. Grzymały-Siedleckiego i portretem autora.	
Tom I. Sprawiedliwie. Nowele	2:50
Tom II—V. Chłopi. Powieść współczesna. Wyd. 5.	25:—
Tom VI—VII. Ziemia obiecana. Powieść współczesna	7.50
Tom VIII. Na zagonie. Nowele chłopskie	2.85
Tom IX. Komedjantka. Wyd. 4	6:60
Tom X i XI. Fermenty. Wyd. 4	10:—
Tom XII. Rok 1794. I. Ostatni Sejm Rzeczypospolitej. Pow. hist. Wyd. 3	6:70
Tom XIII. Rok 1794. II. Nil desperandum. Powieść historyczna. Wyd. 3	
Tom XIV. Rok 1794. III. Insurekcja. Powieść historyczna. Wyd. 3	
Tom XV. Wampir. Powieść. Wydanie 3	
SEY M. Hańdzia. Nowele	1:85
SIEDLŃCKI-GRZYMAŁA A. Galeria moich bliźnich. Nowele i fraszki. Wyd. 2	2:—
— Samozęki. Powieść. Wyd. 2	
SIENKIEWICZ H. Pisma. Tom I. Stary sługa. Hania. Szkice węglem.	
Janko muzykant. Wyd. 10	4:—
Tom II. Listy z podróży. Wyd. 9	4:—
Tom XX V—XXVI. Rodzina Połanieckich. Wyd. 9	12:—
Tom XXX. Listy z Afryki. Wyd. 6	4:—
Tom XXXV. Dwie łaki i inne nowele. Wyd. 2	4:—
— Quo vadis? Wyd. 6 popularne	4:50
SŁOŃSKI E. Drogi nieznanne. Powieść	2:35
ŻYŻNOWSKI J. Krwawy strzęp. Wspomnienia bajończyka	1:70
— Kamienie górne. Powieść	5:40



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A38 142

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

